

J
★

FINAŁ
ZNAKOMITEJ
SERII

ANNA MARIA ♥ KIER

JOKER

TOM 5

DAGMARA
ANDRYKA

★
P

Prószyński i S-ka

DAGMARA
ANDRYKA

JOKER

Prószyński i S-ka

Copyright © Dagmara Andryka, 2023

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcia na okładce
archiwum M. Banachowicz

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Aneta Kanabrodzka

Korekta
Sylwia Kozak-Śmiech

Wszelkie podobieństwo do istniejących osób
i zdarzeń rzeczywistych jest przypadkowe.

ISBN 978-83-8352-622-5

Warszawa 2023

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Moim Czytelniczkom i Czytelnikom

WCZEŚNIEJ

[19 grudnia 2019]



Chciałabym, żeby przestali istnieć. Chociaż na chwilę.

Wanda Lechicka patrzyła na wyświetlacz komórki, a jej ciałem wstrząsało emocjonalne tsunami. Tak, oczywiście wiedziała, że nie powinna tak myśleć, ale nie potrafiła inaczej. Miała wrażenie, że wszyscy uparli się akurat na ten dzień i na ten cholerny moment. Czy naprawdę tak trudno jest pojąć, że ona nie chce z nikim rozmawiać? Że zapraszanie jej na siłę na Wigilię to akt łaski, którego nie potrzebuje? Co z nią jest nie tak? Albo z nimi? Może chcą po prostu mieć poczucie dobrze spełnionego obowiązku, zaliczony dobry uczynek, bo tak naprawdę chodzi im o siebie?

No tak, jasne, zapomniałyby. Ludziom zawsze chodzi tylko o siebie.

Rodzice. Nagle wracają na święta do Polski, i to specjalnie dla niej, jak twierdzi matka, by „ukochana córka” mogła wreszcie ogrzać się w ciepłym rodzinnym domu. Jakoś przez ostatnie lata mieli to gdzieś, dlaczego akurat teraz tak uparcie do tego dążą? We wczorajszej rozmowie z matką ledwie się powstrzymała, by nie powiedzieć, że jeśli będzie potrzebowała więcej ciepła, to podkreśli sobie kaloryfer.

Albo Anka. Co się stało, że nagle nie dociera do niej odmowa? Że nie rozumie jej sytuacji, potrzeb, lęków, wreszcie jej samej? Dlaczego nie dopuszcza do siebie, że ona nie chce być częścią tego ich świątecznego spotkania? Rodzinnego. Wyjątkowego. Pierwszego.

Ona jest dla nich obca.

Wanda ponownie spojrzała na ekran telefonu. W aplikacji pojawiła się kolejna wiadomość od przyjaciółki, ale Lechicka, zamiast ją odczytać, wyłączyła aparat. Wciąż jednak trzymała go w ręce, jakby nie chciała czegoś przerwać albo uciąć. Mimo poirytowania uśmiechnęła się do siebie.

To była pierwsza rzecz, której ją nauczyła. Ankę, mentalnie analogową policjantkę, Ankę ze starymi nawykami, Ankę jakby wyjętą ze starego kina. Wicr me i szyfrowane połączeń były jej pierwszą lekcją ze świata nowych technologii. Kto by wtedy przypuszczał, że tak różne osoby staną się sobie bliskie? Że się zaprzyjaźnią i chyba... pokochają?

Poznały się ponad rok temu, gdy Anna Maria Kier przeszła właśnie na wcześniejszą emeryturę. W sile wieku, po czterdziestce, zamierzała zająć się przebywającym w ośrodku opieki chorym na alzheimera ojcem, a także poświęcić więcej czasu i uwagi porzuconemu wcześniej dla policyjnej służby, a wtedy dorosłemu już synowi, wychowanemu przez ojca i zarazem jej największego oddanego przyjaciela.

Janusz Kier był jej opoką. Zawsze tak o nim mówiła. Zawsze.

Wanda uśmiechnęła się i pokręciła głową. A tymczasem wszystko okazało się nie tak. Nie tak.

Woody Allen powiedział kiedyś, że robienie planów na przyszłość jedynie rozśmiesza Boga. W jej przypadku było podobnie. Przyjmując sprawę od Hany Kraus, nie miała pojęcia, że zaprzyjaźni się z Anką. Po pierwsze, nigdy nie umiała nawiązywać głębszych relacji, a po drugie... no cóż, ludziom w pewnym wieku trudno jest się tak naprawdę polubić. Poobrastani w traumy, w złe doświadczenia, w zdrady i wstyd, często nie są tymi, za których się podają.

Pierwsza ich wspólnie poprowadzona sprawa, zlecona przez korporację farmaceutyczną, dla Wandy była tylko przykrywką, próbą nawiązania kontaktu z Anną, by na kolejnym etapie doprowadzić do jej spotkania z matką. Z matką, która oficjalnie zmarła, a tak naprawdę uciekła przed wyrokiem śmierci i przez większość życia funkcjonowała pod inną tożsamością. Alzheimer zleceńodawcy egzekucji, czyli ojca Anny, miał być szansą na ponowne nawiązanie relacji pomiędzy Haną i jej córką i na ujawnienie druzgocącej prawdy, los jednak okrutnie z nich zadrwił, bo ta choroba okazała się jednym wielkim kłamstwem.

Ojciec Anny, były prokurator z czasów PRL, wiedział o prowadzonym przeciw niemu śledztwie, które mogło się zakończyć wsadzeniem go za kratki. Markowanie choroby było jego linią obrony, a pomagały mu w tym odpowiednie znajomości i szafa pełna teczek z hakami na wielu prominentów. Każdy, kto zadarł z Tadeuszem Księżopolskim, nazywanym w gangsterskim podziemiu Królem, lądował na deskach. Nokaut był gwarantowany.

Hakerskie umiejętności Wandy i jej gruba skóra okazały się być kluczowe w doprowadzeniu do oczyszczenia się tej rodziny. Dzięki współpracy z nią Anna Maria Kier dowiedziała się, że jej były mąż i zarazem oddany przyjaciel to wtyka ojca, który miał chorobliwą potrzebę kontrolowania córki. Janusz Kier raportował mu każde posunięcie

nieświadomej tego żony, nawet po rozwodzie. No i wydała się największa tajemnica: matka Anny żyje, a oddany i mądry ojciec to kawał skurwysyna. Ich rodzinna gehenna wreszcie się jednak skończyła. Król został postrzelony podczas polowania, zanim zdołał przekazać gangsterskie interesy wnukowi, Tristanowi, którego postanowił wychować na swojego następcę, wbrew jego woli zresztą. Policja wciąż bada niejasne okoliczności tego postrzelenia. Sądono, że był to wypadek, ale nie udało się ustalić, kto był właścicielem broni, z której trafiono Książopolskiego.

W każdym razie teraz przed tą rodziną malowała się całkiem nowa przyszłość.

Wanda już na początku znajomości zgodziła się na wspólne założenie agencji detektywistycznej, nie tylko dla pieniędzy, których Anka potrzebowała na leczenie Tristana (ostatecznie wyszedł zwycięsko z walki z chorobą i po udanej operacji guza w szwajcarskiej klinice dochodził do zdrowia).

Agencja detektywistyczna Kier i Wspólnicy (należał do niej również Ireneusz Piasecki) była jakością samą w sobie. Prowadziła skomplikowane poszukiwania online i offline, przesłuchiwała świadków, typowała sprawców i przekazywała ich policji. To nie były proste śledztwa. Szukanie kreta w firmie farmaceutycznej, stalkera pisarki erotycznej, zaginionych radomskich dzieci czy ostatnia sprawa, prowadzona w związku ze śmiercią córki jednego z najbogatszych ludzi w Polsce – to wszystko były problemy, którymi nikt nie chciał albo nie potrafił się zająć. Nie jakieś tam banały nadające się na nagłówki, które w ciągu kilku godzin, po gorącym clickbaicie, spadają na sam dół strony.

Z usług agencji korzystali ludzie, których zawiódł system.

Ludzie, którzy stali się dla innych niewidzialni.

A Wanda dobrze wiedziała: uczucie, gdy inni cię nie widzą, jest nie do zniesienia. Bycie niewidzialnym sprawia, że nie istniejesz.

Obojętność boli najbardziej i nikt, nawet ona, nie chce być przezroczysty.

Dłoń Wandy zaczęła drgać. Na ekranie komórki zobaczyła zdjęcie ojca, które miała przypisane do jego starego, ale wciąż aktualnego polskiego numeru. Zapomniała o nim i o tej fotce, którą zrobiła wiele lat temu w jego ukochanym przydomowym warsztacie stolarskim. Zmrużyła oczy, poczuła suchość w ustach, a na języku metaliczny posmak. Oddychała płytko, jakby za chwilę miał jej się skończyć tlen. Ostatni raz rozmawiali

ze sobą osiem lat temu. To za długo, by tak po prostu odebrać telefon i udawać, że nic się nie stało.

– Nie, nie przyjadę do was, dajcie mi święty spokój – wykrzyczała, nim w słuchawce usłyszała głos. Dosyć tego! – Wcisnęła czerwoną ikonkę i rzuciła telefonem w stojący pod oknem granatowy fotel. Zerwała się z łóżka, podeszła do lodówki i wyjęła butelkę piwa. Za chwilę przyniosą pizzę i będzie mogła zacząć świętowanie. Sama. I tak jak chce.

PROLOG

[24 grudnia 2019]



Dzień dobry! Z tej strony młodszy posterunkowy Witold Gryf. Czy rozmawiam z panią... Wandą Lechicką?

– Co tam? – Hakerka przeciągnęła się i zerknęła na zegarek, mrużąc oczy. Raziło ją światło wyświetlacza. Odbiór połączenia z nieznanego numeru był odruchowy i całkowicie nieprzemysłany. Nie o tej godzinie. Była szósta rano. Dokładnie szósta jeden. To zdecydowanie za wcześnie na telefony kolegów z dawnej firmy. Pewnie znowu chcą jej zaproponować jakąś chałturę. Ale na Boga, nie o tej porze!

– Czy jest pani córką Danuty Lechickiej, urodzonej... – Głos policjanta był oschły i rzeczowy.

– Tak, to moja matka. Co się stało? – Wanda energicznie odrzuciła kódrę i czując narastającą panikę, sięgnęła po stojącą przy łóżku szklanke wody. Wziąwszy spory łyk, dała szansę na wysłowienie się wyraźnie zagubionemu policjantowi.

Młodszy posterunkowy Gryf westchnął przeciągle, by po chwili powoli, nieco teatralnie, wypuścić powietrze nosem. Ewidentnie dodawał sobie odwagi. Lechicka z impetem odstawiała szklanke, rozlewając nieco wody, i podeszła do parapetu. Za oknem wciąż było ciemno, choć ostatnio, dzięki świątecznym iluminacjom, ranki stały się przyjemniejsze. Ten jednak – prawdopodobnie – już do takich nie należał.

– No wysłów się wreszcie! – Hakerka wyraźnie traciła cierpliwość.

– No cóż... dziś nad ranem zostaliśmy wezwani do zdarzenia samochodowego na drodze krajowej numer czternaście... Pani matka jest w stanie krytycznym, znajduje się w wojewódzkim szpitalu...

– A ojciec? – przerwała mu Wanda, przeczuwając, że to tylko wstęp do złych wiadomości. – Jechali razem, wracali z Niemiec do domu na święta... – zaczęła tłumaczyć przebieg zdarzeń. – Co z nim?

- Ojciec? Nie rozumiem... - Policjant się zdziwił.
- No co z nim? - powtórzyła głośniejszym głosem. - Melduj, stary, pracowałam kiedyś w firmie, możesz otwarcie gadać.
- Ale na miejscu zdarzenia była tylko pani matka. Wygląda na to, że to ona kierowała pojazdem. Rozumiem, że to nie jest nic nadzwyczajnego?
- Miała prawo jazdy, ale rzadko prowadziła, a już na pewno nie wtedy, gdy jeździli we dwójkę. Na sto procent kierował wtedy ojciec. Mama wspominała mi o tej podróży... Ale zaraz... - Wanda docisnęła klamkę w oknie, bo poczuła na ramionach nieprzyjemny chłód z zewnątrz. - Co to był za wypadek? - Zaczęła składać fakty. - Są inne ofiary?
- Nie... - odpowiedział cicho policjant.
- Ach, to dobrze. Czyli co, jakieś drzewo? Albo nie wiem... dzik?
- No właśnie... jeszcze nie wiadomo. Nie ma żadnych świadków, samochód niespecjalnie poobijany, znaleziony w rowie jak po jakimś zwykłym poślizgu, co przy tej aurze może się przecież zdarzyć. Ale wie pani, nasi ciągle tam pracują, pewnie zaraz się wszystko wyjaśni.
- Ale co z ojcem? Przecież byli razem. Coś musiało mu się stać! Trzeba go szukać!
- Powtarzam, że w samochodzie znaleziono tylko pani matkę. Jeśli technicy potwierdzą, że jechał z nią pani ojciec, to oczywiście...
- Podaj lokalizację - przerwała mu. Już się zbieram! No i powtórz, proszę, co to za szpital, do którego zabrali matkę. - Hakerka nerwowo rozglądała się po zagraconym pokoju. Chwyciła pudełko po pizzy i szybko zdjęła zębami skuwkę z grubego czarnego pisaka.

CZEŚĆ 1



ROZDZIAŁ 1

[dwa tygodnie wcześniej;
10 grudnia 2019]



Breloczek z wieżą Eiffla niemal parzył ją w dłoń. Mimo to ścisnęła ten kawałek metalu jak jakąś relikwię, jakby ten wyimaginowany ból miał przynieść jej ukojenie.

Anna Maria Kier weszła na podwórko przed domem ojca i uśmiechnęła się do ochroniarzy. Jej spokój był kolosem na glinianych nogach, o czym doskonale wiedziała trzymająca ją pod rękę Wanda. Hakerka ścisnęła łokieć przyjaciółki, jakby ta miała ochotę uciec. Za współniczkami szedł Tristan, któremu ochroniarze ukłonili się, niemal salutując, a na końcu pojawił się Stańczyk z Haną Nową-Kraus, a właściwie Anną Nowak-Księżopolską, matką Anny Marii Kier, była właścicielką tego lokum. Ochroniarze zawiesili wzrok na Stańczyku, dawnym pracowniku Króla, porozumieli się na migi. Doskonale znali tego mężczyznę i nie mieli wątpliwości, że teraz on tu dowodzi.

– Kochani, zatrzymajmy się na chwilę. – Kier wstąpiła na pierwszy schodek i odwróciła się do zebranych. Grudniowy ziąb sprawił, że cała się trzęsła i z trudem powstrzymywała drżenie brody. Pomachała wesoło kluczami i siłać się na uśmiech, dodała, spoglądając na Hanę: – Mamo, chcesz wejść do swojego domu jako pierwsza?

– Nie, dziecko. – Starsza kobieta, otulona grubym kaszmirowym szalem, odkaslnęła nerwowo w zaciśniętą pięść. – To już dawno nie jest mój dom. I chyba nigdy nie był, prowadź! – Wskazała ruchem brody wejście, przy okazji omiatając wzrokiem podwórko. Nie dostrzegła niczego podejrzanego.

Anna Maria sprawnie odryglowała zasuwę i po chwili otworzyła drzwi. Z wnętrza buchnęła woń kurzu, duchoty i naftaliny. Weszła odważnie, energicznie wytarła brązowe skórzane conversy na wycieraczkę

i pierwsze kroki skierowała do kuchni. Mimo chłodu na zewnątrz, otworzyła szeroko okno i zaczęła się krzątać po pomieszczeniu. Nastawiła wodę na herbatę, znalazła szklanki, które następnie optukała, i nim wszyscy weszli do środka, dla każdego przygotowała krzesło. Nie cierpiała sytuacji, kiedy nie dla wszystkich było miejsce przy stole. Traktowała to jako wyraz jakiejś segregacji. Coś niedopuszczalnego.

Zebrani zajmowali w ciszy miejsca. Wszystkim udzieliło się trudne do określenia napięcie, jakby uczestniczyli w czymś w rodzaju przestępstwa. Choć byli tu legalnie, to mieli wrażenie, że przekroczyli Rubikon. Dom Króla, prokuratora Księżopolskiego, przez całe lata był twierdzą nie do zdobycia, a już na pewno nie był miejscem, gdzie leniwie popijało się herbatkę.

Tristan szybko dołączył do krzątającej się matki. Otworzył puszkę z herbatnikami, przyniósł z kredensu dużą paczkę ptasiego mleczka i delicje z nadzieniem pomarańczowym. Bez trudu znalazł serwetki w drugiej szufladzie szafki; wyraźnie czuł się jak u siebie. Hana Nova-Kraus siedziała sztywno i nie spuszczała oka z wnuka. Rejestrowała każdy jego ruch, a momentami z niedowierzaniem kręciła głową.

– Jaką lubisz herbatę... babciu? – spytał chłopak szeptem, otwierając dużą szafkę z pudełkami liściastego naparu. Imponująca kolekcja.

– Zwykłą earl grey. – Kobieta machnęła ręką. Miała łzy w oczach, nie mogła ukryć drżenia brody. – Jestem w tym domu po raz pierwszy od ponad czterdziestu lat – zaczęła cicho. – Myślałam, że nigdy tu nie wrócę. – Odruchowo dotknęła grubej ceraty, jakby ta miała ją uspokoić. – Nie mogłam zabrać swoich książek, pamiątek po rodzicach, nawet ulubionego czerwonego kubka, który zawsze wybierała moja córeczka... Mój Boże... – Westchnęła ciężko i zamilkła.

– Ocalałe rzeczy są w piwnicy i częściowo na strychu. – Wanda przerwała niezręczną ciszę, która zawisła nad nimi jak ciężkie nabrzmiałe chmury. – Tristek, pokażesz babci? – skierowała pytanie do chłopaka, który drżącymi dłońmi ustawił przed Haną duży czerwony kubas z parującą herbatą. Chłopak przytaknął i wrócił do obsługiwaniana.

– Macie inny problem, kobiety – odezwał się wreszcie Wojciech Błaznowski, pseudonim „Stańczyk”, łysiejący żylasty mężczyzna w małych drucianych okularach, dawny pracownik Króla, cyngiel, który uratował życie matce Anny. Sfingował egzekucję i pozwolił żonie Księżopolskiego uciec: dał jej swoje oszczędności, by mogła wyjechać do Niemiec, później do Szwajcarii, i tam zacząć nowe życie pod zmienionym nazwiskiem. Zapaść się pod ziemię i raz na zawsze zniknąć z oczu prokuratorowi Tadeuszowi Księżopolskiemu.

Po wielu latach, gdy Król rzekomo zachorował na alzheimera, Hana postanowiła zbliżyć się do córki, w czym miała pośredniczyć Wanda. Jej

zadanie polegało na doprowadzeniu do bezpiecznego spotkania z Anną. Miała też zyskać stuprocentową pewność, że Stańczyk się nie wygadał i nadal nie pracuje dla Króla.

Ta historia swój finał miała właśnie tutaj, przy kuchennym stole, w domu nieżyjącego prokuratora Księżopolskiego.

– Jaki problem? – zareagowała przytomnie Anna. Wbiła wzrok w Stańczyka i zmrużyła oczy. – Miałam nadzieję, że wraz ze śmiercią ojca skończyły się wszystkie nasze problemy. Raz na zawsze! – wysyczała, tłumiąc narastający wybuch wściekłości. Zaciśnęła dłoń, powstrzymując się przed uderzeniem pięścią w stół. Nie, nie może pozwolić sobie na takie emocje. Musi trzymać nerwy na wodzy, inaczej zdominują jej analityczny umysł, a przecież samokontrola to prawdziwy skarb ewolucji.

– Szafa. – Błaznowski spojrział na sufit i westchnął przeciągle. – Za kilka tygodni cała Polska będzie mówić o szafie Księżopolskiego – prychnął i pokręcił głową, okazując znużenie. – Przypominam wam – kontynuował, składając dłonie jak do modlitwy – że to jak bomba atomowa. Dokumenty z tego sejfu mogą zdetonować kilka pięknych karier, a nawet wyeliminować z tego łoża padółu paru ustawionych dożywotnio gagatków. – Stańczyk spojrział na Tristana. – Prawda, chłopaku?

Syn Kier przytaknął cicho. Usiadł obok matki, skulił ramiona i spojrział na blat stołu. Tak, to prawda, dziadek szykował go na następcę. To prawda, że Tristan znał zawartość kilku teczek i znał mechanizmy ich tworzenia. No i dobrze wiedział, jak można by wykorzystać zebrane tam informacje. Wbrew temu, co zwykł mawiać dziadek, był pojętym uczniem, tylko że wcale nie marzył o takiej schedzie. Wolalby wrócić do beztrudnego życia. Do książek, za którymi tęsknił. Do swojego starego ojca, którego zaniedbał i zostawił samego w dużym mieszkaniu w centrum miasta. Tak właśnie o tym wszystkim myślał. Nie chciał zwracać sobie głowy tą cholerną szafą. Nigdy więcej.

– Spalmy to wszystko – szepnął chłopak, nie podnosząc wzroku.

Tristan mimo trudnych chwil, jakie miał za sobą, wyglądał naprawdę dobrze. Przytył trochę, nabrał rumieńców, a ślad po ciężkiej chorobie wreszcie zaczął blednąć.

– Wykluczone! – odchrząknęła Anna. – Moim zdaniem musimy to oddać...

– Komu? – prychnął Stańczyk i sięgnął po ptasie mleczko. Włożył do ust dwie pianki. – Może do prokuratury? – Uśmiechnął się, pokazując pozostałości czekolady na zębach. – Nie pamiętacie, co się stało ze Stawickim? – Przeciągnął kciukiem w poprzek szyi.

– Kto to? – Matka Anny przeniosła zamyślane spojrzenie na Stańczyka.

– Prokurator, który miał wsadzić Króla, kiedy ten przebywał w ośrodku i symulował chorobę. Jakoś nie udało mu się tu dostać. – Błaznowski

postukał nerwowo w blat stołu. – Z nakazem przeszukania. Przecież w sekundę mógł rozwalić te ściany! – dorzucił z lekkim poirytowaniem w głosie.

– Taaa, wiadomo, że sprawę umiejętnie zablokował Tobi – wtrąciła Anna, wzruszając ramionami. Doskonale знаła te mechanizmy.

– Tobi? – Hana Kraus odstawiła kubek z herbatą i zmrużyła oczy – Czy mówicie o Tobiaszu Harpagonie?

– Tak, ale Juniorze. To on teraz decyduje o wszystkim w tym kraju – skwitowała Wanda. – Jak zwykle, prywatny folwark.

– Dopóki Tobiasz nie zajmie się tą sprawą osobiście, nikt tu nie przyjdzie, a to nastąpi dopiero za jakiś czas, sprawa musi przyschnąć. Albo załatwi to... no cóż, nieformalnie. Teczki z szafy Króla mogą obciążać pozostałych współników, w tym samego Harpagona. Ojca i syna – oświadczył Stańczyk tonem mędrca i ostatecznej instancji.

– No to co robimy? – Kier rozejrzała się nerwowo, szukając odpowiedzi u współniczek. – Przecież to wreszcie pozwoli ukarać tych, którzy na to zasłużyli, a innym pomoże odzyskać spokój. Mam tak się poddać? Bez walki? – kontynuowała z wyraźną nadzieją w głosie. – Macie kogoś zaufanego?

– Nie rozśmieszaj mnie! – Stańczyk wepchnął delikcję do ust. – To tak, jakbyś przekazała Tobiaszowi biznes ojca. I przy okazji nieźle się podłożyła! Poza tym ci u rządów zrobią wszystko, żeby te dokumenty nie ujrzały światła dziennego.

– Tam są haki na każdego. Żadna władza tego nie upubliczni. Żadna opcja polityczna tego nie tknie, bo umoczeni są absolutnie wszyscy, od prawa do lewa – wtrącił drżącym głosem niepytany Tristan. – Po czubek głowy – szepnął, kończąc zdanie.

– No to co? Dziennikarze? Jakaś telewizja, Internet? – Kier gorączkowo szukała pomysłu, zerkając na zgromadzonych, ale nikt nie reagował.

– Spal to – wycedziła po dłuższej chwili Hana.

– Ale... przecież ja mogę zrobić z tego legalny użytek. Może wreszcie sprawiedliwość dosięgnie tych, którzy tyle lat przed nią uciekali. A może jest ktoś, kto siedzi niewinnie albo został uwikłany w jakieś machloje, odpowiada nie za swoje grzechy? – Anna Maria Kier wzruszyła ramionami. – Dlaczego nie mam pomóc tym, którzy na to zasługują? Tak łatwo mam po prostu wszystko spalić? Możemy uratować komuś życie! – bulwersowała się matka Tristana. Od zawsze uważała, że coś w rodzaju sprawiedliwości społecznej jest największą zdobyczą cywilizacji. Przez całe zawodowe życie była uważna, rzeczowa, ale też formalna i zasadnicza. Każdy powinien mieć prawo głosu i możliwość obrony, a wskazanie winnego nie może być wynikiem jedynie poszlakowego śledztwa w celu podkreślenia statystyk. Ona sama, jeśli już potrafiła

udowodnić czyjaś winę, to oczekiwała sprawiedliwego procesu i odstraszającej kary. Bez wyjątków.

Tak, była pryncypialna aż do bólu i prawdopodobnie właśnie dlatego osiągała spore sukcesy w policyjnym mundurze, zanim przeszła na emeryturę i razem z Wandą założyła agencję detektywistyczną.

– Zgadzam się na to, pod jednym warunkiem. – Stańczyk wyprostował się nagle i odchrząknął, przyciskając pięść do ust. – Teczki, w których są jakiegokolwiek moje dane, palicie bez dyskusji. Zauważcie, że żaden z tych dokumentów nie obciąża bezpośrednio Króla. – Błaznowski przycisnął mostek drucianych okularów do nosa. – Przecież w teczce Hany jest tylko moje oświadczenie, a wskazani świadkowie nie wiedzą nawet o istnieniu Księżopolskiego. Nie ma informacji, że zrobiłem to dla niego. Nigdzie nie znajdziecie prawdziwego zleceniodawcy. Ta i inne teczki obciążają tylko mnie i innych, którzy dla niego pracowali. Trzymał nas w szachu do końca życia. Swojego na szczęście – prychnął z satysfakcją.

– Dobre! – Kier pokiwała z uznaniem. – Cały tatuś. Święty i nieskazitelnie uczciwy.

– On nigdy niczego i nikogo się nie bał – dodała Hana, zerkając na córkę. – Był kolekcjonerem dowodów zbrodni wykonanych w jego imieniu. To był rodzaj jakiegoś trofeum i świadectwo panowania nad światem.

– Podobnie bezkarnie czują się sprawcy, którzy z miejsc przestępstw zabierają przedmioty należące do pokrzywdzonych i robią zdjęcia ofiar lub je filmują. Może się to wydawać niepojęte, ale jest nader częste. – Anna spojrzała na syna i poczuła silne ukłucie w dole brzucha. Narcyzm jej ojca rozrósł się do monstrualnych rozmiarów. On nie miał w sobie grama empatii, nie czuł lęku. Z każdym dniem bezkarności pycha coraz bardziej wypełniała jego serce, a nawet rozum.

– Wiem, że to, co mówię, brzmi nieprawdopodobnie, lecz zapewniam was, że nigdy nikogo nie skrzywdziłem. Jeszcze kiedyś to udowodnię. Ale z tym – Stańczyk wskazał brodą na sufit – teraz nie wygram.

Na pięttrze, nad nimi, była ukryta szafa Króla.

Zapadła niezręczna cisza. Każdy z nich, zatopiwszy się w swoich myślach, popijał herbatę.

– No dobrze! – Grupowe milczenie przerwała zdecydowanym i donośnym głosem Wanda. – Teraz nie mamy żadnej sprawy, w ostatniej Baryłka dał dobry bonus, sypnął groszem. To może przejrzymy te dokumenty? – zaproponowała Lechicka, wiedząc, że przyjaciółka właśnie tego oczekuje. – Może uda nam się uratować kogoś niewinnego, tylko nie wiem, jak miałybyśmy to zrobić. – Westchnęła, tłumiąc wątpliwości i brak wiary w sens tego działania.

– Kobiety, to jest naprawdę niebezpieczna zabawa – wtrącił Stańczyk, zerkając na Hanę. – Nie bawcie się w Jamesa Bonda, życie to nie film.

– Okej, Wanda ma rację, przejrzyjmy szafę, przynajmniej... nie wiem... skatalogujemy nazwiska, sprawdzimy, choćby pobieżnie, czy można będzie komuś pomóc. – Anna potarła dłonie wyraźnie z siebie zadowolona.

– Albo zaszkodzić... – burknął Stańczyk i siorbnął spory łyk herbaty.

– Śledztwo w sprawie śmierci ojca jeszcze trochę potrwa, przez pewien czas wszyscy będą siedzieć cicho. A poza tym... cóż, ja się chyba już niczego nie boję. Chodźmy po twoje rzeczy, mamó, rozejrzysz się na spokojnie. – Kier wstała i położyła dłoń na ramieniu matki.

Ale nim starsza kobieta zdążyła zareagować, w kuchni pojawił się jeden z ochroniarzy. Facet z kitką i podgoloną głową w stylu wikinga. Anna tak go kiedyś nawet nazwała. Jej ulubieniec, jedyny, który z nią rozmawiał.

– Musimy pogadać – mruknął i kiwnął głową, dając jej znak, by podążyła za nim.

Kier ruszyła za mężczyzną, bo choć nie chciała wchodzić na teren zarządzany przez Króla, to wiedziała, że nie ma już wyjścia. Powinni zdecydować, co dalej.

– Wiem, że musimy się jakoś rozliczyć... – zaczęła niepewnie, gdy znaleźli się w gabinecie prokuratora Księżopolskiego.

– Ech, to jeszcze nie czas. Jesteśmy opłaceni do końca przyszłego kwartału. – Wiking machnął ręką... – Ale fakt, musisz zdecydować, co z biznesem. – Zniżył głos i zmarszczył brwi. – Zrobiło się naprawdę gorąco. Nie pamiętam tygodnia, byśmy nie mieli tu jakichś nieproszonych gości, począwszy od VIP-ów, mniej ważnych polityków przez dziennikarzy aż po, hm... – ochroniarz westchnął – podcasterów, youtuberów i innych dziwnych ludzi, którzy próbują uzyskać jakieś informacje, kręcą filmiki tymi swoimi telefonami i szukają sensacji, mendi jebane. Tu – wskazał ręką na laptop – rejestruje się każda wizyta, monitoring jest naprawdę wszędzie. Podłączyłem zastępczy laptop szefa, wgrałem nagrania co najmniej sprzed miesiąca, by zachować ciągłość, dla porządku, tak jak lubił. No i dla potwierdzenia rozliczenia, jakby co. No co się tak patrzysz? Przechowujemy to i owo, poprzedni sprzęt zabrali policjanci, kiedy pojawili się tu po jego śmierci. To było słabe przeszukanie, ale obawiam się, że za chwilę możesz dostać nakaz solidnego przetrzepania, do gołych murów, z ryciem ścian i... no cóż... Szafa szefa tylko na oko jest niedostępna. Niektórzy sięgną po wszelkie możliwe środki i moim zdaniem prędzej czy później na nią trafią. Raczej później, bo Król to sprytnie wymyślił, ale powtarzam, będziesz musiała coś z tym zrobić.

– Wiem, pamiętam tę skrytkę. – Anna pokiwała głową w skupieniu. Przypomniała sobie, jak jej ojciec siedział w areszcie, a ona znalazła szafę

schowaną za podwójną ścianą w jej dawnym pokoju. Klasycznie ukryte drzwi. Śledczy mogą do nich dotrzeć, choć wcale nie muszą, ale dziś niczego nie była pewna. – A Tobiasz Harpagon? Był tu ostatnio? – Kier przechyliła głowę i podeszła do biurka ojca. Odruchowo poruszyła myszką. Laptop po dłuższej chwili wybudził się z hibernacji.

– Ten teoretycznie najważniejszy z ważnych? – Wiking się uśmiechnął. – Tak, kilka razy, ale miałem wrażenie, że raczej pilnuje, żeby nic tu się nie znalazło. Na tamtego laptopa rzucił się od razu jakiś technik, dlatego zabrali. Harpagon nie mógł zabronić. – Ochroniarz cmoknął. – Ale szafu dostajemy z tą dwójką. – Wyjął z kieszeni starannie złożoną na cztery kartkę i podał Annie. – Raz prawie dałem się sprowokować. Nagrała mnie gówniara i pewnie puściła w Internecie.

– Kto? O czym ty mówisz? – Anna wbiła wzrok w rozmówcę, a po chwili rozłożyła karteczkę i przeczytała na głos: Tymon Zawadzki i Magdalena Dębska. Co to za ludzie? – Przeniosła spojrzenie na Wikinga. – Są parą?

– Nie, nie sądzę, pojawiają się zazwyczaj niezależnie. Dziennikarz śledczy i pozał się Boże podcasterka kryminalna. Tak się przedstawiła, ale ja nie wiem zbyt dobrze, co to znaczy... – Ochroniarz prychnął pogardliwie. – Namolna do wyrzygu! Zajmijcie się nimi w pierwszej kolejności, bo robią niepotrzebnie dużo szumu. Jakbyś czegoś potrzebowała, to jesteśmy u siebie, na dole. A tu – zerknął na rozświetlony ekran laptopa ze zdjęciem Tristana na wyświetlaczu monitora – trzeba podać hasło.

– Wanda się tym zajmie – odpowiedziała automatycznie Kier. Zerkając na wizerunek syna, poczuła silne ukłucie. Usiadła ciężko w fotelu ojca i odprowadziła wzrokiem Wikinga. Gdy usłyszała trzaśnięcie zamykanych drzwi w korytarzu, przeniosła spojrzenie na monitor.

To zdjęcie zrobiła Tristanowi, gdy jej ojciec przebywał w domu opieki. Tam, poddawany najlepszym zabiegom spowalniającym rozwój choroby Alzheimera, otoczony profesjonalną opieką, perfidnie oszukiwał świat i własną córkę, by uciec przed wymiarem sprawiedliwości. Właśnie w tamtym czasie Anna, miotana bez przerwy wyrzutami sumienia, wysyłała staruszkowi zdjęcia ukochanego wnuka. Tę fotkę zrobili przed pomnikiem Syrenki w upalny letni dzień, gdy jeszcze nie znali diagnozy. Wtedy wszystko wydawało się lekkie i proste. Ich życie miało być szczęśliwe. A potem guz mózgu, aresztowanie ojca, odkrycie tajemnicy byłego męża, odnalezienie matki – aż do tych ostatnich wydarzeń na polowaniu.

– Jak mogłam na to wszystko pozwolić? – Spojrzała na monitor, a po jej policzkach płynęły łzy. – Jak mogłam dopuścić do tego, by mój syn zlecił twoje zabójstwo? – szeptała Kier do zdjęcia, jakby z kimś naprawdę rozmawiała. – Jak śmiałeś mówić, że go kochasz? Myślałeś tylko o sobie,

jak zawsze zresztą – prychnęła. – Co zrobiłeś z tym chłopakiem, że chciał cię zabić, swojego jedyne go ukochanego dziadka? – Kier mówiła do ojca, jakby ten rzeczywiście mógł ją słyszeć. – I naprawdę to zlecił, kurwa mać! – Uderzyła pięścią w stół, aż zdjęcie na monitorze drgnęło. – Jak on ma z tym teraz żyć? – Pociągnęła nosem i zacisnęła dłonie tak mocno, że aż zbiały jej kostki.

– Pogadaj z Ursulą. – W pokoju rozległ się nagle głos Wandy. Hakerka stała w milczeniu, oparta o framugę, ze skrzyżowanymi ramionami na piersi. Anna drgnęła, wystraszona. – Przecież kiedyś pracowała jako psycholog dziecięcy, pomoże Tristanowi – kontynuowała Lechicka spokojnym tonem. – Tobie też przydałaby się jakaś terapia, wojowniczo! – Puściła oko do przyjaciółki i się uśmiechnęła.

– Ech, poradzę sobie! – Kier ukradkiem otarła łzę z policzka i na pozór beztrudnie wyprostowała plecy. – Mam matkę, Aleksa, zdrowego syna... Poradzę sobie, naprawdę! – Wstała energicznie i z udawaną swobodą zbliżyła się do drzwi, jakby za chwilę miała zacząć tańczyć. – Ale z Ursulą to świetny pomysł, umówię Tristka. – Puściła oko do współniczki i próbowała ją wyminąć.

– Poczekaj. – Wanda wyciągnęła rękę, tamując przejście. – Kiedy im powiesz? – Hakerka pokazała brodą w głąb mieszkania. – Że sprzedajesz ten przybytek?

– Jeszcze nie pora, poczekajmy do końca śledztwa. Wciąż nie znaleziono sprawcy, ale nie wyklucza się też przypadkowego postrzelenia przez jakiegoś myśliwego. Na wszystko przyjdzie czas – dodała cicho Anna.

ROZDZIAŁ 2

[16 grudnia 2019]



Kilka dni później Wanda Lechicka wpatrywała się we współniczkę z niekłamaną ciekawością. Siedziały w domu prokuratora Książopolskiego, w pomieszczeniu na górze, dawnym pokoju dziecięcym, aktualnie służącym za garderobę. Zgodnie z planem przyjaciółki miały przejrzeć nazwiska i zastanowić się, czy któraś z przechowywanych w ukrytej szafie teczek mogłaby się komuś przydać. Lechicka przygotowała specjalną aplikację, dzięki której wpisanie danych z teczki miało dać możliwie szybką odpowiedź, czy adresat pełni obecnie jakąś publiczną funkcję, czy ma lub miał konflikt z prawem, a także czy jest lub był w jakiś sposób powiązany ze światem przestępczym.

Hakerka była przeciwniczką całej tej akcji z przeglądaniem i analizowaniem zawartości teczek. Uważała, że dokumenty należy spalić lub przekazać w ręce prokuratury, ale ponieważ nie ufała obecnej władzy, to kilkakrotnie i dość wyraźnie opowiedziała się za pierwszą opcją. Spalenie tego gówna wydawało się najlepszym wyjściem, kładącym kres bezwzględnej działalności Króla. Tylko jak zwykle przegrała ze stanowczą Kier, która wyciągnawszy ostrożnie pierwszą teczkę, niemal z namaszczeniem położyła ją na stole i przeczytała na głos nazwisko:

– Abrański. Tomasz Abrański – powtórzyła głośno i wyraźnie, powoli rozwiązując szare parciane sznurki.

Lechicka wbiła dane do aplikacji i po chwili usłyszały ciche tyknięcie, jakby jednorazowy sygnał włączonego kierunkowskazu w samochodzie. Anna podniosła wzrok, zaskoczona.

– Zainstalowałam dźwięk, który podpowiada, czy ta osoba nas interesuje. Po to, byś nie musiała bez przerwy dopytywać i kwestionować wyników algorytmu. Odkładaj! – Lechicka wskazała ręką na duży karton stojący tuż przy stoliku.

- No poczekaj, chociaż rzucę okiem. - Kier rozwiązała teczkę i rozchyliła tekturę. - Tomasz Abrański, założyciel konsorcjum medialnego GXL... - Przesuwała wzrokiem po gęsto zapisanej kartce. Po dłuższej chwili, zniechęcona, zmrużyła oczy z wyraźnym znużeniem. - Ma jakieś dziwne powiązania - stwierdziła. - Ale myślę, że każdy z nich - wskazała na resztę teczek - właśnie takie ma. To nie jest bezużyteczny materiał, ale dla kogoś, kto wie, jak to czytać. Ja nie mam na to czasu.

- Kierunkowskasz prawdę ci powie - dodała wesoło Wanda, wskazując stojący obok karton. - Odkładaj!

- Zołza. - Anna zawiązała sznurek i delikatnie włożyła teczkę do przygotowanego pudła.

Po kilkunastu kolejnych odgłosach kierunkowskazu spojrzały na szybko zapełniający się karton. Kier teatralnie wzdychała, okazując niezadowolenie, ale Wanda była nieugięta.

- Jestem połączona z najlepszymi bazami danych, naprawdę, śmiało możemy iść dalej! - zapewniła współpracowniczkę i wskazała brodą na kolejną półkę ukrytej szafy, po czym podała nazwisko. Nagle usłyszały głośny klakson. Anna nerwowo podskoczyła, ale po chwili uśmiechnęła się pobłażliwie i spytała:

- Jak rozumiem, ten sygnał mówi, że coś mamy?

- Tak. - Lechicka zmrużyła oczy, a w pokoju rozbrzmiał stukot klawiszy. Po chwili Wanda zerknęła na współpracowniczkę i głośno wypuściła powietrze przez nos. Podniosła dłonie znad klawiatury.

- No, co masz? - Anna spojrzała na nazwisko i zaczęła rozwiązywać parciany sznurek spinający tekturowe okładki.

- Darewicz, tak? Mariusz? - Hakerka uniosła brew, upewniając się jeszcze raz, że Kier nie pomyliła nazwiska. Detektywka przytaknęła energicznie, wyczekując odpowiedzi. - Urzędnik z okolic Płocka, podejrzany o przyjęcie korzyści majątkowej. Śledztwo umorzono z powodu niewystarczających dowodów. Sprawa sprzed dwunastu lat. - Wanda powoli odczytywała informacje ukazujące się na jej monitorze.

- No tak. - Anna pokiwała głową. - Te dowody pewnie są tutaj. - Stuknęła w teczkę i ją otworzyła. Ze środka wypadły połówki papiery, dwie czarno-białe fotografie i dokument z państwową pieczęcią. Zaczęła przeglądać zawartość z rosnącą irytacją. Przygryzła wargę i zatopiła się w lekturze. Po krótkiej chwili złożyła papiery i pokręciła głową. - Nie, to jakiś bezsens. - Rozłożyła bezradnie ręce. - Takich drobnych spraw będzie tu mnóstwo - dodała i się skrzywiła. Z impetem odłożyła akta, przymknęła oczy i rozmasowała kciukami skronie.

Wanda obserwowała tę scenę z lekkim rozbawieniem i niewypowiedzianym, ale cisnącym się na usta zdaniem: „Mówiłam, że tak będzie”. Milczała jednak, wpatrując się we współpracowniczkę.

– To powinno trafić do prokuratury, nie będziemy się bawić w Robin Hooda – odpowiedziała po namyśle Anna i cisnęła teczkę do drugiego stojącego przed nią kartonu. – Pomyślmy jeszcze, ja w każdym razie mam dość na dzisiaj. Chociaż może... – zastanowiła się, marszcząc brwi. – Może wybierzmy tylko te nazwiska, które znamy z pierwszych stron gazet? Nie wiem, może ministrów?

– Jasne. – Lechicka pokiwała głową z politowaniem. – Bo tylko oni zasługują na sprawiedliwość? Albo wszyscy, albo nikt, Anka.

– Racja, ale nie mam do tego głowy, kończymy na dziś – odpowiedziała stanowczo Kier i znów rozmasowała skronie.

– Okej. – Wanda z nieskrywaną radością zamknęła laptop.

– A co robimy ze Stańczykiem? – spytała Kier, gdy współniczka schowała sprząt do plecaka.

– W jakim sensie?

– Nie czujesz czegoś w rodzaju dysonansu? To płatny morderca, a my siedzimy z nim przy stole, pijemy herbatę i jemy ciastka jak na podwieczorku u królowej angielskiej. Doceniam, co dla nas zrobił, ale wydaje mi się, że nasze kontakty muszą się natychmiast urwać, a już chyba najmniej powinien włączać się w temat tych cholernych teczek! – Głos Anny stał się zimny i mocny jak stal.

– Błaznowski twierdzi, że jest niewinny; tak tylko przypominam. – Lechicka rozłożyła ramiona w geście udawanej bezradności.

– Jasne – prychnęła Anna. – Chociaż zaintrygował mnie tym wyznaniem – dodała po chwili, jakby zgadzała się ze swoimi myślami. – Twierdzi, że nie stał za zabójstwem Króla. Ani on, ani matka. Są zdumiewająco pewni, że to wypadek na polowaniu. Ech, musimy dać policji popracować. – Zdmuchnęła kosmyk włosów z czoła. – Ja ręki do tego nie przyłożę! A Stańczykowi nie do końca wierzę w tę jego niewinność, przecież mój ojciec by go prześwietlił w try miga. Mięczaka i kombinatora zdecydowanie by się pozbył.

– Hm... coś jest na rzeczy. To co dalej? – Hakerka uniosła brwi.

– Nie wiem, Wanda, ale źle mi jest z tym wszystkim – westchnęła Anna. – Ja nie umiem tak żyć, jakby nic się nie stało, przejść obojętnie wobec zbrodni.

– Dobrze, zostawmy to na dziś, nie wymyślmy niczego sensownego.

Współniczki schowały do szafy dokumenty, wszystko zabezpieczyły i opuściły posesję Króla w minorowych nastrojach. Obie były zadaniowe, nie lubiły poddawać się już na początku, ale w tym wypadku nie miały pomysłu ani tym bardziej planu, co zrobić z szafą Książopolskiego.

Gdy tylko ochroniarze zamknęli za nimi furtkę, poczuły przejmujący chłód. Rzeński zimowy wiatr smagał im policzki. Wanda podniosła kołnierz kurtki, a Anna schowała twarz we wzorzystym szalu. Nie nadeszła jeszcze

pora na podejmowanie decyzji. Potrzebowały czasu i dystansu. Wreszcie nie musiały się spieszyć i ukrywać z działaniem w domu Króla.

– Już za chwilę święta, jak je spędzisz? – spytała w końcu Anna, gdy nagle minął ich, sunąc z wolna ulicą Francuską, czerwony samochód udekorowany w mikołaje i bombki, wydający z siebie metaliczną wersję popularnego amerykańskiego świątecznego przeboju.

– Nie wiem jeszcze. – Wanda wzruszyła ramionami, choć tak naprawdę miała ochotę zapaść się pod ziemię. Od kiedy ojciec zakomunikował jej, że może do nich wrócić tylko pod warunkiem, że się wyleczy, spędzała święta sama. Oglądała wówczas filmy, spała, piła piwo i jadła pizzę. Traktowała te dni jak każde inne – tak jej się przynajmniej wydawało. Zamrugnęła, by pozbyć się obrazu, który nagle, jak nieproszony gość, pojawił się pod jej powiekami. Ta cholerna i bolesna przeszłość nigdy nie zostawi jej w spokoju. To dlatego z każdym wspomnieniem jej pancierz niedostępności stawał się grubszy o kolejną warstwę.

Znowu ma dwadzieścia pięć lat, jest późny wieczór, za oknem pojawiają się pierwsze nieśmiałe płatki śniegu, a z salonu dobiega krzykliwy dżingiel programu informacyjnego. Wanda stoi w korytarzu pachnącego pastą do drewna rodzinnego domu pod Łodzią i przerażonym wzrokiem szuka u matki ratunku. Niech ta kobieta wreszcie się zbuntuje! Niech powie, że się nie zgadza! Ale nic takiego nie następuje. Matka chowa się w kuchni, zmywa naczynia z tym swoim stoickim spokojem, a ojciec, ze sztyletami w oczach i nabrzmiałą z wściekłości twarzą stoi w korytarzu i pluje. Z siwą brodą i wąsami, pożółkłymi od nikotyny. Jego popielate przydługie włosy sterczą sztywno, jakby dopiero wstał. Wanda głośno przełyka ślinę i zaciska powieki.

– Brzydzę się tobą, Wanda! – Jan Lechicki mówi tonem, którego ona nigdy nie zapomni. Pełnym odrazy, jakby za chwilę miał się od niej zarazić trądem. Jego ciałem wstrząsa dreszcz, a słowa, które jadowicie wyrzuca z siebie, są jak świst bata. – To nie jest normalne, rozumiesz? – Ponownie spluwa jej pod nogi. – Nie tak cię z matką wychowaliśmy. Powinnaś mieć męża i założyć normalną rodzinę. Ja się nie chcę za ciebie wstydzić, przed sąsiadami ukrywać się jak jakiś przestępca. To takie trudne? Od początku byłaś dziwolągiem, a teraz jeszcze poszłaś za tą ogłupiającą modą, chyba z nudów, co? Weź się za jakąś robotę, a nie siedzisz tylko przy tym komputerze. To tam pewnie poznajesz te babochłopy, te lesbijki, tak? Chłopa nie miałaś, to nie wiesz, jak to jest. Baba bez bolca dostaje pierdolca. Wynoś się z domu, jak Boga kocham, bo tracę cierpliwość!

– Ale... – Córka próbuje przerwać ten słowotok, bezradnie przestępując z nogi na nogę. Jej trampki mają wciąż rozwiązane sznurówki, jakby to miało sprawić, że jednak będzie mogła zostać. Taki bilet wstępu, który zmiękczy serce ojca.

– Nie ma żadnego ale. Idź do jakiegoś specjalisty, przecież to zwykła fanaberia. Szybko pójdzie! Czytałem, że to można leczyć, i tylko od ciebie zależy, jak długo potrwa ta cała kuracja.

– Tato, ale to nie tak – zaproponowała cicho Wanda.

– A jak? Wstyd mi na całe miasto przynosisz! Ja jestem szanowanym, porządnym obywatelem, a nie ojcem zbrojenicy. Wynos się z tego domu! – Jan Lechicki splunął po raz kolejny i wskazał Wandzie drzwi. – Zawiodłaś mnie, i to bardzo. Jakbyś mnie zdradziła. Nie wiem, jak mam z tym teraz żyć, matka sobie przez ciebie życie odbierze! Nie masz ty, dziewczucho, za grosz litości dla starych rodziców!

– Daj już spokój, proszę cię, Jan – usłyszeli dobiegający z kuchni stłumiony głos matki, zagłuszany uderzeniami układanych naczyń.

– Wyleczysz się, wrócisz z chłopakiem i po sprawie! – Jan Lechicki klasnął w dłonie i uśmiechnął się, jakby właśnie udzielił najprostszej i najbardziej oczywistej rady. Do tego za darmo. – Tam, w tej Warszawie, na pewno są jacyś kandydaci, prawda? – kontynuował. – No już, wracaj szybko, córeczko. Zdrowa jak byk, rzecz jasna! – Machał ręką, jakby odganiał się od natrętnej muchy. Uśmiechał się przy tym cynicznie.

Wanda zerknęła w stronę kuchni. Jej matka przyłożyła do ucha dłoń z rozsuniętymi palcami, kciukiem i wskazującym, imitując w ten sposób słuchawkę telefonu.

– Moja noga nigdy więcej tutaj nie postanie. – Dziewczyna z trudem pohamowała wybuch płaczu. Spodziewała się awantury, łez, oburzenia, ale nie plucia i wyrzucenia z domu. Wiedziała, że jeśli wyzna rodzicom, że Kasia to nie jest zwykła przyjaciółka, sprawi im zawód, ale nie sądziła, że ojciec będzie się jej brzydził. Nigdy nie był specjalnie ciepły ani kontaktowy. Introwertyk, jak ona, zamknięty w swoim świecie, często nieobecny, całe dni spędzał w tym swoim warsztacie stolarskim lub gdzieś na robocie, mentalnie odcięty od świata. Nie potrzebował ludzi, tak jak ona. Nie spotykał się z sąsiadami, nie miał żadnej innej rodziny, a gdy matka wyjeżdżała do pracy do Niemiec albo do Szwajcarii, często był jej jedynym towarzyszem. Ona w komputerze, on w warsztacie, niczego więcej nie potrzebowali. Nawet jadali z ojcem w milczeniu, tylko wtedy byli obok siebie fizycznie. Blisko jak na nich. Ojciec nigdy jej nie przytulił, nie pogłaskał, nie pocałował. Rozumiał i akceptował, że ona tego nie znosi. Szanował jej granice.

Ale nigdy się jej nie brzydził.

Nigdy nie splunął w jej stronę.

A ona chyba nigdy wcześniej nie czuła się tak upokorzona i zraniona.

Wanda ostatni raz zaciągnęła się zapachem korytarza, tym ulubionym połączeniem woni drewna i pasty. Miała wrażenie, że ten zapach z upływem czasu nie blaknie. Zrzuciła na ramię spakowaną niedużą torbę z kilkoma ubraniami i plecak z laptopem i nie oglądając się za siebie, wyszła z ciepłego domu. Nie wiedziała, że na zawsze.

Padał już wtedy śnieg z deszczem, ale nawet tego nie zauważyła.

– Coś się stało? – Ze wspomnień wyrwał Wandę zatroskany głos przyjaciółki. – Wiesz, że możesz przyjść do nas. Będziemy w komplecie: Hana, Janusz, Tristan i – mam nadzieję – Aleks, jeśli wróci, w każdym razie tak obiecywał. – Kier była wyraźnie podekscytowana wizją rodzinnej Wigilii. Nie kontrolowała szczepiotu, który wydawała z siebie, tak do niej niepodobnego. – Byłoby nam miło, gdybyś wpadła, przecież jesteś jak rodzina, a co tam, nawet bardziej! – Anna złapała Wandę za rękę, ale ona bez zastanowienia ją wyrwała.

– Ja nie obchodzę świąt, uciekaj już do swoich i daj znać, co robimy z tą cholerną szafą. – Wanda przerwała słowotok współpracownicy i wskazała na dom Króla, przed którym wciąż stały. – Bo jeśli odpuszczamy, to warto rozejrzeć się za nową sprawą dla agencji. – Puściła oko i udając bez troskę, uśmiechnęła się do przyjaciółki.

– Tak, masz rację, Piach też już się zameldował, zdaje się, że wrócił do żywych. – Anna uniosła kciuk w górę, kończąc spotkanie.

Wanda pokiwiała głową ze zrozumieniem i nadzieją na kolejną sprawę w agencji. Nie przyznała się współpracownicy, ale była w ciągłym kontakcie z Piachem. Odwiedzała go w zatęchłej kawalerce, rzecz jasna wbrew jego woli, sprzątała wymiociny, przynosiła mu jedzenie i czekała, aż będzie miał dość. Nie wiedziała, jak to się stało, ale podczas pracy nad sprawą Baryłki stał się jej dziwnie bliski. Z powodu emocjonalnego tsunami, jakie zalało jej przyjaciółkę, i niebываłego tempa wydarzeń po śmierci ojca Anny Wanda czuła, że nie ma teraz dla niej miejsca przy Kier. Musiała przyznać, że prawdopodobnie ją pokochała, ponieważ Anna jako jedyna zaakceptowała ją w całej okazałości, ale dziś jakoś nie umiała się przebić przez otaczający ją tłum. Tristan, Hana, Aleks... Anka naprawdę była wyjątkowa. Nie krytykowała jej, nie podważała jej wyborów, opinii czy zdania. Nie sprawiła, by Wanda źle się czuła z powodu swojego introwertyzmu, niechęci do bliskości czy wyraźnych zaburzeń emocjonalnych na pograniczu spektrum autyzmu. Ani razu nie skomentowała jej orientacji czy niestandardowego, a tym samym nieakceptowanego społecznie zachowania, z czym wcześniej hakerka musiała się mierzyć przez wiele lat. Ta postawa przyjaciółki zapewniła

Lechickiej poczucie bezpieczeństwa i wolności. Wolności w byciu sobą, bez względu na wszystko.

Wanda często bywała przebodźcowana – za dużo ludzi, za dużo spraw, za dużo niepowodzeń albo wewnętrznych konfliktów. Do takiego stanu doprowadziła ją ostatnio sprawa Baryłki. Anka, bez konsultacji ze współnikami, zmieniła w niej postępowanie, a ich ustalenia wywaliła w kosmos. Jak się okazało, miała rację, ale mimo wszystko Wanda wkurzyła się wtedy na nią i postanowiła zniknąć. Zapomnieć i na chwilę przestać istnieć.

Nie, nie miała wyrzutów sumienia, że zostawiła przyjaciółkę w środku sprawy. Musiała po prostu uciec, a najlepszym ratunkiem był dla niej seks. Tylko dzięki niemu nie myśli o tym, co się dzieje wokół niej. Poznana na Tinderze Lisica zabrała ją na drugą stronę lustra. Na dłużej, niż się umawiały.

ROZDZIAŁ 3

[17 grudnia 2019]



Tristan siedział w kuchni na brązowym narożniku i czytał książkę. Odruchowo sięgał po przygotowane przez ojca herbatniki, zatopiony w lekturze nie zwracał uwagi na rozsypujące się okruchy ani na wpatrującego się weń Janusza Kiera. Starszy mężczyzna był szczęśliwy, że wreszcie odzyskał syna, ale ostatnio sprawy zaczęły mu się wymykać spod kontroli i przez to, zamiast radości, odczuwał zmęczenie. Wszechogarniające i przytłaczające. Przez niekończące się przesłuchania, analizy, zbieranie przez policję dowodów w sprawie śmierci Króla i wreszcie te cholerne billingi, do których powoli dobierali się policyjni informatycy, zaczął się bać. Nie zachował należytej ostrożności, bo po prostu nie wierzył, że to się uda. Ale Król nie żyje, a policja zaczyna deptać im po piętach. A może powinien powiedzieć o wszystkim Annie?

Janusz podrapał się po zbyt długiej, zapuszczonej siwej brodzie i mocniej zawiązał szlafrok.

– Co czytasz, synek? – spytał nerwowo, gdy syn nagle podniósł wzrok.

– E, na studia, nieważne, ojciec. A co tak stoisz? – Tristan odłożył książkę, zmarszczył brwi i przyjrzał się starszuskowi. – Żle się czujesz? – Odchrząknął i pogrubiał głos. Wyrwany nieoczekiwanie, poczuł, że mówi pedalskim falsetem, czego tak nie cierpiał dziadek Tadeusz. Przeszył go dreszcz. – Zimno tu. – Sięgnął po termos z gorącą herbatą. – Chcesz trochę? – spytał ojca, trzymając parujące naczynie w rękę. Janusz przytaknął i usiadł za stołem przykrytym poplamioną żółtą ceratą. Syn podał mu nieduży brązowy kubek wypełniony po brzegi herbatą, której mocny cytrusowy zapach rozchodził się po zakamarkach kuchni.

– A jak w szkole, synek? – Janusz Kier siorbnął spory łyk i sparzył się w usta.

– Doskonale, cieszę się, że wróciłem na studia – odparł Tristan jakby trochę za szybko. Gdy usłyszał swoje słowa, skulił ramiona i rozejrzał się nerwowo.

– Wszystko w porządku, synek. – Ojciec znowu upił łyk herbaty, trzymając kubek w obu rękach. Nie wiedział, co ma z nimi zrobić, miał wrażenie, że dłonie nagle stały się za duże. Nie wiedział też, jak poprowadzić tę rozmowę. Otworzył usta, ale zamiast powiedzieć przygotowane zdanie, sięgnął po herbatniki. Zamoczył je w herbacie i po chwili łapczywie wypchał do ust. – Ano właśnie – odezwał się znowu. Byłeś dziś na komisariacie, tak?

– Ehm – przytaknął Tristan i pociągnął nosem. Szybko objął trzęsącymi się dłońmi stojący przed nim kubek ze stygnącą herbatą. Chyba było to u nich rodzinne.

– No to mów, o co tam pytali? – Janusz próbował nadać głosowi beztroski ton.

– Ciągle o to polowanie. Gdzie stałem, gdy padł strzał, co widziałem, co słyszałem. Bez przerwy wałkują to samo.

– A o SMS-y pytali?

– Nie, chyba nie wiedzą. – Chłopak potrząsnął nerwowo głową. – Poza tym przecież zlecenie nie zostało przyjęte. Myślisz, tata, że za próbę zlecenia coś mi grozi? – Oczy chłopaka nagle się zaszklily, a broda zaczęła mu drżeć.

– E tam, to przecież nie wyjdzie. Grunt, że z naszej rodziny nie było żadnych podejrzanych połączeń z telefonem dziadka! – Kier teatralnie machnął ręką. Nawet mu nie zadrzała powieka, choć było to wierutne kłamstwo.

– Tatku, ja właściwie nigdy nie spytałem, ale skąd wiedzieliście, że zleciłem to Stańczykowi?

– Od niego. Skontaktował się z Haną, by cię chronić. Długo trzymali cię na smyczy. Stańczyk to przyjaciel twojej babci. Dlatego pojawiła się w Warszawie blisko twojej mamy. Chciała was chronić za wszelką cenę.

– No tak... Racja, to oczywiste. – Chłopak uśmiechnął się pod nosem. – To dobrze, że wybrałem jego, a nie Wikinga – dodał, spokojnie wydychając powietrze na końcu zdania. – Ciekaw jestem, kto to zrobił. I dlaczego. – Zawiesił głos, unosząc brwi.

– Tristek, przecież mama wielokrotnie ci to tłumaczyła. To był wypadek na polowaniu, dotychczas nie stwierdzono udziału osób trzecich i jak już mówiła, to nie było zabójstwo. Wypadek i tyle, rozumiesz? – Janusz Kier wbił spojrzenie w syna i poczekał, aż złapią kontakt wzrokowy. Starał się być przekonujący, choć czuł, że z każdym słowem jeżą mu się włosy na karku. Nie ma chyba nic trudniejszego niż podtrzymywanie kłamstw. – Mnie wezwali na jutro – dodał, siłąc się na swobodny ton.

– Mama idzie z tobą?

– Nie, nie ma potrzeby, ale wiesz, gdyby nagle stary ojciec nie wrócił, to daj jej znać, dobrze? – Kier puścił oko do syna, czym wyraźnie go rozbawił. Na szczęście Tristan nie zauważył, że ojciec wcale nie żartuje.

Ekspres wydał z siebie świszczący bulgot, zapiszczał, a na wyświetlaczu pojawił się komunikat o braku kawy.

– Jasne. – Kier spojrzała na niego z wyraźną niechęcią. – Teraz jeszcze niech zabraknie wody albo włączy się płukanie, co za szajs! – syknęła i ciężko wdychając, przystąpiła do wskazanych czynności. W paczce z kawą była dosłownie garstka ziaren. Złośliwość rzeczy martwych. Zawsze tak się dzieje, po prostu zawsze! Szczególnie wtedy, gdy człowiek się spieszy. Spojrzała na zegarek wiszący nad kuchennymi drzwiami. – Cholera! – Wyłączyła ze złością ekspres i podbiegła do laptopa. Była spóźniona. Na pasku narzędzi dojrzała ikonkę nieodebranego połączenia. Szybko kliknęła dwa razy i włożyła słuchawki.

– Halo, Ursula. Przepraszam – powiedziała, gdy tylko na ekranie pojawiła się zaprzyjaźniona profilerka z Niemiec. – Już cię słucham! – dodała łagodnie i wskazała gestem na pałak okalający uszy.

– Okej, nicz sze nie stało. – Blondynka z kucykiem uśmiechnęła się szeroko.

To Wanda poleciła kiedyś Ursulę Annie. Rady i analizy tej psycholożki okazały się w poprzednich śledztwach kluczowym elementem, znacznie przybliżającym do wyjaśnienia prowadzonych spraw. Ostatnio Anna z Ursulą miały kontakt przy okazji próby umówienia Tristana na wstępne konsultacje, ale chłopak odmówił.

– Dziękuje czy, że snalasz *zeit...* – zaczęła nieśmiało Luft i nagle uwydatniły się kurze łapki wokół jej oczu. – Zadzłałam trochę pochopnie z tą wiadomością do ciebie, ale przyznam, że nie wiem, co zrobisz... – Profilerka westchnęła.

Dopiero teraz Anna dostrzegła, że jej rozmówczyni wygląda na zmęczoną, a po jej tak dobrze znanej energii nie został nawet ślad.

– Mów śmiało, przecież jesteśmy współpracownikami! – Detektywka posłała Luft zapraszający uśmiech. – Zamieniam się w słuch.

– Okej, Ana... Widzisz, ja szę nie zajmuję tą sprawą, wiesz, oficjalnie. Ale nie umiem odmówić i... – Ursula westchnęła ciężko. – No gut, mówię, co mnie sprowadza. Ale pamiętaj, że nie musisz sze zgadzacz, *verstehst du mich?*

– Tak, rozumiem, mów śmiało.

– Widzisz, zwróciła się do mnie pewna osoba. To kobieta... która nie może pogodzić się ze szmerem przyjaźni, a za kilka lat sprawa będzie przedawniona.

– Uuu, to nie przelewki. Czyli od momentu popełnienia przestępstwa minęło grubo ponad dwadzieścia lat, tak?

– *Stimmt*, to snaczy zgadza się. Ta kobieta, Margarete, mieszka tu, w Niemczech, wpadłszy na siebie przypadkiem na uczelni, zaufała mi i zajęłam się jej sprawą. Mam wszystkie akta, zrobiłam profil i... cóż, obstawiam pewne typy, które trzeba sprawdzić. Pomysślałam o tobie i Wandzie, bo sprawa jest cholernie trudna i delikatna. *Polizei* już dawno zamknęła śledztwo, ale uważam, że mamy się czego chwycić. Może nie wszystko jest stracone. Ana?

– Jasne. – Kier nagle poczuła rosnącą adrenalinę i natychmiastową chęć działania. Uwielbiała ten stan. – Prześlij mi wszystko, co masz, przeczytam akta, obgadamy wnioski i ustalimy plan działania. Jeśli masz rację, trzeba będzie zainteresować tym chłopaków z Archiwum X. Wciąż na szczęście mam tam kontakty. A z niejakim Czarkiem Orłem, który wiedzie prym w pomorskim oddziale, byłam na kursie podstawowym i razem chodziliśmy na węgry. – Anna zaśmiała się głośno i przywołała w pamięci tamte czasy. Nie były to zwykłe węgry, ale Ursula nie musiała o tym wiedzieć, dziś to nie miało żadnego znaczenia. Czarek, którego kilka razy widziała w telewizji, daleko zaszedł. Zasłużenie zresztą.

– Dobrze, wyszłę ci wszystko. Ofiara ma na imię Julia. Nie mogę przestac o niej myśleć, Ana. To cholernie niesprawiedliwe, co ją spotkało. Miała zaledwie dwadzieścia sześć lat... – Ursula ze smutkiem pokiwała głową. – I całe życie przed sobą.

– Dobrze, ślij, zajmijmy się tym. – Kier ponownie zapewniła rozmówczynię o chęci działania. Mimo że w życiu nieraz miała do czynienia z najgorszym złem tego świata, udzielił jej się nastrój chwilowego przygnębienia i chęć wyrównania rachunków. Tym właśnie było dla niej znalezienie sprawcy.

– Oczywiście jestem do waszej dyspozycji, Ana. – Ursula poczuła ulgę. Uśmiechnęła się do Kier, a jej twarz wyraźnie się rozpromieniła.

Zamieniły jeszcze kilka zdań. Trochę uwagi poświęciły dziwnemu wirusowi w Chinach, któremu coraz bardziej przyglądały się media. Obydwie nie czuły większego zdenerwowania z jego powodu, zagrożenie było tak daleko, że nie wydawało się realne, choć partner Anny, Aleks Biernat, współwłaściciel firmy farmaceutycznej aktualnie przebywający właśnie w Chinach, twierdził i wieszczył zgoła coś odmiennego. One jednak nie dopuszczały do siebie obaw. To wszystko brzmiało zbyt nierealnie, by mogło być prawdziwe.

ROZDZIAŁ 4

[18 grudnia 2019]



No, nareszcie jesteś! – Wiking, ochroniarz pracujący w domu ojca, otworzył Annie furtkę i niemal zasalutował na przywitanie. Nie krył rozdrażnienia. – Tamci znowu tu byli, kurwa! – przeklął, udając, że chowa głowę w ramionach.

– Aaa, ta dwójka, rzeczywiście mówiliś mi o nich... – Kier pochuchała w dłonie i rozejrzała się dookoła. – Cholernie zimno. Wanda już jest?

– Nie ma jej jeszcze, ale i tak by nie weszła, ty jesteś jej przepustką. – Wiking podniósł kołnierz kurtki. – Zrobisz coś z nimi? – wrócił do tematu ze złością, choć sam słyszał, że w jego głosie pojawiła się wątpliwość. – Bo ja już dłużej nie będę się patyczkował! – dorzucił pospiesznie.

– Jasne! – Detektywka zamknęła furtkę, która niemiłosiernie zaskrzypiała. Obydwoje jakby automatycznie zacisnęli usta. – Spotkam się z nimi – dodała po chwili, napotkawszy jego zaciekawione spojrzenie. – Przecież nie będę do nich strzelać. Kręcił się ktoś jeszcze?

– Nie, przez ostatnie trzy dni tylko ta dwójka, Dębska i Zawadzki. Wczoraj nawet przyszli razem. Jak nic, połączyli siły, zgadali się, to pewne. – Wiking splunął na ziemię z niezadowoleniem. – Szef szybko by z nimi zrobił porządek – dodał ciszej, jakby nie chciał, by te słowa dotarły do uszu Anny, ale ona wiedziała, że to tylko pozory. Z pewnością chciał jej zrobić przytyk. Ta parka już od dawna burzyła jego spokój. I było prawdą, że ona to bagatelizowała.

– Dobrze! – powiedziała głośniejszym głosem, niż zamierzała. – Zadzwonię do nich i raz na zawsze pogonię to towarzystwo, nie denerwuj się. – Od niechcenia machnęła ręką. Jak to możliwe, że para dzieciaków tak bardzo irytuje doświadczonego ochroniarza? A może wokół śmierci ojca i jego spraw dzieje się coś, o czym powinna wiedzieć? Może udawanie, że nic się nie stało, i głęboka wiara, że na polowaniu zdarzył się wypadek, to nie jest

dobra strategia? Nie miała podstaw, by nie wierzyć matce i Stańczykowi, była wręcz pewna, że gdyby któreś z nich za tym stało, toby jej powiedzieli. Hm... Przygryzła wargi i spojrzała w piwne oczy Wikinga, jakby właśnie w nich miała zobaczyć odpowiedź. Poczwała lekkie ukłucie w okolicy mostka. A może jednak maczali w tym palce?

No i jest coś jeszcze. Czekwała ją organizacja pogrzebu. Z powodu nagłej śmierci w niejasnych okolicznościach i braku jednoznacznych odpowiedzi w trakcie sekcji, prokuratura w oficjalnym piśmie powiadomiła ją o tymczasowym braku zezwolenia na pochowanie zwłok. Ojciec zażyczył sobie, by go spalono, musieli więc mieć absolutną pewność, że nie będą już potrzebować ciała. „Także wiem, jakie to trudne, ale muszę cię prosić o zrozumienie tego opóźnienia”, ponownie wybrzmiały jej w uszach słowa pozornie przejętego i nadmiernie miłego Tobiego Harpagona.

Jasne, że rozumiała, nie zamierzała dyskutować z tym prokuratorskim zarządzeniem. Jak zawsze przyjęła rozkaz bez gadania.

Mecenas Kijowski, zaufany prawnik ojca, zadzwonił do niej następnego dnia po felearnym polowaniu i przekazał najważniejsze ustalenia. W grę wchodziła tylko kremacja. Znowu usłyszała ten jego staroświecki ton, z charakterystycznym zaśpiewem i słownictwem wyjętym prosto z kodeksu. Anna uważała, że prawnicy, instytucje finansowe i lekarze specjalnie komunikują się w taki sposób, by ich nie rozumieć; by zwykły człowiek z poczucia wstydu nie zabrał głosu, a jedynie pokornie prosił o dalsze wsparcie. Tak było i tym razem. Gangster jak cała reszta, westchnęła, gdy usłyszała jego wymuskany i sztuczny głos w słuchawce. Spodziewała się wydziedziczenia i skomplikowanego, godzącego w nią testamentu, ale nic takiego jej nie czekało. Teraz, wciąż wpatrując się w ciemne oczy Wikinga, przypomniała sobie tę rozmowę.

– Dzień dobry, czy ja mam przyjemność rozmawiać z wielce szanowną panią Anną Kier?

– Tak, mecenasie – odpowiedziała nerwowo. Znała numer Kijowskiego. Kiedy ojciec siedział w areszcie, miała wątpliwą przyjemność odwiedzania go w kancelarii na Nowym Świecie. – Jeśli dzwoni pan w sprawie testamentu i wydziedziczenia mnie przez ojca, to... – Zawiesiła głos i westchnęła głośno. Nie miała siły, by stawiać czoła kolejnej batalii.

– Pan Tadeusz Książopolski nie zdeponował u mnie żadnego testamentu, jedynie wolę dotyczącą pogrzebu.

– Tak, to może u kogoś innego zdeponował. On lubił mnie zaskakiwać – prychnęła Anna. Nie miała ochoty udawać, że jest jej przykro z powodu jego śmierci.

– Z tego co wiem, to nie. Ze względu na rozdzielność majątkową, którą zawarł z ostatnią żoną, dom na Saskiej Kępie i mieszkanie na Kobielskiej

na mocy prawa należą tylko i wyłącznie do pani, jego jedynej córki. – Mecenasa Kijowski urwał, oczekując zapewne wyrazów wdzięczności.

– Pycha naprawdę kroczy przed upadkiem. Nawet do głowy mu nie przyszło, że może umrzeć. Coś niebywałego... – Kier wypuściła głośno powietrze, wyraźnie nie dowierzając. Była więcej niż pewna, że ojciec z własnej, nieprzymuszonej woli niczego by jej nie podarował. A już na pewno nie za darmo. – Dobrze, to dziękuję – odparła po chwili zaskoczonymu rozmówcy. – Do widzenia.

– Proszę tylko pamiętać: kremacja, pogrzeb świecki i w żadnym wypadku nie o charakterze państwowym. – Głos mecenasa Kijowskiego dotarł do niej jak zza szyby.

– Zajmę się wszystkim. Dobrze już, dobrze. – Kier nagle odpowiedziała na głos, czym zaskoczyła wpatrzonego w nią od dłuższej chwili Wikinga. – Zaraz będzie Wanda, wpuść ją, proszę – dodała, wracając do rzeczywistości.

Otuliwszy się szalem, pospiesznie weszła po schodach do domu ojca. Za każdym razem, gdy przekręcała klucz w drzwiach, czuła, jak żołądek zawiązuje jej się w supeł. Teraz było tak samo. Westchnęła przeciągle i jakby dodając sobie otuchy, powiedziała na głos:

– Cześć, domek!

Odpowiedział jej świst w kuchennym oknie i stukający o parapet nagły deszcz. Rozdrażniło ją to tępe i nieprzyjemne bębnienie.

– Nienawidzę tego królestwa! – syknęła i nastawiła czajnik.

Ulica Francuska, którą pospiesznie przemierzała Wanda, niemal w jednej chwili zamieniła się w rwący potok. Mimo że do kalendarzowej zimy zostało zaledwie kilka dni, wciąż nie można się było doczekać pięknego, białego puszystego śniegu. Tylko ten cholerny deszcz, który ewidentnie pomylił pory roku. Z powodu niedrożnych studzienek woda gdzieś sięgała powyżej kostek. Kierowcy trąbili, jakby te nerwowe klaksony mogły coś przyspieszyć. Ludzie, idąc na oślep przez przejście, uderzali ją parasolkami, kobiety podnosiły na ręce wrzeszczące dzieci, wszyscy zachowywali się jak w panice, a to był przecież zwykły deszcz. Mocny, silny, nagły deszcz. Gdy na koniec przejeżdżający tuż obok autobus ochlapał ją niemal od stóp do głów, zatrzymała się przed posesją Króla i zaczęła krzyczeć.

– Kurwa! Ja zaraz oszaleję!

Podczas gdy dawała upust emocjom, Wiking otworzył furtkę. Wychylił głowę spod dużego czarnego parasola.

– Szybko, do środka! To nie miejsce na takie sceny! – ryknął tonem nieznośnym sprzeciwu.

Hakerka spojrzała na niego i mierząc go wzrokiem, odparła:

– Jeśli nie dajesz rady, to musisz się wykrzyczeć. Inaczej stłumione emocje będą cię zżerały od środka jak pasożyt, bez wahania wygryzą ci wnętrze.

Ochroniarz westchnął i pokręcił głową z wyraźną niechęcią. Nie cierpiał takich mentorskich gadek, myśli z kursów dla coachów *vel* zbawców dusz za jedyne kilka tysięcy. W życiu trzeba być twardym, nie ulegać modom i robić słuszne rzeczy. Nie cierpiał tych lalusiów poprzebieranych w różowe koszule ani zapuszczonych babochłopów w spodniach, do tego wyszczekanych, nieznających swojego miejsca. Nie ufał im. Tak samo nie ufał Wandzie. Ta pyskata gówniara przyprawiała go o mdłości. Nie umknęło jego uwadze, że zawsze taksowała go wzrokiem i traktowała z góry, jak kogoś gorszego, a przy tym była czujna i nieufna. Przywodziła mu na myśl dzikie zwierzę, gotowe zaatakować, gdy tylko poczuje zagrożenie. Gryźć na osłep. Jak to możliwe, że szef się nią porządnie nie zajął? Przecież to przez nią Anka tak rozgrzebała wszystko i doprowadziła do obecnej sytuacji. Jak to się stało, że Król ją tak odpuścił i zbagatelizował jej istnienie?

Wiking zerkał uważnie na Wandę, która lekkim i mimo ulewy swobodnym krokiem wbiegła na schody prowadzące do drzwi wejściowych. Gdy wkrótce zobaczył w nich Kier, odwrócił wzrok. Nie powinien rzucać się jej w oczy. A już na pewno nie powinien okazywać swoich uczuć i myśli. Ależ nie cierpiał tej lesby. Organicznie.

– Rozbieraj się, natychmiast! – Anna podeszła do przyjaciółki i podała jej mięsisty ręcznik frotté. – Przemokłaś do suchej nitki. Szybko, bo się przeziębisz. Już robię ci gorącą herbatę i znajdziemy jakiś ciuch. Może dam ci szlafrok ojca? – Kier spojrzała na przyjaciółkę, która z trudem zdejmowała przylepione do ciała ubrania. – Jest wyprany, taki gruby, zielony. – Machnęła ręką w stronę łazienki.

– Wykluczone – odpowiedziała hardo Wanda, szczękając zębami. – Owinę się ręcznikiem i daj mi może jakiś koc. To wszystko trwało zaledwie kwadrans, nie do wiary. – Lechicka podążyła za gospodynią do kuchni i zaczęła rozwieszać ciuchy na krzesłach, w tym ulubioną rozpinaną bordową bluzę, którą dostała kiedyś od Gai. Po czym wysypała na blat kuchennego stołu zawartość przemokniętego plecaka. Na klapce laptopa pojawiły się plamy, a ekran komórki zaparował. Wanda wzięła do ręki smartfon i wytarła go ręcznikiem, którym była owinięta. Po chwili spojrzała na wyświetlacz.

– O cholera – jęknęła i usiadła na krześle.

Anna właśnie stawiała przed nią duży kubek parującego naparu. Kuchnię wypełniał ostry zapach imbiru połączony z rześką cytryną i słodkim miodem.

– Co jest? – zaciekawiała się.

– Dzwoniła matka... – szepnęła Lechicka. Głos ugrzązł jej w gardle.

– No to oddzwon. – Anna ponagliła ją ręką i wyszła do przedpokoju. Wanda słyszała trzaskanie otwieranych szuflad i skrzywienie uchylanych drzwi. – Znalazłam koc, okryj się – powiedziała po chwili Kier i wbiła spojrzenie we współniczkę, która wciąż wpatrywała się w wygaszony ekran. – Hej, Wanda, co jest? – spytała ciepłym, zachęcającym głosem. Takim, z którym już oswoiła się ta zamknięta w sobie, wiecznie nieufna dziewczyna.

– Boję się, że coś się stało, ona do mnie zwykle nie dzwoni – wydusiła w końcu Lechicka. Miała wrażenie, że jej usta są wypełnione kamieniami, a każda próba wypowiedzenia zdania sprawia jej ból.

– Spokojnie, jestem przy tobie. A coś się stało wtedy, w Szwajcarii, jak się widziałyście ostatnio, gdy Trist był w szpitalu, a ja mieszkałam u Hany? Pojawiła się jakaś choroba albo trudna sytuacja? – Anna usiadła obok i kontynuowała kojącym głosem.

– Okłamałam cię. Nie byłam u niej...

– Ale jak to?! – Kier rzuciła szorstko.

– Okazało się, że w tym czasie odwiedził ją też ojciec, a w takich sytuacjach zawsze przegrywam... – Wanda bezradnie rozłożyła ręce i spojrzała na przyjaciółkę. Choć twarz hakerki nie wyrażała smutku ani rozczarowania, to Anna wiedziała, że coś jest na rzeczy. Z pewnością nie były to czas i miejsce na analizowanie kolejnego kłamstwa.

– A ty co? Nie rozmawiasz z ojcem?

– No cóż, to raczej on nie rozmawia ze mną, ale nie chcę o tym gadać – warknęła Lechicka i sięgnęła po kubek. Poparzyła sobie usta. – Kurwa, strasznie gorące. Dobra, jakiś plan na dzisiaj? – Odstawiła herbatę i niemal teatralnym gestem odsunęła telefon wyświetlaczem do dołu.

– Oprócz szafy ojca, mamy do przegadania dwa tematy. Pierwszy to potencjalna robota dla naszej agencji... – Anna zawiesiła głos, by zyskać zainteresowanie rozmówczyni, co jej się natychmiast udało. – Zaraz przekażę ci szczegóły i pokażę akta. – Wskazała na leżący na drugim końcu stołu laptop. – A druga to para jakichś influencerów czy jakoś tak, którzy bez przerwy tu przychodzą i napastują Wikinga.

– Kogo?

– No, tego ochroniarza z kitką.

– Aaa, okej. Chcesz powiedzieć, że taki byk ma kłopot z dziećmiakami? O co tu chodzi? – Wanda zmrużyła oczy z niedowierzaniem i parsknęła

śmiechem.

– No właśnie, nie bardzo wiem, dlatego zacznijmy od tej sprawy. Mam nadzieję, że nie zabierze nam zbyt dużo czasu! – Kier otuliła współniczkę kocem, a sama przysunęła laptop. Usiadła obok i wyjęła swój pomarańczowy notes.

Za oknem po deszczu niezauważalnie zapadł zmrok, który ciemnością spowił też wnętrze domu. Na ulicy zapadła cisza, ustały klaksony, z zewnątrz dochodziło tylko niepokojące wycie wiatru.

Po kilkunastu minutach błyskawicznego klikania Wanda cmoknęła głośno, przymknęła klapę laptopa i klasnęła w dłonie. Anna, która siedziała vis-à-vis i zapisywała coś w swoim notatniku, podniosła zaciekawiony wzrok.

– Myślę, że powinnaś pogadać z Dębską i Zawadzkim, i to jak najszybciej – zaczęła Wanda energicznie. – Ona prowadzi popularny podcast, jest obyta ze społecznościówką, a on jest dawnym dziennikarzem śledczym, a obecnie ma kanał na YouTube. Mądrze mówi, ale techniczna fajtłapa. Wizualny nudziarz.

– Ech, te internety. – Kier machnęła ręką. – Jakiś podcast, co to w ogóle jest? I jeszcze kanał muzyczny na YouTube... Daj spokój, myślałam, że to ktoś z dużych ogólnopolskich mediów – dodała z wyraźną ulgą w głosie.

– No właśnie. – Lechicka parsknęła śmiechem. – YouTube już od dawna nie jest listą przebojów i smętów. Jeśli twoje pokolenie nie przestanie wyśmiewać się z możliwości i zasięgów sieci, będzie po was. Mówię serio, Anka. Tę dwójkę subskrybuje, czyli – dodała natychmiast – powiedzmy, że obserwuje, kilkaset tysięcy ludzi. Mają zaangażowanych odbiorców, a na ich ustalenia powołują się media. Nie możesz lekceważyć tej siły rażenia, naprawdę.

– Okej, jasne, nie denerwuj się. Pokaż mi ten podcast Dębskiej. – Kier próbowała załagodzić sytuację. Wanda miała rację, jej pokolenie lekceważyło Internet, ale tylko dlatego, że nie znało realnych możliwości sieci.

– Proszę, tu na przykład zajęła się sprawą zaginięcia Iwony Wieczorek. – Hakerka pokazała palcem na jeden z kafelków.

– Co to znaczy „zajęła”? Ma nowych świadków, zeznania, ustaliła jakieś kluczowe fakty?

– Nie, po prostu zebrała wszystkie informacje na ten temat i o tym opowiedziała. Zanim skrytykujesz, posłuchaj. To kolejna cecha twojego pokolenia, *by the way*. Wszystko wiecie lepiej. – Lechicka teatralnie podniosła wzrok i wbiła nieruchome spojrzenie w sufit.

– Puszczaj już!

Po kilkunastu minutach Anna poprosiła o wyłączenie nagrania. Upiła kilka łyków zimnej już herbaty i złożyła dłonie jak do modlitwy.

– Tego się nie da słuchać!

– Nie obrażaj się na rzeczywistość, Anka! – nie wytrzymała Lechicka.

– Już pomijam, że dostaję alergii, jak słyszę „majom” i „robiom” – Kier wolno wciągnęła powietrze przez nos – ale jakim prawem ta cała Dębska mówi takie rzeczy? Przecież nie ma dostępu do akt. Relacjonuje możliwy przebieg zdarzeń, bo jej się tak wydaje? Ja pierdołę! Bo przeczytała mało istotny artykuł, wycinek? Obejrzała reportaż innego youtubera? Gdyby chociaż była dziennikarką śledczą, to miałyby jakieś swoje dane, ustalenia, ale ich nie ma. Ja po prostu nie wierzę w to, co się tu dzieje. Ale fakt – Kier nieco się uspokoiła – Dębska momentami mówi ciekawie, czasem intrygująco, brzmi profesjonalnie, używa fachowego słownictwa, do tego ta efekciarska muzyka i modulowanie głosu... No cóż, może robić wrażenie. Ale nie na mnie czy na ludziach, którzy w tym siedzą. Wanda, zlituj się!

– I tu właśnie mamy niemal historyczne połączenie sił. Tymon Zawadzki to niezły dziennikarz śledczy, profesjonalista z dobrym piórem i sprawnym językiem, ale z małymi zasięgami. Nie umie w internety, dlatego potrzebna mu jest promocja. To właśnie ta dwójka założyła profil, kanał, bloga i wszystko, co się da, pod tytułem: *Jakie trupy wypadną z szafy Króla*.

– Co?! – krzyknęła Anna.

– Tak, skupili się na twoim ojcu, zrobili z tego lejtmotyw całego przedsięwzięcia. Oni nie zdają sobie sprawy, jak bardzo może to być niebezpieczne, dlatego musisz się z nimi spotkać. Ale – ważna sprawa, Anka – oni są bardzo popularni, ich nowo powstałe wspólne kanały śledzi już kilkanaście tysięcy osób, w ciągu miesiąca dojdą do stu tysięcy. Internet jest teraz jak arena albo ring. Na oczach zgromadzonych widzów – a raczej „gapiów” – odgrywają się tam najważniejsze sceny. Te miłe i niekoniecznie. Reality show, Anka. Relacje na żywo to pikus. Pamiętasz, co się działo z Lukrecją, tą pisarką erotyków?

– Mhm – przytaknęła wystraszona Anna. – Ciągłe nagrywały te swoje wideorelacje.

– No właśnie! Tutaj – Wanda odwróciła laptop ekranem do współniczek – masz filmiki spod tej willi. Nagrane na żywo. Chamstwo i buta Wikinga wychodzą na pierwszy plan, zobacz. – Hakerka wcisnęła „play”.

– Wypierdalać mi stąd! – Na ekranie pojawił się ochroniarz. Kompletnie nic nie robił sobie z tego, że jest nagrywany. Wręcz przeciwnie, jego agresja wzrastała z każdą sekundą.

– Widzicie, kochani... – Oczom współniczek ukazała się wysoka energiczna brunetka ubrana w kolorowy, prawdopodobnie wełniany

płaszcz. Mimo grudniowego zimna jej niezawiązany szal powiewał na wietrze. Podcasterka ewidentnie działała na adrenalinie, na jej twarzy w sekundowym ujęciu odmalowywała się cała gama uczuć, od smutku do oburzenia. – Tak zachowuje się ochroniarz urzędnika państwowego utrzymywanego z naszych podatków. – Kobieta kręci głową z niedowierzaniem. – Ale my tak tego nie zostawimy. Magdalena Dębska i filmujący to zajście Tymon Zawadzki wkraczają do akcji. Napiszcie koniecznie w komentarzach, co sądzicie o takim zachowaniu.

Wanda wcisnęła „stop”, zerkając na wyraźnie osłupiałą współniczkę. Kier wyglądała, jakby zobaczyła zjawisko nadprzyrodzone.

– W jakich komentarzach? – wydusiła wreszcie z siebie.

– CTA, czyli *Call to action*. – Lechicka parsknęła śmiechem. – Takie wezwanie do działania. Chodzi o to, że jak ludzie będą komentować i lajkować, to algorytm uzna, że to jest świetne, angażujące konto, dzięki czemu dotrze do większego grona followersów. Proste!

– Dobra, ja się poddam. – Kier schowała twarz w dłoniach, wzdychając ciężko. Po dłuższej chwili wstała i trzasnęła klapą laptopa. – Dobrze, koniec z tym, umówię się z tą dwójką. – Podeszła do zlewu i napełniła szklanek wodą. Wypiła duszkiem, wytarła usta i skierowała się do okna. Zerkając na Wikinga palącego papierosa przed posesją, mówiła dalej: – Kończymy też z szafą Króla, nie będziemy tego wertować. Nie wiem jeszcze, ale chyba rzeczywiście najprościej będzie to wszystko spalić. Trzeba odciąć się od przeszłości. – Wróciła do stołu i usiadła obok Wandy rozgrzewającej się pod szarym kocem.

– Ustalisz mi zamiary na tych influencerów? – spytała po chwili, a jej twarz przebiegł skurcz. – Aha, przyniosę laptop ojca. Zanim się do nich odezwę, zobaczmy na monitoringu, ile razy tu byli. – Kier wstała energicznie i nie czekając na odpowiedź współniczki, skierowała kroki na korytarz. Zanim jednak wyszła, zatrzymała się w progu. – Mam nadzieję, że uda ci się do niego dostać. – Przygryzła wargi, zerkając na Wandę.

– Jeśli ten sprzęt stoi w ogólnodostępnym pomieszczeniu i jest tylko puszką do rejestrowania nagrań, to raczej nie ma tam ważnych danych i nie powinno być to trudne. Przynieś, zobaczę, co da się zrobić. – Lechicka posłała przyjaciółce motywujący uśmiech.

Tak jak przypuszczała Wanda, komputer Króla nie był jego głównym sprzętem i pokonanie hasła zajęło jej kilka minut. Nie znalazły tam żadnych istotnych dokumentów, a z historii przeglądarek wynikało, że Książepolski głównie sprawdzał na nim pogodę, czytał wiadomości i śledził kursy walut.

– Ciekawe, czy nie umiał korzystać, czy po prostu miał inny sprzęt do swojej działalności. – Znużona Wanda wpatrywała się w ekran, ziewając

przeciągle i leniwie przesuując palcami po touchpadzie. – Bo w tym, co zarekwirowali, też z pewnością niczego nie ma.

– Moim zdaniem pierwsza opcja. Poza tym on miał od wszystkiego ludzi i jak za dawnych czasów chował dokumenty w teczkach. Znajdziemy pewnie jakieś pendrive’y i płyty, ale na bank ktoś mu to ogarniał. – Anna Maria Kier stłumiła ziewnięcie. Było już późno, żadna z nich nie miała energii do pracy. Poza tym aura za oknem rozleniwiała. – Przejrzyjmy nagrania, bo tu, jak twierdził Wiking, zapisany jest cały monitoring z kamer. – Detektywka zmusiła się do wydania ostatniego polecenia.

– Okej, od kiedy? – Lechicka błyskawicznie weszła w stosowne ustawienia i foldery.

– O cholera! – krzyknęła Kier, a po chwili zasłoniła usta. – A może to oni mają coś wspólnego z jego śmiercią? – Wbiła we współniczkę ostre spojrzenie. Nagle poczuła, jak żołądek zaciska jej się w supeł, a w gardle rośnie klucha.

– He, he, Anka, nie rozśmieszaj mnie. Ta dwójka internautów od sensacji? – Wanda wybuchnęła szczerym śmiechem. Pokręciła głową z niedowierzaniem, ale napotkawszy srogi wzrok przyjaciółki, opanowała rozbawienie. – No chyba nie myślisz, że... – spytała cicho, kuląc ramiona, ale współniczka nie czekała na dokończenie zdania.

– W kwestii mojego ojca nigdy niczego nie wolno lekceważyć. Puszczaj, nie wiem... no... może z miesiąc przed tym cholernym polowaniem? – zastanawiała się na głos, a Lechicka błyskawicznie kliknęła w odpowiedni plik.

– Dodam gazu, okej? – Natychmiast uruchomiła podwójne strzałki na ekranie i nagrani przed posesją ochroniarze zaczęli się poruszać w przyspieszonym tempie. – No i zrób nam, proszę, kawę, bo zapowiada się potwornie nudny serial. – Hakerka potarła skronie, zrzuciła z ramion koc i nie spuszczać oka z monitora, włożyła bordową bluzę. Lubiła ją. Prezent od Gai. Ciekawe, co Młoda porabia w święta. Uśmiechnęła się czule na wspomnienie kochanki. Szkoda, że ja się nie nadaję do związków. Westchnęła, delikatnie zawieszając uśmiech w kącikach ust. Udawała przed sobą, że to nic takiego, że wszystko jest w porządku.

W kuchni rozszedł się pobudzający zapach mocnej mielonej kawy i po chwili Kier postawiła przed nimi dwa duże parujące kubki. Wyjęła też z pomiętej papierowej torby dwa pączki i położyła na talerzykach. Napotkawszy zdumione spojrzenie hakerki, odpowiedziała, uciekając wzrokiem:

– Nie mogłam się oprzeć! Ilekroć przechodzę obok Ireny, muszę coś kupić.

– Taaa, to moja ulubiona cukiernia na Saskiej Kępie, od zawsze. – Lechicka łąpczywie ugryzła duży kawałek pączka i na jej brodzie pojawiła

się strużka różanego nadzienia. – Są! Zobacz! – wykrzyknęła nagle, zatrzymując nagranie.

Kier zbliżyła twarz do monitora i spojrzała na datę. Tydzień przed polowaniem.

– Daj normalne tempo! – Anna nie odrywała wzroku od wyświetlanego obrazu. – Rzeczywiście, to oni. Rozmawiają z Wikingiem – relacjonowała z przejęciem, mimo że Wanda zerknęła na ekran. – Dzwoni gdzieś, po chwili kręci głową i zdecydowanym gestem dłoni wyprasza ich. Zapisuję datę. Idziemy dalej. – Kliknęła, a jej twarz zrobiła się purpurowa. Oddychała szybko i nierówno, jakby za chwilę miało nastąpić coś dziwnego.

I nie myliła się. Nagranie doszło do przedednia polowania.

– O kurwa! – krzyknęła nagle. – Co on tu robi?

ROZDZIAŁ 5

[19 grudnia 2019]



Patrzył na rozplywające się okruchy herbatników z nieklamany zainteresowaniem. Przypomnił sobie, jak w latach młodości nęcił ryby w stawie podczas kanikuły. Już chyba nie powędkuję... Odkasznął w zwiniętą dłoń i zerknął na inspektora Krysiaka z lękiem, którego już nie miał siły ukrywać. Krycha to były partner Anny z policyjnego tandemu i jedyny człowiek w mundurze, do którego miał zaufanie. A raczej jego resztki.

– No wal, Janusz, co cię sprowadza? – Umieśniony policjant, ubrany w czarny T-shirt i jasnobłękitne dżinsy, odstawił puszkę po coca-coli i odruchowo ścisnął ją w dłoń. Nieprzyjemny hałas przyciągnął wzrok pozostałych gości kawiarni. Gdy wrócili do swoich spraw, Kier uderzył dłońmi w uda, jakby miał wstawać.

Nagle rozległ się zagłuszający dźwięk ekspresu do kawy, a przy kasie stanęła grupa nastolatek. Dziewczyny wybierały rozgrzewające smakowe herbaty, przekrzykując odgłosy młynka, a barista wyraźnie tracił cierpliwość. Wreszcie wszystko ucichło.

– Wiesz, ja – zaczął bezradnie Janusz – martwię się o rodzinę, Krycha.

– No spoko, zrozumiałe. – Radosław Krysiak strzelił palcami, zerkając przez duże okno wystawowe. Znowu zaczął padać deszcz.

– Ktoś na ciebie czeka?

– Nie, nie. – Policjant spojrzał przytomnie na rozmówcę. – Jest jedenasta, pracę zaczynam za godzinę. Jakoś nie możesz się wyjaść.

– Słucham? – Janusz wbił w niego zaskoczony wzrok.

– No, do brzegu, stary. – Policjant wyraźnie się niecierpliwił.

– Wiecie już, kto stoi za śmiercią Króla? – Ojciec Tristana wyprostował się i poprawił okulary. Ostatkiem sił ukrył drżenie dłoni.

– To nie moja sprawa.

– Przestań, chłopcze, na pewno znasz każdy szczegół. Powiedz mi, bardzo cię proszę. Zapewniam, że to zostanie między nami.

– Posłuchaj. – Krysiak nachylił się, ponownie biorąc pociętą puszkę w dłoń. – Zajmij się synem, teściową i naprawdę przestań się bawić w szeryfa.

– Macie jakiś trop? – Kier nie ustępował, próbując za wszelką cenę zachować spokój.

– Janusz, przecież wiesz, że nie mogę opowiadać takich rzeczy, stary!

– Powiedz mi, proszę, przez wzgląd na nasze relacje. Nie jestem kimś z ulicy. Potrafię dochować tajemnicy, przecież mnie znasz. Wypadek czy zabójstwo?

– Hm... – Krysiak odchylił się w pluszowym fotelu. – Na moje oko to zabójstwo. Ale sprawa będzie przyklepana. Harpagon ciśnie, żeby zamykać temat. Podobno wszystko kwestionuje, cały czas narzeka, że nie ma dowodów, że te zebrane poszlaki to sobie można w dupę wsadzić. No nie ma się czego chwycić. – Inspektor potarł czoło palcami.

– A dlaczego uważasz, że to zabójstwo?

– Nie wygłupiaj się. Król miał więcej wrogów niż całe nasze rodziny razem wzięte, do piątego pokolenia. Ty też chyba za nim nie przepadałeś, co? – Policjant przechylił głowę i zagryzł wargę, jakby nagle coś sobie przypomniał.

– To nie jest teraz ważne.

– Broń, z której oddano strzał, nie została zidentyfikowana. Teoretycznie. Ale... – kontynuował rozwalony w fotelu Krysiak.

– Ale niczego nie znaleziono i nie ma żadnych świadków, prawda? – wtrącił szybko Janusz, chowając głowę w ramionach.

– No cóż – policjant złożył dłonie jak do modlitwy – nie ma. A co? Może ty masz lub możesz pozyskać jakieś informacje? Strzelisz z ucha? – Krysiak nachylił się i zbliżył do rozmówcy, skracając dystans. Były mąż Anny nie cofnął się mimo przekroczenia strefy komfortu. – Wiesz, kto za tym stoi, tak? – Krycha wbił w niego spojrzenie i zmrużył oczy, zawieszając uśmiech w kącikach ust.

– Nie, nie, ja nic nie wiem. – Janusz nagle się odsunął, potrącając stolik. Nietknięta herbata z pływającymi okruchami ciastek wylała się na blat, tworząc nieestetyczne brązowe plamy.

– Posłuchaj, wiem, że umiesz w te sprawy. – Policjant znowu przybliżył twarz, nie zwracając uwagi na wylaną herbatę. Puścił oko do Janusza, ale ten nie reagował. – Gdybyś jednak chciał coś dodać, to wiesz, gdzie mnie szukać, okej? Nie pożałujesz! – zakończył Krysiak i wstał energicznie, rzucając na stół ścisną w ręce puszkę.

Po jego ciele rozlało się gorąco. Szedł Alejami Jerozolimskimi wolniej niż tłum, nie chowając się przed ostrymi podmuchami wiatru. Odstające poły płaszcza przywodziły mu na myśl ubiór amerykańskiego żołnierza wracającego z pola walki. Tak właśnie się czuł, jakby był na wojnie, na której znalazł się wbrew własnej woli. A może by tak powiedzieć wszystko Ance? Nie, to zbyt niebezpieczne. A co, jeśli policja jakoś powiąże wszystkie fakty? Janusz Kier, zatopiony w myślach, skręcił w podwórko i zmarł.

– Co ty tu robisz? – wydusił przez ściśnięte gardło. – Nie wejdiesz na górę? – Przechylił głowę w bok i uśmiechnął się, by wypaść jak najbardziej naturalnie. Jego spokój był kolosem na glinianych nogach. Wystarczy lekkie drgnięcie i wszystko się zawali. Wiedząc o tym, szerzej rozstawił stopy i wysunął żuchwę.

– Co robiłeś w domu ojca na dzień przed tym cholernym polowaniem? – Anna Maria przysunęła się do byłego męża tak gwałtownie, że musiał się odchylić i niemal stracił równowagę. – Do tego od wczoraj nie odbierasz telefonu, a Tristan nie wie, gdzie jesteś. – Ściszyła głos i rozejrzała się dookoła. – W co pogrywasz?

Janusz wpatrywał się w twarz żony, jakby szukał w niej rozwiązania. Mrugał oczami i nerwowo przełykał ślinę. Miał spękane usta, poprzygryzane do krwi.

– Anutku, uspokój się, proszę cię. – Przeszepował z nogi na nogę i bezradnie spoglądał w niebo. – Nie rób scen, w tej studni wszystko słychać! – Nerwowo rozejrzał się dookoła. Podwórko pomiędzy kamienicą frontową i oficynami nie zapewniało prywatności. Nawet cicha rozmowa niosła się kilka pięter w górę.

– Co robiłeś w domu mojego ojca? – spytała, z trudem powstrzymując się od krzyku. Miała ochotę go rozszarpać. Tak trudno i powoli odbudowywane zaufanie właśnie rozpadało się jak domek z kart.

– Skąd wiesz? – odpowiedział pytaniem na pytanie, zmuszając się do zachowania spokoju. – Policja też już wie? – dodał drżącym głosem. – No dobrze. – Zerknął pospiesznie na zegarek. – Tristan zaraz wychodzi na zajęcia. Chodźmy do domu, porozmawiamy.

– Wiem, mówił mi, że ma seminarium czy coś...

– No właśnie, właśnie... On się tak zaangażował w te studia, że...

– Nie zmieniaj tematu, idziemy! – przerwała mu szorstko i ruszyła do klatki.

Rzucona na fotel bordowa bluza po raz kolejny przypomniła jej o Gai. Wpatrywała się w nią jak w jakiś obraz, przywołując przyjemne chwile z Młodą. Nigdy wcześniej nie sądziła, że będzie wspominać ten przekłety wypadek rowerowy i wspólne poranki w mazurskiej chatce. Co się ze mną dzieje? – pytała w myślach, jednocześnie ganiąc się za to.

Dochodziło południe, w mieszkaniu zapadła głucha cisza, jakby świat nagle przestał się nią interesować. Leżała oparta o ścianę i wpatrywała się w wyświetlacz telefonu. Przełknęła westchnienie i wybrała numer.

– Wanda, nareszcie! Dlaczego ty, dziecko, nie odbierasz? – usłyszała szczebiotliwe tokowanie matki. – Chora jesteś, czy jak? – Głos niemal w sekundę zmienił się z zatroskanego w oskarżycielski.

– Pracuję – odpowiedziała wolno Lechicka.

– No ale bez przesady! Ja się tu zamartwiam na śmierć, nie mogłaś chociaż napisać SMS-a?

– Po co dzwoniłaś? – warknęła do słuchawki, nie bacząc na konwenanse. Ona się zamartwia na śmierć, dobre sobie!

– Posłuchaj, ja wiem, że w naszej rodzinie różnie się układało... – zaczęła matka niepewnie, zmieniając ton na przyjazno-pojednawczy. – Ale wiesz – ściszyła głos – z ojcem dzieje się coś dziwnego...

– Mhm – przytaknęła hakerka bez większego zainteresowania. Wstała z łóżka i sięgnęła po bluzę. Wkładając ją, nieświadomie przytuliła twarz do materiału.

– Po pierwsze, to on zaproponował, żebyśmy święta spędzili w Polsce, i uwaga – matka zawiesiła głos – i żebyś ty też nas odwiedziła. Wyobrażasz sobie? Czy to nie wspaniale?

– Doprawdy, akt łaski – prychnęła Lechicka i podeszła do małej lodówki w surowo urządzonym aneksie kuchennym. Wyciągnęła puszkę coca-coli i uśmiechnęła się do niej. Lubiła taką poranną dawkę kofeiny.

– Dziecko, a ty ciągle swoje. Dałabyś już spokój. Jesteśmy starszymi ludźmi.

– I co, martwisz się, że nie będzie kto miał podać wam szklanki wody? – Wanda otworzyła puszkę, rozluźniła gardło i wlała w siebie zawartość. – Postawcie sobie obok łóżka dystrybutor, nie trzeba będzie dużo chodzić.

– A ty jak zwykle! – Matka wybuchnęła, nie kryjąc złości. – On nawet sam do ciebie zadzwonił, ale nie, jaśnie pani oczywiście nie raczyła odebrać! Naprawdę nie możesz tego docenić?

– Czego? Że wyrzucił mnie z domu, kiedy najbardziej was potrzebowałam? Nie, nie mogę. Że traktował mnie jak trędowatą, bo jestem lesbijką? Gdybym miała wybór, tobym nią nie była. Sorry. – Wzruszyła ramionami, powstrzymując beknięcie. – Trzeba było mnie inaczej zrobić, lepiej! – Zaśmiała się, by ukryć rozżalenie.

– Wanda, to nie tak... Posłuchaj, dziecko... – zaczęła matka z wyraźną desperacją w głosie.

– Nie stanęłaś w mojej obronie, pozwalając traktować mnie jak zakazaną, coś mówię nie tak? – Hakerka zgmiotła puszkę, po czym wrzuciła ją do śmieci. Weszła do łazienki i spojrzała w lustro.

– Świat nie wygląda tak, jak ci się wydaje, moja panno. Nie wszystko jest takie proste. Ale dobrze już... Nie uważasz, że to naprawdę niezwykle? Że tak się pojednamy... no, jak to powiedzieć... świątecznie? Wanda, dziecko, on poczuje się zawiedziony, jak nie przyjedziesz. Nie rób mu tego. W każdym razie, wracając do spotkania – matka dalej snuła swą świąteczną wizję – będziemy w domu w Wigilię rano, ojciec tu po mnie przyjedzie, a przy okazji coś tu pozałatwia, jakaś fuchę dostał. Wiesz, że ja niechętnie jeżdżę, a już na pewno nie zimą i nie w długie trasy. Zobacz sama, doceni, jak on się stara. Niestety – matka pociągnęła nosem i ściszyła głos – nie mogę wyrwać się wcześniej z firmy. Wiesz, mamy tu gorący okres, ale spokojnie, przywiozę dobre jedzenie, ojciec ubierze choinkę, będzie jak za dawnych czasów, kiedy byłaś malutka i...

– I normalna, tak? Dajcie sobie spokój, tyle lat mieliście w dupie, jak się czuję i co robię. Nie dzwońcie więcej do mnie w tej sprawie, cześć!

Lechicka wyłączyła telefon, wrzuciła aparat do kosza na bieliznę, po czym puściła mocny strumień wody pod prysznicem i mała łazienka w kilka chwil zamieniła się w saunę. Popłynęła do niej fala gorąca. To na pewno z tego powodu poczuła, jak jej krtań się zaciska, tworząc trudną do zerwania blokadę, a zaczerwienione oczy zaczynają piec.

Ireneusz Piasecki wypuszczał z ust szare kółka i przyglądał się, jak z kolejnym podmuchem wiatru tracą kształt i rozplywają się w powietrzu. Stał na mikroskopijnym balkonie swojej kawalerki i zastanawiał się, co dalej. Nie mógł więcej dopuścić do takiej sytuacji. Nigdy już nie może zaważyć pracy. Zależało mu na niej. Świetnie się czuł z Kier i Lechicką, zarabiał przyzwoity grosz. Jeśli jeszcze raz wpadnie w cug, Anka go wyrzuci. I będzie miała rację. No, zaważyłem, westchnął przeciągle i puścił kolejne szare kółko. Papieros nie smakował tak dobrze jak zawsze, dlatego wypaliwszy zaledwie połowę, wrzucił resztkę do słoika.

– Halo, Wanda, możesz rozmawiać? Masz katar? – Piach odsunął słuchawkę od ucha i spojrzął na wyświetlacz, by upewnić się, że wybrał dobry numer.

– Co tam, stary? – Lechicka odchrząknęła, ignorując pytanie współnika.

– Wiesz, tak sobie myślę... – sięgnął po miętusy i chuchnął, odurzony intensywnym posmakiem mrożonej świeżości cukierka – że może coś byśmy popracowali. – Podrapał się w łysinę, automatycznie szukając wzrokiem tupecika. – Kasa mi się kończy. Są nowe zlecenia? Wiesz... – cmoknął, odklejając cuksa od podniebienia – może jakiś rozwód?

– Oj, ty leniuchu! – Wanda parsknęła śmiechem.

– Nie, no, jak Kierowa ma coś innego, to zrobimy, wiadomo! A w ogóle to jak ona się czuje? – Detektyw zreflektował się i poczerwieniał na twarzy.

– Zupełnie dobrze, planuje święta w wielkim rodzinnym gronie... – Hakerka zaczęła naśladować głos współpracownicy, co nie uszło uwadze Piacha, dlatego wrócił do meritum.

– Ale mamy jakąś sprawę w agencji? Do świąt został tydzień, może w tym czasie coś byśmy zarobili ekstra. Jakaś zdradzona żona? Wiesz, szybka kasa i łatwe zajęcie.

– Podobno mamy. Sprawa sprzed dwudziestu ośmiu lat.

– Uuuu – jęknął detektyw z niezadowoleniem.

– Ale my tylko mielibyśmy pogadać, przyjrzeć się okolicy, wiesz... Taki grunt dla Archiwum X.

– Skąd u nas taka sprawa? – Piach się skrzywił i rozgryzł cukierek, po czym przełknął okruchy.

– To jakaś przysługa dla Ursuli Luft, tej profilerki z Niemiec. Niewielkie pieniądze, ale zawsze jakaś robota. Anka ma zwołać naradę, tylko musi coś wyjaśnić z Januszem. Ja też chętnie w tym jebanym, słodkim do wyrzgu czasie zajęłabym się jakąś pracą.

– Oj, tak, Wanda.... – westchnął Piasecki i powiódł wzrokiem po niewielkim mieszkaniu urządzonym w stylu i w latach PRL. – Trzymaj się tam. Aha – burknął niby od niechcienia – jakbyś chciała, to mogę iść na spacer... czy coś.

– Dzięki, stary.

– Natychmiast mów, co się dzieje! – Jak tylko usłyszeli trzaśnięcie zamykanych za Tristanem drzwi, Anna Maria Kier, stojąc jeszcze w korytarzu, rzuciła się na byłego męża jak dzikie zwierzę. Złapała go za poły, pięści miał podstawione pod brodę, a w jej oczach było coś takiego, że Janusz zadrżał.

– Spokojnie, porozmawiamy, zrobię coś do picia. – Mówił wolno, bezskutecznie próbując uwolnić się z dźwigni, jaką mu założyła. – Zaraz mnie udusisz, Anka! – wycharczał, a wtedy poluzowała uścisk. Janusz

pomasował obolałe gardło i spojrzał na byłą żonę ze złością. – Oszalałaś?! – krzyknął, wciąż nerwowo kaszląc.

– Co robiłeś w domu mojego ojca? – Kier miała sztylety w oczach. Pierwszy raz, w całym swoim życiu, czuła, że traci panowanie nad sobą. Miała ochotę udusić tego sprzedawczyka gołymi rękami.

– Zadzwoił do mnie i wezwał do siebie – wydukał Janusz, po czym zdjął płaszcz i przecesał włosy grzebieniem zostawionym na półce pod lustrem. Wszystkie te ruchy wykonywał niespiesznie, jak gdyby właśnie wrócił ze spaceru.

Anna zerkała na eksmęża, a jej złość przeszła w rozbawienie. Ustawił równo buty i włożył ciepłe kaptcie.

– Chodźmy do kuchni. – Wskazał ręką wzdłuż korytarza, jakby zapraszał ją do zwiedzania zamku. Nie wierzyła w absurdalność tej sytuacji, ale po chwili przypomniała sobie, że jej były mąż zawsze taki był. Zawsze ułożony, grzeczny, z codziennymi rytuałami.

– Jak zaproponujesz mi herbaty z termosu, to cię zabiję – wysyczała i ruszyła za pełnym godności eksmężem bardzo długim ciemnym korytarzem.

– Nie proponuję ci herbaty, ale uważam, że powinnaś się uspokoić – perorował, wlewając do kubka gorący napar. Zajął ulubione miejsce na brązowym narożniku i gestem zaprosił ją, by też usiadła. – Nic takiego się nie wydarzyło – zaczął, odchrząkując. – Twój ojciec zadzwonił niespodziewanie... – Przerwał na chwilę, gdy napotkał srogi wzrok byłej żony. – Przyjechałem do niego w ciągu godziny.

– Czego chciał? – Anna wyraźnie się niecierpliwiła. W przeszłości często tak reagowała na jego powolność.

– No właśnie, trudno powiedzieć... – Janusz otulił dłońmi gorący kubek. – Pytał mnie na przykład, jak nam się układa. Powiedziałem, że, cóż, no... nie bardzo mamy kontakt. – Pociągnął nosem i uciekł wzrokiem. – Co nie powinno go zresztą dziwić.

– Co go to obchodziło?

– Nie wiem. Ale miałem wrażenie, że coś go trapi. Nie powiedział mi niczego konkretnego. Myślę, że chciał mnie tylko sprawdzić. Wiedziałem, że jest podsłuch, nie robiłem żadnych głupstw. Może po prostu postanowił się ze mną zobaczyć? – Mężczyzna przechylił głowę i się uśmiechnął.

– Pierdolisz, chłopie!

– A ty jak zwykle! Tu się nie przeklina!

– I co? Spytał, jak nam się układa, popatrzył na ciebie i tyle?

– Mhm. – Janusz schował twarz za dużym kubkiem, udając, że chce się napić.

– Nie, no to jakaś bzdura! – Anna uderzyła dłońmi w stół.

- Przyrzekam. Trochę też pytał o ciebie, ale to takie tam grzecznościowe rozmówki.

- Fakt, stracił mnie z oczu. Nie mógł mnie podsłuchiwać, ty przestałaś na mnie donosić, a Tristek robił to tak nieumiejętnie, że od razu znałam prawdziwego nadawcę pytania. - Kier się zaśmiała, kręcąc głową. - Ale nie wierzę ci, Janusz. O takie pierdoły mógł cię zapytać przez telefon. Powiedz mi prawdę, proszę cię. - Detektywka złożyła dłonie jak do modlitwy i spojrzała byłemu mężowi w oczy. On zerkał na nią znad okularów, jakby wzrokiem udzielał niezwerbalizowanej odpowiedzi.

- Mówię ci prawdę, Aniu - wyszeptał.

- Nie wierzę ci! - Kier pospiesznie wstała. Wiedziała, że Janusz niczego więcej jej nie powie. Podniosła ręce, związała włosy w koński ogon i spojrzała na niego z góry. - Ale przyjdzie taki moment, że wszystko mi wyśpiewasz. Tylko żeby nie było za późno - dodała, wzdychając. - Aha, jeszcze jedno. - Odwróciła się powoli. - Coś ci mówią nazwiska Tymon Zawadzki i Magdalena Dębska?

Janusz energicznie zaprzeczył.

- Powiedzmy, że to dziennikarze... Słyszałaś o nich? - Anka nie ustępowała.

- Nie, a co ja mam mieć wspólnego z jakimiś dziennikarzami, Anutku? - Odetchnął z wyraźną ulgą i lekko się uśmiechnął.

- Mhm... - Anna pokiwała głową ze znużeniem, ale nagle jej ciało przeszył dreszcz. Przecież to oczywiste! - niemal krzyknęła. Oczywiście, że macie coś wspólnego, dokończyła w myślach, a na głos powiedziała: - Wiesz, gdzie mnie szukać. I pamiętaj, że im szybciej dowiem się prawdy, tym lepiej dla ciebie. I dla naszego syna - dodała z przekąsem, lecz natychmiast pożałowała tych słów. Umówili się kiedyś, że bez względu na wszystko nie będą mieszać Tristana w swoje sprawy. Ale przecież tutaj już było za późno. Ich syn został wmieszany w sprawę Króla w dniu swoich narodzin.

Moment, kiedy przesuwawała ukryte drzwi szafy, a jej oczom ukazywał się solidny sejf, wywoływał jej niepokój. Jakby za chwilę miało wydarzyć się coś, czego nie można cofnąć, coś, co cały świat miało wywrócić do góry nogami, a mimo to jakaś siła kazała jej to zrobić. W tym momencie drżała na całym ciele, a lęk, który wypełniał jej krwiobieg, nakazywał jej iść dalej.

Wbiła cyfry szyfru, aż w końcu usłyszała upragnione piknięcie. Szafa została otwarta. Kier nabrała powietrza do płuc i niemal nie oddychając,

przeszukiwała zawartość, przesuując palcami kolejne teczki.

Tak znalazła jedną. Miała rację. Ale teczka, której się spodziewała, była niemal pusta, cienka. Spakowała ją do torby. No, to już prawdopodobnie wiadomo, w jakiej sprawie nękali ją influencerzy. Tylko czy na pewno wiedzą, co robią?

ROZDZIAŁ 6

[20 grudnia 2019]



Nazajutrz pojawili się punktualnie. Narada na Kobielskiej, zwołana na dziesiątą rano, była dla całej trójki czymś, na co wszyscy czekali. Wyraźnie się ucieszyli i niemal od razu, mimo przedświątęcnego okresu, przystąpili do pracy. Anna Maria Kier rozłożyła na stole wszystkie zgromadzone materiały, Wanda rozstawiła laptop, a Piach jak zwykle częstował się przygotowanymi przekąskami.

– No, jedziemy z tym koksem! – Wepchnął kanapkę do ust, po czym klasnął w dłonie wyraźnie ucieszony. – Co tu mamy? – Wziął do ręki plik kartek i zaczął je przeglądać. Wspólniczki posłały sobie przyjazne uśmiechy. Wszyscy uwielbiali ten moment. Nowa sprawa, która zaangażuje ich na tyle, by przestali się zajmować prywatnymi problemami, to zdecydowanie najlepsze lekarstwo.

– Okej, to ja mówię, co mamy, i dzielimy się robotą. – Anna podniosła swój pomarańczowy notes i pomachała nim znacząco. – Sprawa nie jest świetnie płatna, bo pomagamy Ursuli, ale mamy zwrot kosztów i dobrą dniówkę. – Spojrzała na wystraszonego Piacha.

Zanim przeszła do omawiania przygotowanych dokumentów, zreferowała szczegółowo, jak sprawa trafiła do profilerki i w rezultacie do ich agencji. Starła się, by nie umknął jej żaden szczegół. Nawet po tylu latach wszystko może być ważne i absolutnie niczego nie wolno zignorować.

– Musimy tylko ustalić pewne fakty, bo Luft ma nadzieję, że szybko zajmie się tym Archiwum X – zakończyła tę część wypowiedzi, długo wypuszczając powietrze.

– Dobra, ustali się. Pojedziemy z Wandą! – wtrącił Piasecki, zerkając na Lechicką.

Anna poczuła lekkie ukłucie zazdrości, ale było to tak małostkowe, że postanowiła je zwalczyć. Poza tym wiedziała, że ta dwójka doskonale sobie poradzi, a ona w tym czasie będzie mogła zająć się Zawadzkiem i Dębską.

– Okej, sprawa wygląda tak. Dwadzieścia osiem lat temu, w małej miejscowości pod Olsztynem... Tu macie dokładne namiary – wskazała palcem zaznaczone na żółto miejsce w dokumentach – zaginęła przedszkolanka, Julia Buczkowska. Skończyła pracę i po krótkiej drzemce wybrała się do rodziców mieszkających we wsi oddalonej o kilka kilometrów. Ponieważ była piękna pogoda, wybrała się na piechotę i...

– Nigdy tam nie dotarła? – wtrąciła Wanda znad klawiatury.

– Stara, po takim czasie nie znajdziemy trupa! – oburzył się Piasecki.

– Nie trzeba go szukać. Zwłoki znaleziono po czterech latach, w krzakach nad jeziorem, w trudno dostępnym miejscu, ale znanym okolicznym mieszkańcom – kontynuowała skupiona Kier. – Mimo zaangażowania rodziny, znajomych i policji nigdy nie ujęto sprawców.

– Albo miała wrogów, albo nawinęła się jakiemuś psychopacie na stopa, albo jakiś zakochany chłopak nie przyjął odmowy... – Ireneusz Piasecki teatralnie przewrócił oczami. – Takich spraw jest na pęczki. Zgwałcona? – dorzucił, nie podnosząc wzroku znad czytanych dokumentów.

– Nie – zaprzeczyła Anna.

– Mhm. – Piach podrapał się po brodzie.

– Sekcja zwłok wskazała na uduszenie. Ciało było przykryte gałęziami, nie wykopano grobu ani nic w tym stylu. To sugeruje pospieszne pozbycie się zwłok, z widocznymi śladami przemieszczenia.

– Wrogowie? – podpytała Wanda, nie przestając klikać.

– Teoretycznie nie było. Pracowita, lubiana, przykładna, pomocna, dzieci ją uwielbiały – odpowiedziała Kier zdecydowanym tonem, jakby spodziewała się tego pytania.

– Chłopak? – Lechicka kontynuowała słownego ping-ponga.

– Nie miała.

– Dziwne. Pewnie jakaś maskara – parsknął Piach, ale po chwili zamilkł, zdając sobie sprawę z niezręczności. Nauczył się w ostatnim czasie, że Kier i Lechicka w ogóle nie rozumieją takich żartów. Wolał odpuścić, niż przekonywać je do swoich zabawnych wtrętów.

– Przeciwnie. Na trzeciej stronie załączono jej zdjęcia. Miała kilku adoratorów, ale z żadnym nie związała się na stałe czy na poważnie. Uwielbiała swoją pracę jako przedszkolanka, w pełni się jej poświęcała, często po godzinach. W miasteczku mówili, że nigdy nie robiła problemów czy wyrzutów rodzicom, którzy później odbierali maluchy. Miała dobry kontakt z mieszkającą w tej samej kamienicy siostrą, szwagrem...

- Idealna rodzina - wtrąciła z przekąsem Lechicka i z wyraźną dezaprobatą pokręciła głową.

- Tak to wygląda - zripostowała Kier. - Ojciec mocno zaangażował się w szukanie sprawców, nachodził lokalny komisariat...

- Dobra, jest trochę tych papierów. - Piasecki podniósł grubą teczkę i pociągnął nosem. - Mamy to wszystko przeczytać? - Skrzywił się, wyraźnie zapominając o własnym przyrzeczeniu, że nie będzie marudził, debilnie żartował i wykaże się zaangażowaniem, by przykryć ostatnią wpadkę, gdy zapił, nie skończywszy sprawy Baryłki.

- Nie, spokojnie, przygotowałam solidne streszczenie, z odnośnikami do zeznań i ustaleń. Przewertowałam te akta, tak naprawdę mięcha jest tam niewiele, za to błędów naszych co niemiara. Zaczniście od streszczenia. Niebieska koszulka.

- Okej... - zgodził się ochoczo Piasecki. - Robi się, szefowo!

- Dzięki, Piachu. - Puściła do niego oko, by wiedział, że docenia jego postawę. Anna zawsze lubiła zaangażowanie, najlepiej takie na dwieście procent. - Wanda, a ty masz jakieś pytania? - Skierowała spojrzenie na współniczkę, która właśnie odrzuciła połączenie i wsunęła telefon do torby.

- Nie, ja muszę wszystko na spokojnie poczytać, poanalizować, przeszukać sieć. To poważna sprawa, musimy nad tym trochę posiedzieć, w skupieniu, nie na wariata.

- Zgadza się - przytaknęła Kier. - Dacie radę w tym świątecznym czasie jakoś do tego zajrzeć? Za cztery dni Wigilia, potem sylwester... Może umówimy się na obgadanie wniosków i ustalenie planu działania jakoś zaraz po pierwszym styczniu? - Anna rozglądała się niepewnie. Jej głos brzmiał jak dziecinny pisk, nie miał w sobie zdecydowania i szorstkości, do których przywykli. - Bo ja, wiecie, nie bardzo dam radę... Wigilia u mnie, potem chcemy wyskoczyć w góry z całą rodziną i... - zaczęła się tłumaczyć, czym rozbawiła współników.

- Jasne, Anka, to zrozumiałe. - Piasecki włożył do ust duży kawałek sernika. - Są święta - dodał i głośno przełknął.

- Piach ma rację. - Wanda posłała Annie przyjacielski uśmiech. Wiedziała, jaki to dla niej ważny czas. W pełni miała go poświęcić rodzinie, pierwszy raz w życiu przedkładając osobiste sprawy nad pracę. - Należy ci się! - dodała na pocieszenie.

- Okej, to narada po Nowym Roku, od razu dam znać, jak wrócę. - Kier klasnęła w dłonie i wstała energicznie. - Aha. - Zatrzymała się nagle. - Na pewno nie dacie się namówić, by do mnie wpaść? - Uniosła brwi i przygryzła wargę, jakby o czymś sobie przypominała.

- Na pewno! - odpowiedzieli jednocześnie, co wyraźnie ich rozbawiło.

- Ale zaraz... - Lechicka spoważniała i wyjęła z dokumentów niebieską koszulkę ze streszczeniem sprawy. Zmarszczyła czoło, przez co jej brwi zrównały się z linią grzywki. - Czy Ursula kogoś wskazuje? - Wanda potrząsała trzymanymi w ręce papierami.

- Jeszcze nie, ale jest blisko. Tylko że o tym pomówimy na naradzie w styczniu, jak ze wszystkim na spokojnie się zapoznacie. - Anna pokiwała głową, z uznaniem zerkając na współniczkę. Wanda zawsze była w pracy. Nawet jeśli robiła coś innego, jej mózg nigdy nie przestawał analizować zadania, którego się podjęła. Nigdy.

CZEŚĆ 2



ROZDZIAŁ 7

[24 grudnia 2019]



Przestań, Aleks... – wyszeptała Kier, nie otwierając oczu. Chwyliła kochanka za rękę i pocałowała wewnątrz dłoni, a następnie przytuliła się do jego ciepłego brzucha. Wciąż byli rozgrzani. – Dopiero zasnęliśmy, już nie mam siły. – Uśmiechała się. – Prześpijmy się chociaż do zakończenia ciszy nocnej – zażartowała i położyła niespokojną dłoń mężczyzny na swojej piersi, przyciskając ją mocniej. Była naprawdę zmęczona, ale też szczęśliwa. Chyba nigdy w całym swoim czterdziestopięcioletnim życiu nie czuła się tak wspaniale jak teraz. Ta chwila była jak motyl, delikatna, krucha i jakby nieosiągalna, ale była, naprawdę była. – Trwajmy tak, proszę – wyszeptała, ponownie przymykając oczy. Jakie to wspaniałe uczucie: zasypiać bez żadnych proszków, bez lęku o syna, bez strachu przed ojcem, bez tęsknoty za matką. Bez tych wszystkich lepkich myśli, których nie można się pozbyć, a których już dłużej nie można znieść. Wreszcie nie wymiotowała i nie dostawała nagłego skurczu mięśni. Jej organizm przestał walczyć. Wygrał.

Aleks Biernat wydał cichy pomruk niezadowolenia, ale przystał na prośbę partnerki i delikatnie objął ją w pasie. Odchylił się jednak, drugą ręką wyjął cicho spod poduszki telefon komórkowy, by sprawdzić godzinę. Dochodziła piąta, za oknem rozlewała się ciemność, jakby ktoś zasunął ciężkie czarne kotary.

Przez chwilę korciło go, by przejrzeć wiadomości, szczególnie interesowały go doniesienia z Wuhanu, miasta w Chinach, gdzie pojawiły się przypadki ciężkiego zapalenia płuc o nieznanym pochodzeniu. Dopiero wrócił z delegacji w Azji, skróconej zresztą na polecenie brata i zarazem szefa firmy farmaceutycznej, dla której Aleks pracował. Gustaw, powołując się na własne ustalenia, kontakty i półoficjalne rozmowy w branży, obawiał się najgorszego – wybuchu epidemii, a nawet

pandemii, dlatego przebukował bilety. Postanowili wrócić do Polski, nim panika medialna rozwinie skrzydła. Gustaw przebąkiwał coś nawet o zamknięciu granic, w co zresztą Aleks nie wierzył. Bez przesady, uśmiechnął się pod nosem na wspomnienie przerażonej miny brata i jego chaotycznego działania. Jasne, wiedział, że ze zmutowanymi wirusami nie ma żartów, ale to raptem trochę chorych osób związanych z chińskim targiem. Może nie będzie tak źle, dodał na pocieszenie i schował telefon. Miał przy sobie najzgrabniejszą kobietę, jaką znał, świadomą ciała i swoich potrzeb, lubiącą seks. Czego chcieć więcej? Trzeba tylko przetrwać rodzinno-święteczne szopki i będą mieć czas wyłącznie dla siebie. Westchnął głośno, wypuszczając powietrze, wtulił się w plecy Anny i niemal natychmiast zasnął.

Lechicka działała jak automat, a jej mózg bez przerwy powtarzał słowa młodego policjanta: „Jest w stanie krytycznym”, „Ale na miejscu zdarzenia była tylko pani matka, wygląda na to, że to ona kierowała pojazdem, białą kią sorento”. O czym on mówił, do cholery? Matka nie mogłaby prowadzić samochodu. Nie robiła tego od dawna. Wanda miała wrażenie, że za chwilę eksploduje. Nie miała kontroli nad żadną myślą.

Była szósta trzynaście, a to znaczy, że w ciągu dziesięciu minut od zakończenia rozmowy z młodszym posterunkowym Witoldem Gryfem była gotowa do wyjścia. Czarny golf, grube bojówki, wysłużone, ale wciąż solidne trapery i długa puchowa kurtka, do tego plecak z laptopem, powerbanki, komórka i bielizna na zmianę. Stała pośrodku zagraconego pokoju i nerwowo rozglądała się, nie wiedząc, czego szuka. Działała jak automat, robocop albo robot zaprogramowany w jednym celu: natychmiast wyjść, działać, strzelać. Zerknęła na zegarek w komórce, mrużąc oczy, bo wciąż jakoś dziwnie raziło ją światło wyświetlacza. Znowu przesadziła z wpatrywaniem się w ekran. Ponownie spojrzała na zegarek. Nic się nie zmieniło. Od rozmowy z młodszym posterunkowym minęło dziesięć minut. Musi jak najpilniej pojechać do szpitala w Łodzi, do matki. Dowiedzieć się, co z ojcem. Poczwała, jak broda zaczyna jej drzeć, a nogi robią się jak z waty.

Usiadła na łóżku, starając się wyrównać oddech.

– Nie panikuj, Lechicka! – krzyknęła, przywołując się do porządku, lecz jej głos zabrzmiał jak kwilenie, a nie szorstka komenda. Działała irracjonalnie, bez planu, ale jak, na Boga, zrobić to inaczej w takiej chwili? Przełknęła głośno ślinę i wcisnęła spis połączeń.

– Odbierz, proszę cię – szeptała do trzymanej w ręce słuchawki. Dźwięk nieodbieranego połączenia sprawiał jej ból. Koniec. – No dobrze, pojedę uberem, spokojnie – mamrotała do siebie, wyszukując aplikację, ale zamiast spodziewanej mapki z miejscem odbioru pojawiło się połączenie przychodzące.

– Śniło mi się, że dzwoniłaś – usłyszała zaspany głos, któremu towarzyszyło głośnie ziewanie. – Ale to nie sen. Stało się coś?

– Pojedziesz ze mną do Łodzi? – spytała Wanda proszącym tonem. Jej głos drżał, mimo że próbowała nad nim zapanować.

– Jasne, kiedy?

– Teraz. Natychmiast.

– Oho, coś się stało. Już do ciebie jadę. Zrób nam kanapki na drogę. A nie, pewnie nic nie masz. Kupimy coś na stacji.

– Dzięki, Piachu – wyszeptała Lechicka, pociągając nosem, i chyba po raz dwudziesty wybrała polski numer ojca. Telefon został wyłączony. Nie będzie się czego chwycić, ale może jeszcze zobaczę ostatnie logowanie?, pomyślała i klasnęła w dłonie. Dalej siedząc w kurtce, szybko wyjęła laptop i strzeliła palcami. Zobaczmy, co sieć o tobie mówi, tatulku. – Zsunęła czapkę na tył głowy, zdmuchnęła grzywkę i położyła dłonie na klawiaturze.

Nim przyjechał po nią Ireneusz Piasecki, Wanda wiedziała jedno, i naprawdę nie była to dobra wiadomość.

– Kurwa! – przekleła szpetnie pod nosem i zamknęła klapę laptopa. Po chwili na komórce pojawiła się fotka Piacha. Wanda warknęła do słuchawki, że natychmiast schodzi. Po drodze złapała pudełko z niedojedzoną wczorajszą pizzą. Może będzie na śniadanie.

Ireneusz Piasecki, głęboko zaciągnął się papierosem, ale na widok Wandy zgasił peta w pobliskim koszu na śmieci.

– Ładnie tu zrobili. – Podniósł wzrok na świąteczne iluminacje i uśmiechnął się do ledwo widocznego białego puchu, który został gdzieś na lampionach. Czuł się nieswojo, ale jakoś uspokajały go te lampki dekorujące latarnie. W zimny grudniowy poranek ciemna ulica przyjaźniej z nimi wyglądała.

– Stary, nie musimy rozmawiać o pierdołach. – Wanda uśmiechnęła się nieśmiało. Wrzuciła na tył auta pudełko z pizzą, plecak, zdjętą przed chwilą kurtkę, po czym sama ciężko opadła na fotel pasażera i położyła laptop na kolanach. Nim Piach zajął miejsce kierowcy, uniosła klapę i nabrała głęboko powietrza do płuc. Patrzyła bezmyślnie w monitor, zagryzając wargi.

Piasecki, ubrany w świąteczną białą koszulę, zerkał na nią, nie przekręcając kluczyka w stacyjce.

- No, jedziemy - odezwała się po chwili.

- Jasne, tylko dokąd? - Wspólnik z agencji rozłożył ramiona i posłał jej uspokajający uśmiech.

- Stary, przepraszam cię... - Lechicka odwróciła twarz i spojrzała przez swoje okno na klatkę kamienicy, w której mieszkała. Coś jej mówiło, że nigdy tu nie wróci. Przeszył ją nieprzyjemny dreszcz. - Nie mogę zebrać myśli. - Potrząsnęła wreszcie głową i zerknęła na Piacha. - Jedziemy do szpitala. - Sięgnęła ręką na tylne siedzenie i wzięła do ręki pudełko z pizzą. Odczytała adres, a Piasecki ruszył bez słowa i płynnie włączył się do ruchu.

Na Francuskiej pojawili się pierwsi przechodnie, podnosiły się żaluzje sklepów w oficynach, włączyły się światła w pobliskim supermarkecie, a na ulicę wjechał autobus z kilkoma zaspanymi pasażerami. To niezwykle, że za kilka godzin to wszystko ucichnie i Saska Kępa spokojnie położy się spać. I tak codziennie. Świat i życie zawsze toczą się dalej, nigdy się nie zatrzymują ani nawet nie wstrzymują oddechu. Świat tylko patrzy z należytego dystansu i z pewnością nie zainteresuje się problemem czy piekłem, przez które ktoś właśnie przechodzi. Problemy jednostki są niczym. Tak wczoraj, dziś i jutro. Jak każdego dnia.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Piacha. Detektyw podawał jej termos z ciepłą kawą i maślanego rogalika w zatłuszczonej serwetce. Najwyraźniej zdążył się jednak szybko ogarnąć przed podróżą.

- Zjedz to, łyknij kofeinki i odłóż wreszcie ten komputer! - wydał jej polecenie, nie kryjąc się z trybem rozkazującym w głosie. Doskonale wiedział, że w takich sytuacjach najlepiej działają krótkie, szorstkie komunikaty. Prośby i konwenanse to sobie można w tyłek wsadzić. Klasnął w dłonie.

Wanda jakby czytała w jego myślach. Posłusznie ugryzła rogalik i odkręciła termos, wypuszczając słodki, wręcz mdły zapach kawy rozpuszczalnej, którą Piach zrobił w domu. Skrzywiła się, ale napotkawszy srogi wzrok wspólnika, posłusznie upiła kilka łyków.

- Dzięki, to był dobry pomysł - odpowiedziała w końcu, wycierając ręce w papier po rogaliku. Zakręciła termos i postawiła go na podłodze między nogami.

- Oczywiście, cukier krzepi! - odparł Piasecki, wyraźnie zadowolony z siebie. Właśnie zjeżdżał powoli z Wisłostrady, kierując się na A2. Jak dobrze pójdzie, to ani razu nie skorzysta z GPS-u. - No dobrze, nadawaj, o co chodzi. - Kiwnął głową na zachętę.

Wanda zaczęła mu relacjonować przebieg dzisiejszych zdarzeń. Właściwie zamknęła się w dwóch zdaniach, a jej opowieść była rzeczową, suchą i pozbawioną emocji. Jak ona sama. Może trochę załamał jej się głos, gdy mówiła o matce, lecz było to niezauważalne.

- Okej. - Piasecki odchrząknął i spojrzał na współniczkę z wyraźną troską. - Czyli jedziemy do twojej matki, która leży w szpitalu, w stanie krytycznym, a twój ojciec... teoretycznie zaginął, tak?

Hakerka przytaknęła, nerwowo stukając kciukiem w trzymany na kolanach laptop.

- Ale jak to jest możliwe? Jak to zaginął? - dopytywał wyraźnie pobudzony Piach.

- Tego nikt nie wie.

- Okej, ale jakieś ślady wskazują, że był uczestnikiem zdarzenia?

- Nie bardzo, ale ja jestem tego pewna - powiedziała Wanda bardziej do siebie niż do współnika. - Matka nie wybrałaby się w taką podróż jako kierowca. Poza tym skąd ten samochód wzięłby się nagle w Niemczech, no skąd? To jest totalnie nielogiczne.

- Wanda, nawet nie wiesz, ilu sprawców działa na pozór nielogicznie - wtrącił Piach tonem znawcy. - A potem wszystko pięknie wpada na swoje miejsca w układance. Nie masz żadnych dowodów, że twój ojciec pojechał za granicę, ani że matka nie była sprawcą.

- Tak, wiem. Policja ustala przebieg tego wypadku.

- Jak zatrzymamy się na stacji, sprawdzę stare kontakty, może będę miał kogoś z tych okolic. Nie będziemy chodzić jak petenci! - Ireneusz Piasecki pociągnął nosem i poprawił okulary. - Wiesz - dodał po chwili - a może twój ojciec był w jakimś szoku? Miałem kiedyś takie zdarzenie, że facet po uderzeniu w płot wysiadł i poszedł przed siebie. Nie wiedział, co robi ani gdzie jest. Jak go znaleźliśmy, wydawał się naćpany, choć był czysty. Może tu było podobnie?

- Może... - przytaknęła cicho. Myślami była jednak zupełnie gdzie indziej.

Piasecki się nie poddawał.

- A wiadomo, co było przyczyną tego wypadku? W nocy był przymrozek, trochę śniegu z deszczem i mamy ślizgawicę - perorował, prostując się w fotelu, przez co wydawał się wyższy o kilka centymetrów.

- Nic nie ustalili. Jest sporo możliwości - odpowiedziała. - Może wpadli w poślizg, ojciec zobaczył, że matka jest nieprzytomna, i zwiął. Ale powinien przecież wezwać pomoc. Albo - Lechicka zamyśliła się, mrużąc oczy - tak jak mówisz, jest w szoku, albo... - zawiesiła głos - ktoś mu w tym pomógł. Tylko dlaczego to on nie prowadził? A może mój ojciec jest na coś chory? - Podskoczyła nagle, puszczając termos, który upadł jej na stopy. - To by miało sens. Może przechodzi jakieś leczenie, dlatego chce

mnie widzieć i dlatego nie nadawał się do kierowania w tę i z powrotem?...
– Lechicka zamyśliła się, odetchnęła głęboko i zapadła się w fotelu. Po chwili znów niespokojnie podskoczyła.

– Jest jeszcze coś!

– Co? – Piasecki nerwowo przyhamował, przez co oboje polecili gwałtownie do przodu.

– Hm, nie wiem, ale myślę, że jeśli wszystko z nim w porządku, to mój ojciec mógł się kogoś bać. Ten pomysł ze świętami w Polsce, do tego z chorą córką marnotrawną, te jego telefony do mnie... To wszystko jest cholernie dziwne.

– No właśnie! – zgodził się Piach, przyspieszając, by wyprzedzić tira. – Przeanalizuj każde jego słowo, może próbował ci coś powiedzieć, wiesz, między wierszami? – Detektyw znowu się wyprostował i wysunął brodę. Czuł, że ze względu na wiek to on przejmuje dowodzenie w tym tandemie.

– Nic z tego! – Hakerka nerwowo pokręciła głową. – Nie odebrałam żadnego połączenia od niego.

– No wiesz co... – Piasecki złagodził ton. – Tak nie można...

– Można! – zaoponowała ostro. – Ostatni raz rozmawialiśmy osiem lat temu, jak tuż przed świętami wypierdalał mnie z domu. Ale zapewniam cię, stary, że gdybym wiedziała, że coś mu grozi albo że jest chory, tobym odebrała ten jebany telefon! – Głos Lechickiej stał się piskliwy, broda jej zaczęła drżeć.

– Spokojnie, wiem, wiem. Nie denerwuj się. – Piasecki natychmiast pożałował swoich słów. Musi pamiętać, że Wanda jest inna. Mówi wprost, co myśli, ale choć tego nie okazuje, łatwo ją zranić. A przecież niczego takiego nie chciał.

– A wy nie macie jakiejś rodziny? Może kontaktował się z kimś innym, skoro ty nie odbierałaś? Jakaś ciotka, nie wiem... Halo! – Piach pstryknął, by przywrócić Wandę do rzeczywistości, bo była zamyślona i nie reagowała na jego pytania.

– A to jest właśnie bardzo ciekawe... – odezwała się w końcu po pewnej chwili, która dla detektywa trwała stanowczo za długo. – Powiedz teraz, szybko! – krzyknęła, aż podskoczył. – Przy założeniu, że twój rodzic nie jest celebrytą ani osobą publiczną... rozumiesz, kimś znanym! – Lechicka nagle nabrała animuszu. – Takim Kowalskim.

– No tak, rozumiem. Zwykły człowiek, jak moja matka na przykład – odpowiedział zaskoczony Piach.

– Ile razy wyszukiwałeś w Internecie dane swojej matki? – Wanda wbiła w niego skupione spojrzenie, ale uciekł wzrokiem, patrząc na drogę.

– Co? Nigdy. A po co? Co, ja własnej matki nie znałem? – Detektyw, wyraźnie zirytowany, potrząsnął głową.

– No właśnie.

- Przestań, po co miałbym to robić? Już pomijając, że ja raczej nie korzystam z tego ustrojstwa – prychnął, łypiąc na laptop leżący na kolanach Wandy.

- A ja korzystam, i to w stopniu zaawansowanym. I wiesz co? Nigdy go nie znalazłam w sieci. Choć idę o zakład, że większość ludzi nie szuka bliskich w Internecie.

- No dobrze, i co z tego? – Piasecki poczuł, jak robi mu się gorąco. Sięgnął po napoczętą butelkę wody i upił łyk.

- Wiesz, że mogę dotrzeć do innych baz danych, nie tylko do takiego Google'a? – kontynuowała Wanda.

- Taa, ty robisz takie cuda-wianki, że ja nie nadążam – parsknął, puszczając do niej oko.

- Otóż wyobraź sobie, że mój ojciec w sieci nie istnieje – wyszeptła po dłuższej pauzie.

- A czemu ma istnieć? Na pewno nie ma Facebooka i tych socjalnych mediów. To normalny człowiek, a nie bezmyślna istota przyrośnięta do smartfona. Wiesz, czytałem o takich badaniach, także wśród dorosłych, że ludzie boją się odłożyć telefon, bo ominie ich jakaś informacja. Przez pięć minut świat im się zawali, rozumiesz? To się nawet jakoś nazywa... – dodał tonem znawcy i spojrział na wyraźnie nieobecna współniczkę.

- FOMO, ale już daj spokój – westchnęła Wanda. – Coś jest nie tak, Piachu. Połączyłam kropki i naprawdę czuję, że coś tu nie gra. Ojciec nie ma żadnej rodziny, nigdy nie byliśmy u jakiejś babci czy wujka. Ponadto on prowadził przez wiele lat warsztat stolarski, a nie ma go nawet w CEIDG, tak że... nie wiem, czy dostaje jakąś emeryturę. To wszystko jest naprawdę cholernie dziwne.

- E tam. Ludzie starej daty mają wszystko na papierze. Pojedziesz do domu i wszystko znajdziesz: dokumenty, ZUS-y, co trzeba. Poza tym, moim zdaniem, wymyślasz. Chłopina jest w szoku, trzeba go po prostu odnaleźć. O, tu jest stacja. – Wrzucił kierunkowskaz. – Zatankujemy i poszperam w kontaktach. Potrzebujemy kogoś stąd, musimy działać sprawnie. No i nie uprawiaj czarnowidztwa, bo życie to nie film sensacyjny. – Uśmiechnął się, znowu wyraźnie zadowolony ze swojej mądrości życiowej.

ROZDZIAŁ 8

[24 grudnia 2019]



Sweter Aleksa pachniał jego perfumami. Stłumiony korzenny zapach i orzeźwiająca woń cytrusa to połączenie idealne. Odświeżające i działające na zmysły, a do tego... typowo męskie, kojarzące się z siłą i niewypowiedzianą mocą. Anna Maria Kier, popijając kawę, wtulała się w ten kardigan z czułością i delikatnością. Nie spała już od dłuższego czasu, ale nie chciała obudzić swoją krzątanicą śpiącego w sypialni partnera. Zerknęła na listę zakupów i uśmiechnęła się do siebie. To będzie najwspanialsza Wigilia w jej życiu. Nie pozwoli nikomu ani niczemu tego zniszczyć. Nie pozwoli nikomu odebrać sobie tego dnia.

Mijały kolejne minuty, Aleks nie wstawał, więc Anna, skradając się, wyjęła z szafki pod telewizorem przyniesioną poprzedniego dnia teczkę. Wczoraj nie miała czasu ani ochoty do niej zaglądać, tak cieszyła się z powrotu kochanka, ale teraz postanowiła przejrzeć jej skromną zawartość. Włączyła lampkę, usiadła wygodnie na kanapie i położyła przed sobą znalezisko z szafy Króla. Zamyślona, zaczęła wodzić palcem po literach nazwiska wypisanych na przewiązanej postrzępioną wstążeczką szarej teczce. Jej uwagę przykuł duży czerwony wykrzyknik namazany grubym pisakiem, tuż przy nazwisku.

- No, zobaczymy, co tam ojczulek nazbierał na ciebie. - Zawiesiła uśmiech w kącikach ust i poczuła coś dziwnego. Jakiś rodzaj wyższości i władzy lub niebezpiecznej nonszalancji, której wcześniej nie znała. Żadnego podszycia strachem czy lękiem, przeciwnie, buzowała w niej narastająca pewność siebie. Niedobrze, westchnęła ciężko, przywołując się do porządku. Nie może pogrywać w ten sposób i nie wykorzysta tych zebranych materiałów przeciwko nikomu. Nigdy.

Nie wolno jej przekroczyć czerwonej linii, bo potem już nie będzie odwrotu. Są takie drogi, z których nie można zawrócić, a każdy kolejny

krok stawia się po równi pochyłej.

Drżącymi rękami rozsypała wystrzępioną kokardkę i otworzyła teczkę. W środku znajdował się plik kartek, ale nie pożółkłych ani zniszczonych, jakie zwykle widywała w teczkach ojca, tylko białych. Anna pokiwała głową, to ewidentnie świeże dane, ateczka wyglądała na nowo powstałą. Obejrzała ją jeszcze raz z obydwu stron, bacznie przyglądając się czerwonemu wykrzyknikowi. Hm... A może to znak, że nie ma części dokumentów, pomyślała. To pierwsza taka z szafy Króla. Ciekawe, gdzie jest reszta. Westchnęła i ponownie zajrzała do środka. Na pierwszej stronie było coś w rodzaju CV dziennikarza, jego ścieżka naukowa, czyli szkoła średnia, studia, wydział, promotor, praca magisterska, a nawet skład komisji podczas obrony pracy, potem kariera zawodowa, tytuły książek i publikacji. Anna parsknęła śmiechem. Część tytułów, wyróżniona na niebiesko, była ewidentnie podlinkowana, co miało się z celem w papierowej wersji dokumentów. No ale zawsze to jest jakieś źródło, pomyślała rozbawiona. Wieczór i noc z Alekssem wprawiły ją w taki nastrój, że trudno go było zepsuć.

Na kolejnych stronach znajdowała się robocza wersja artykułu Tymona Zawadzkiego, zatytułowana *Nie matura, lecz chęć szczerą...* Tekst był przekreślony na czerwono, a na końcu znajdował się komentarz i podpis redaktora naczelnego, że artykuł został wycofany z powodu zmiany koncepcji numeru. Dobrze sobie, pomyślała, i zaczęła czytać. Już pierwsze dwa zdania wprawiły ją w osłupienie, mocno zaciekawiona brnęła dalej, mimo że w salonie pojawił się wreszcie długo wyczekiwany kochanek.

– Sekunda – syknęła, nie podnosząc głowy. – To jest po prostu niebываłe! – dodała gorączkowo, zagryzając wargi.

– To co, kawa, prysznic i sypialnia? – Biernat w samych bokserkach usiadł obok, skrzyżował bosa stopy i pocałował ją w szyję.

– Aleks, to nie do uwierzenia. – Kier spojrzała na partnera. Była wyraźnie podekscytowana. Zaczęła potrząsać teczką, jakby trzymała w ręce tajemniczy brakujący element.

– No... – Wciąż zaspany Biernat podrapał się po brodzie, zerkając w stronę ekspresu.

– To jest artykuł o tym, że jeden z ważniejszych komendantów po pierwsze, nie zdał matury, a dostał się na studia, a po drugie, był fatalnym studentem, ktoś mu pisał prace zaliczeniowe, podobnie jak pracę dyplomową. Przecież to jest natychmiastowa degradacja i usunięcie z firmy... – Annie drżał głos. Z niedowierzaniem kręciła głową, marszcząc brwi.

– Kotek, w policji też zdarzają się takie rzeczy, nie panikuj. Gorzej było, gdyby to był na przykład lekarz. – Aleks uśmiechnął się pobłaźliwie.

Ewidentnie nie miał ochoty na zajmowanie się jakimś przekrętem sprzed lat.

– Ale wiesz, co jest najciekawsze? – Kier uniosła się, siadając na piętach. – Że ten artykuł nie poszedł do druku, wycofali go, zobacz. – Potrzaśała papierami. – A dziennikarz prawdopodobnie dostał wilczy bilet – kontynuowała podniesionym tonem. – Choć z jego dokumentów wynika, że... – zajrzała do środka, wertując kartki – że jest na urlopie bezpłatnym. Moim zdaniem to wszystko jest oczywiste. Już nigdy niczego tam nie napisze.

– No cóż. – Aleks przeciągle ziewnął, rozkładając bezradnie ręce. – Jeśli znalazłaś to w szafie ojca, to nie powinnaś aż tak się dziwić. – Wstał i podreptał do kuchni, zostawiając ślady stóp na panelach podłogowych.

– Zastanawia mnie tylko jedno... – Anna zerwała się na równe nogi i dołączyła do Aleksa, który nacisnął w ekspresie ikonkę największego kubka. – Co mu groziło za opublikowanie tego? Bo zauważ – podeszła do lodówki i wyjęła karton z resztką mleka – że to się nigdzie nie pojawiło, ani w prasie, ani w Internecie! A to jest wiadomość, którą telewizje chętnie by podłapały. Świetny materiał na duży reportaż! A zamieciono to pod dywan.

– No cóż, może się bał, a teraz, skoro Król nie żyje... Sorry – zmytygował się własną bezpośredniością. – To temat wróci.

– Dokładnie! Był zastraszany, dlatego teraz z taką... pasją, a nawet wściekłością zaangażował się w te podcasty z Dębską. – Kier podniosła palec wskazujący, jakby to miało uprawdopodobnić jej przypuszczenia. – Wiesz co, po śniadaniu zadzwonię do niego, na szczęście ojczulek ładnie zebrał wszystkie dane. – Wyraźnie ucieszona, rzuciła teczkę na stół kuchenny i delikatnie wyjęła z rąk Aleksa kubek z kawą. Ten tylko pokręcił głową i spojrzał w sufit.

– Dziś Wigilia – zaczął cicho. – To chyba nie jest najlepszy moment na śledztwo, daj spokój. – Zabrał jej telefon i położył na stole. Następnie ją objął. – Zaraz będziesz miała gości.

– Będziemy mieli, Aleks. – Spojrzała na niego z lekkim wyrzutem i łapczywie upiła duży łyk kawy, znacząc górną wargę. – Ale masz rację, zajmę się tym po świętach! No i koniecznie muszę wyjaśnić ten czerwony wykrzyknik. Przejrzałam kilkanaście teczek, ale po raz pierwszy widzę coś takiego. – Zmrużyła oczy i ponownie zanurzyła usta w delikatnej kawowej piance. – Aha... – Zawiesiła głos, wpatrując się w plecy stojącego przy ekspresie Aleksa. – Może ostatni raz spróbuję zaprosić Wandę i Piacha na wigilię, co myślisz?

– To nie ma znaczenia. – Zaśmiał się, a jego umięśnione plecy drgnęły. – I tak zrobisz, co zechcesz – mówił, patrząc w okno i obserwując budzące

się do życia i otrzepujące z nocnego śniegu osiedle na warszawskim Grochowie.

- Dobrze, to zadzwonię ostatni raz. Czuję się, co prawda, jak jakieś namolne babsko, ale chciałabym, żeby tu byli z nami. Tak, naprawdę bardzo bym tego chciała.

- Pytanie, czy oni tego chcą. I dla kogo to robisz? Dla nich czy dla siebie? - Aleks wbił w partnerkę uważne spojrzenie. Uciekła wzrokiem, bo zdecydowanie miał rację. Ludzie często uszczęśliwiają innych na siłę, by się dowartościować, by pokazać sobie i światu, jacy są wspaniali.

- To napiszę do nich. - Kier usiadła przy stole i odblokowała smartfon.
- Jednego SMS-a, przyrzekam.

ROZDZIAŁ 9

[24 grudnia 2019]



Na głośne dźwięki jednocześnie otrzymanych SMS-ów spojrzeli po sobie zaskoczeni. Piach automatycznie wcisnął pedał hamulca, ale Lechicka pokazała mu dłonią, że to ona odczyta wiadomość.

- To Anka - odpowiedziała na pytające spojrzenie współnika. - Zaprasza na wigilię... - dodała, a powieka jej nagle zadrgała, jakby złapał ją nerwowy tik.

- To bardzo miłe z jej strony, naprawdę! Po prostu miłe... - dorzucił Piach smutnym tonem i pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Wiesz co... - Hakerka poczuła nagły ból, jakby ktoś uderzył ją w mostek. Odkasznęła dyskretnie i po chwili kontynuowała chrypiącym głosem: - Jak chcesz, to wysadź mnie pod szpitalem i wracaj. Jeszcze zdążysz na kolację wigilijną w bloku na Kobielskiej - dodała cicho, chowając głowę w ramionach. Nie miała prawa oczekiwać od przyjaciela takiego poświęcenia, podczas gdy ona sama niczego nie planowała na najbliższe dni.

- Nie mam ochoty na rodzinne świętowanie - odpowiedział hardo Piasecki i wcisnął pedał gazu. - To jest ich czas. - Bezwiednie poruszył ramionami. - A poza tym nie zostawię cię - dodał już niemal szeptem, ale z czułością, która go zawstydziła. - Za kwadrans będziemy w szpitalu. Masz jakiś plan działania? - Spojrzał na współniczkę i uniósł brwi.

- Chciałabym, żeby moja matka to przeżyła - odpowiedziała, łykając palące ją poczucie wstydu. Przecież zaledwie wczoraj pragnęła, by jej rodzina zniknęła.

Jechali dalej w milczeniu. Przed szybą zaczęły wirować ciężkie płatki śniegu, a ciemny asfalt dość szybko pokrywał się białym puchem. Wanda wodziła wzrokiem dookoła, szukając odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Co tam się stało na tej drodze? Gdzie jest ojciec? Dlaczego zostawił matkę

na pastwę losu? Nieudzielenie pomocy w takim przypadku to jak skazanie na powolną śmierć. Przed oczami migwały jej mijane pospiesznie zabudowania. Wanda poczuła nagły ucisk w klatce piersiowej, jakby wokół niej zaciskała się jakaś obręcz, a rosnąca w gardle klucha uniemożliwiała swobodne oddychanie. Co tam się stało, do jasnej cholery? Nieprzyjemne myśli atakowały jej mózg z okrutną siłą i precyzją.

– Jesteśmy na miejscu – zameldował po krótkiej chwili Piasecki i wyłączył silnik. – Iść z tobą? – dopytał, ale Wanda nie odpowiedziała. Wysiadła z zaciśniętymi ustami, które ułożyły się w wąską linię. – Dobrze, rozumiem – odpowiedział do zatraskiwanych drzwi od strony pasażera. Wziął do ręki telefon i przeczytał SMS-a od Kier. Jego też zaprosiła na wigilię. Uśmiechnął się i odruchowo wcisnął „odpowiedz”. Ale nie, podrapał się po brodzie, nie napisze Ance, co się dzieje, bo zepsuje jej święta. Znając tę babkę, rzuci wszystko i przyjedzie, by pomóc Wandzie. Na szczęście on wziął sprawy w swoje ręce. Zaopiekuje się młodą, wiadomo! Pokiwał głową, dodając sobie otuchy. Odetchnął głęboko, głośno wypuszczając powietrze, i po krótkiej chwili zawahania odpowiedział tylko, że jest mu miło, ale ma inne plany na święta. Kier kilka sekund później wysłała ikonkę choinki.

Szpitalny korytarz ciągnął się niemal w nieskończoność. Wanda biegła, omijając pootwierane gdzieniegdzie drzwi. Zgodnie z napisami na tabliczkach, OIOM znajdował się na końcu. Miała wrażenie, że ta droga nigdy się nie skończy, że ten labirynt doprowadzi ją do jakiegoś strasznego opuszczonego miejsca, skąd nie ma odwrotu, ale wreszcie znalazła się przed przeszkloną dużą salą. W pokoju obok, przy niskim biurku, w blasku migocącej choinki siedział wysoki, szczupły mężczyzna w białym, jakby za wąskim kitlu, ciasno opinającym go w ramionach. Lekarz miał sine wory pod oczami. Na jej widok uśmiechnął się blado, nie wykazując ani krztyny energii.

– Nazywam się Wanda Lechicka, dowiedziałam się, że leży tu moja matka, Danuta. – Hakerka, stanąwszy w drzwiach do gabinetu, przestępowała z nogi na nogę, zerkając na zmęczonego medyka, który wstając powoli, delikatnie uderzał się w policzki.

– A tak, córka? – Podeszedł bliżej i zmierzył ją od stóp do głów.

– Mogę zobaczyć mamę? – odpowiedziała pytaniem na pytanie i spojrzała na przeciwległą salę, z której dobiegały dźwięki aparatury medycznej.

– Nie można tam wchodzić – odparł słabym głosem lekarz. – Ale proszę zajrzeć przez szybę, mama leży na pierwszym łóżku. – Szerzej rozstawił nogi, jakby próbował utrzymać równowagę. – Szybko, bo zaraz obchód –

dorzucił nerwowo i wrócił na swoje miejsce. Ciężko opadł na niski fotel i schował twarz w dłoniach. Słyszał oddalające się ciężkie odgłosy jej traperów.

Po chwili, tak jak przypuszczała, usiadła przed nim córka pacjentki. Pacjentki nierokującej. I to on musiał jej to powiedzieć. Cholera jasna. Jakby przyszła za godzinę, zajęłby się nią ktoś inny.

– Niestety, obrażenia ciała są bardzo rozległe... – zaczął wreszcie, pochrząkując. – Niedawno skończyła się operacja. Zdiagnozowano uraz mięszu płuc, obrażenia klatki piersiowej i jamy brzusznej, złamanie kręgosłupa w odcinku szyjnym...

– Dobrze, przestań już – syknęła Wanda, z trudem hamując narastający wybuch. – Wiem, jak wyglądają ofiary wypadków samochodowych, naprawdę – dodała, pociągając nosem. – Jakie są rokowania?

– Obawiamy się krwotoku wewnętrznego, ale nasi...

– Szczerze. – Zbliżyła się, by przeczytać nazwisko na plakietce krzywo przyklepionej do fartucha. – Doktorze Szwarz, ja naprawdę nie spanikuję.

– No dobrze. – Lekarz odsunął się, założył nogę na nogę i objął dłońmi kolano. Lampki choinkowe migwały jak oszalałe, można było odnieść wrażenie, że zwiastują coś strasznego. Szwarz znowu odchrząknął. – Stan pani mamy jest krytyczny. Kluczowe są najbliższe dni, wtedy uzyskamy jakąś miarodajną odpowiedź.

– A możemy się umówić, że jeśli zdarzy się cokolwiek... dobrego lub złego, to zadzwonicie do mnie? Bardzo proszę. – Wanda spojrzała na lekarza ze spokojem i opanowaniem. Wyrwała z bloczku żółtą karteczkę i zapisała swój numer.

– Dobrze – zgodził się lekarz i spojrzał na krzywo zapisane cyferki. – Najbliższe godziny powiedzą nam, co dalej, ale szanse na przeżycie są niewielkie. Naprawdę robimy, co w naszej mocy. Nie wolno jednak tracić nadziei, wie pani o tym, prawda? – Lekarz podniósł głos, widząc, jak Wanda wstaje i szybkim krokiem wychodzi z pokoju lekarskiego.

Zastanowiło go to obcesowe zachowanie. Pomasaował skronie i wdychając, zerknął na zegarek. Jeszcze chwila i koniec dyżuru. Spojrzał z obrzydzeniem na kubek z kawą, potrząsnął nim, upił łyk i odstawił z powrotem. Nie cierpiał zimnej kawy.

– Jeszcze jedno! – Córka Lechickiej wtargnęła z impetem do pokoju jak do jakiegoś bunkra.

Doktor Szwarz potrącił gwałtownie kubek, przewracając go. Na blat wyciekła resztką napoju.

– Coś się stało? – Lekarz wyprostował plecy i podniósł naczynie.

– Gdzie są rzeczy mojej matki? Ubrania, torba, walizki, telefon komórkowy.

– Pewnie w depozycie – odpowiedział Szwarz i stłumił westchnienie. Ta kobieta ewidentnie była szalona.

– Proszę o wydanie tych rzeczy! – Lechicka wyduła usta i wyciągnęła dłoń, jakby lekarz miał za chwilę podać jej wskazane przedmioty.

– Droga pani, depozyty są na parterze, tuż przy SOR-ze, to po pierwsze. Po drugie – ostentacyjnie spojrzął na zegarek – punkt będzie otwarty za godzinę. Proszę się uspokoić, to nie jest prywatny szpital!

Ireneusz Piasecki siedział w samochodzie i notował coś ze słuchawką przy uchu i papierosem w ustach. Lechicka tak energicznie otworzyła drzwi od strony pasażera, że aż podskoczył.

– Jezu, wystraszyłaś mnie – powiedział, wyrzucając przez okno niedopałek. Pomachał przed sobą, rozwiewając siwy dym. Obawiał się, że współniczka zaraz się wścieknie, nie lubiła tego smrodu, ale nie zareagowała. Siedziała w fotelu i nieobecny wzrokiem patrzyła przed siebie. – Co z mamą? – spytał Piach, po czym wsunął do ust miętówkę. – Halo, Wanda! – Szarpnął ją w końcu za ramię.

Spojrzała na niego tak lodowatym wzrokiem, że przeszył go dreszcz. Jej oczy były niemal przezroczyste. Nerwowo rozgryzł miętówkę i zastygł.

– Za nieumyślne spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym sprawcy grozi kara pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do ośmiu lat, zgadza się?

Piach szybko przytaknął i głośno przełknął ślinę.

– A jeśli ktoś zabił mi matkę i porwał ojca... – Wanda mówiła jak robot, a jej beznamiętny, zimny ton sprawił, że wystraszony detektyw delikatnie rozejrzał się dookoła. – Musimy go znaleźć, stary. Mam przerzucie, że mojemu ojcu mogło stać się coś złego – dodała szeptem, jakby w obawie, że zdanie wypowiedziane na głos ziści się niczym samospełniająca się przepowiednia.

– Tak mi przykro, Wanda, ale zobaczyłaś mamę? – upewnił się Piach, niewiele rozumiejąc. Kompletnie nie wiedział, jak powinien się zachować w takiej sytuacji. Cholera, szkoda, że nie ma tu Anki, pomyślał ze złością, żałując, że jednak nie dał współniczce znać, co się stało.

– Lekarze nie dają jej żadnych szans, ale może zdarzy się cud. No i mam nadzieję, że jeszcze uratuję ojca. – Niemal podskoczyła i sięgnęła po laptop, po czym natychmiast otworzyła klapkę. – Stary, ja nie umiem płakać ani się roztkliwiać. Nie, nie jest mi jakoś bardzo ciężko, to smutna sprawa, ale tak szczerze, to ja właściwie nie miałam żadnej więzi z matką. Jasne, nie chciałabym, żeby umarła, tak na zawsze... – Lechicka nagle zaczęła mówić szybko, jakby po dotknięciu komputera w jej krwiobieg pojawiły się stymulujące komórki. – Tak, ja wiem, że to jest przykre,

i koiarzę, co się dzieje, ale muszę działać, rozumiesz? Brak informacji i możliwości reagowania paraliżuje mnie. Muszę znaleźć ojca i pomścić matkę. Choć wiesz... – uśmiechnęła się nieznacznie – może ona jednak z tego wyjdzie. Naprawdę nie chciałabym, żeby umarła – powtórzyła i przyknęła oczy, jakby próbowała coś w sobie stłamsić.

– No raczej. – Piasecki patrzył na współniczkę z niedowierzaniem. Wiedział, że jest inna, specyficzna, zamknięta w sobie, ale spodziewał się rozpacz, a nie żądzy krwi. Ostatnie zdanie trochę go jednak uspokoiło.

– Będziemy musieli tu wrócić. Chcę przejrzeć rzeczy matki, są teraz w depozycie – dodała szybko w stronę wyraźnie zdziwionego współnika.

– Okej. – Piach pokiwał głową, próbując nadażyć za partnerką, która po chwili zanurzyła się w cyfrowym świecie.

– No i co, mamy tu kogoś? – spytała, nie podnosząc wzroku sprzed monitora. – Na stacji z kimś rozmawiałeś, prawda? Z kimś od nas – dodała, niecierpliwiając się.

– Tak – przytaknął Piach i sięgnął po kartkę, którą przed chwilą położył na desce rozdzielczej. – To mój dawny kolega z...

– Dzwon do niego! – rzuciła. – Chcę jechać na miejsce zdarzenia, muszę pogadać z jakimś gliniarzem prowadzącym tę sprawę. Działajmy dwutorowo. Ja zaraz coś ustalę z tym Gryfem, który dzwonił kilka godzin temu, a ty ze swoim kontaktem. Dawaj, nie mamy czasu! – Machnęła na zaskoczonego Piaseckiego i wysiadła z samochodu.

Obserwował, jak Wanda chodzi wzdłuż pojazdu ze słuchawką przy uchu, od czasu do czasu kopiąc nogą zbierający się śnieg.

ROZDZIAŁ 10

[24 grudnia 2019]



Dzień dobry, z tej strony...

– Tak, wiem, kim jesteś! – Mężczyzna przerwał jej dość obcesowo. – Długo musiałem czekać na twój telefon, ale...

Annę Marię Kier zaskoczyła bezpośredniość rozmówcy. Odruchowo odsunęła aparat od ucha i zerknęła na wyświetlacz, ale wszystko się zgadzało.

– Lepiej późno niż wcale – odbiła piłeczkę, odzyskując rezon.

– No, tak mówią. – Mężczyzna zarechotał, ponownie wprawiając Kier w osłupienie. Nie tego spodziewała się po dziennikarzu śledczym Tymonie Zawadzki.

– Razem z Magdaleną Dębską nachodzicie posesję mojego ojca na Saskiej Kępie. – Kier ruszyła do ataku. Jej ton był władczy i stanowczy. Doskonale wiedziała, że w takich sytuacjach ratunkiem jest sięgnięcie po takie same środki wyrazu. Jeśli jej rozmówca jest bezpośredni i chamski, to nie mogła rozmawiać z nim na innym poziomie. Wet za wet. – Czego chcecie? – warknęła ostro.

– O proszę, nieodrodna córeczka tatusia – parsknął Zawadzki. Na szczęście nie widział, że tym określeniem zbił Kier z pantafelów. No, tego się nie spodziewała. – Od razu konkrety, tak, tak... – Dziennikarz zawiesił głos, tym samym dając detektywce szansę na zebranie sił. Porównanie jej do ojca było ciosem poniżej pasa. Niemal nokautującym, ale Anna natychmiast zrozumiała, że właśnie taki cel postawił sobie Zawadzki. Wytrącić ją z równowagi i pozbawić pewności siebie.

– Ja nie mam czasu na takie zabawy, pytam, czego chcecie. Uporczywe nękanie pracujących tam ludzi nie jest chyba zgodne z etyką dziennikarską, co?

– Chcemy dostać kilka teczek z szafy Króla.

- Nie wiem, o czym mówisz! - zachnęła się Kier.

- Oj, dobrze wiesz, i ty, i twój syn. Tristan mu na imię, tak? Mam kilka filmików, często odwiedzał dziadka. Kochany wnuczek.

Strzał numer dwa. Pod Anną znowu ugięły się nogi, a szczęki mimowolnie zaczęły się zaciskać, aż zabolą ją w stawach.

- To jak? - kontynuował wyraźnie rozbawiony Zawadzki. - Kiedy umawiamy się na wizytę w królestwie? Potrzebuję teczek kilku konkretnych osób. Szybka piłka i po sprawie.

- Dopóki trwa śledztwo w sprawie śmierci mojego ojca, nikogo tam nie wypuszczę, to po pierwsze. Po drugie, nie wiem, o czym mówisz, bo w szafie to ojciec trzymał koszule, a po trzecie... - Anna Maria Kier nabrała powietrza do płuc. W tym samym momencie usłyszała niepokojący trzask w komórce i natychmiast zmieniła koncepcję pożegnania. - A po trzecie, to życzę panu wesołych świąt - dodała spokojnie, z trudem hamując się przed wybuchem. Nie powinno nagrać się cokolwiek, co może jej zaszkodzić.

- Wiesz co, zatem dalej spokojnie czekam na twój telefon. Jestem pewien, że wkrótce się odezwiesz. Nie będziesz miała wyjścia.

Anna Maria rozłączyła się i odłożyła aparat na stół. Niczego nieświadomy Biernat chodził wokół choinki, próbując założyć lampki. Kręcił przy tym głową z niezadowoleniem. Ona tymczasem stała bez ruchu, wpatrując się w przestrzeń.

- Co jest? - Aleks dostrzegł wreszcie, że coś jest nie tak. Przystanął, trzymając w dłoni zwinięty sznur światełek.

- Myślę, że ten dziennikarz jest niebezpieczny - powiedziała wreszcie, przelatykając zdenerwowanie. Ciężko opadła na fotel, mrużąc oczy. - On o czymś wie. O czymś, co albo mnie czeka, albo już się stało, tylko jeszcze ja o tym nie wiem - dodała, składając dłonie.

- Posłuchaj - Biernat odłożył lampki, uklęknął przed nią i złapał ją za ręce - ty już nie masz się czego bać.

- On wie o teczkach.

- No jasne, przecież ma tam swoją. - Aleks podrapał się po czole. - Powiem więcej, on pewnie był w domu twojego ojca i widział co nieco. Prawda jest taka, że Tymon Zawadzki nie będzie jedyny. Po pogrzebie zrobicie z tym porządek, i tyle. - Odchrząknął. - Chodź, nie martw się, ubierzmy wreszcie to drzewko.

- Powiedział, że wkrótce się do niego odezwę. - Anna puściła mimo uszu zaproszenie Biernata. - Skąd ma taką pewność? - myślała na głos, analizując fakty. - A może on coś wie o tym cholernym polowaniu? - Wbiła spojrzenie w kochanka, który nie zwracał na nią większej uwagi, ponownie zajęty lampkami. - Aleks, ja czuję, że coś jest nie tak, a intuicja nigdy mnie nie zawiodła.

– Jesteś przewrażliwiona. – Biernat w końcu zareagował. Związał długie ciemne włosy w ogon gumką z nadgarstka.

– Ech, potrzebna mi Wanda. – Kier westchnęła i wstała z ociąganiem. – Daj, potrzynam z drugiej strony. – Wciąż zamyślona, postanowiła pomóc Aleksowi. Zajmie się tym wszystkim po świętach. – Ale wiesz... – kontynuowała bardziej do siebie niż do niego. – Ja nie pozwolę na to, byśmy znowu się bali. Nie można zastraszyć kogoś, kto się nie boi. On nam nic nie robi, a mojemu ojcu już nie da się bardziej zaszkodzić. – Pokiwała głową, jakby próbowała utwierdzić się w swoim przekonaniu.

Aleks w końcu podłączył światelka do gniazdko. Natychmiast zaczęły psychodelicznie migać.

Dojazd ze szpitala na miejsce zdarzenia tuż za przejazdem kolejowym, do którego dotarli na podstawie koordynatów od Gryfa, zajął im niespełna pół godziny. Na ulicy panował duży ruch, gołym okiem widoczne były nerwowość kierowców i przedświąteczny pośpiech. Trąbili, pospieszali, przekraczali prędkość mimo ślizgawicy.

Na szczęście rozładował się już gigantyczny korek spowodowany wypadkiem i policyjnymi procedurami. Wandzie i Piachowi po pracy grupy dochodzeniowo-śledczej trudno było odtworzyć przebieg zdarzenia. Rozjeżdżone ślady przykryte świeżym śniegiem plus brak dokładnych informacji wyraźnie ich zdemotywowały. Piasecki filmował otoczenie, na bieżąco komentował, co widzi, i głośno analizował zastane fakty.

Wanda przykucnęła w rowie, w miejscu otoczonym zostawionymi przez policję, powiewającymi na wietrze biało-niebieskimi taśmami. Przywodziła na myśl drapieżnego kota, gotowego w każdej chwili do skoku. Delikatnie dotykając ziemi, uważnie przyglądała się śladom. Wynikało z nich, że samochód rodziców musiał delikatnie się obrócić, zanim uderzył zderzakiem we wzniesienie. Widoczne pożółkłe resztki trawy wyraźnie układały się w linię.

– Zobacz, Piachu! – krzyknęła do współnika, który przerwał nagrywanie i zrobił sobie przerwę na papierosa. Wiedział, że ona nie cierpi dymu, dlatego trzymał się na dystans. – Piachu! – zawołała ponownie, świadoma, że jej głos słabo słyhać w ulicznym ruchu, ale nim zareagował, dojrzała coś interesującego po drugiej stronie ulicy, tuż za wyblakłym banerem reklamującym styropian. Zmrużyła oczy, by złapać ostrość widzenia. Zerwała się na równe nogi i nie bacząc na trąbiące samochody, wtargnęła na jezdnię.

Detektyw rzucił niedopałek i pognął za współniczką.

Wanda prawie biegła szutrową drogą i Piach z trudem za nią nadążał. Zdjął czapkę, aż poczerwieniał na twarzy z wysiłku, do tego pokasływał. Dogonił ją tuż przed pierwszą posesją, na której stał duży biały dom i budynek gospodarczy. Nie mógł złapać tchu, szeroko rozstawił nogi, schylił się i splunął. Lechicka nie zwracała na niego uwagi.

– Czy to nie dziwne, że wypadek zdarzył się akurat tutaj? – Lustrowała otoczenie, kadrując każdy fragment krajobrazu. Miała fotograficzną pamięć, z łatwością zapamiętywała oglądane miejsca. – Zobacz – mówiła do zziąjanego Piacha – tu na wprost są pola, ale tu – wskazała ręką na zabudowania – takie gospodarstwa. Myślisz, że policja przeszukała te domy? Jezu, co ci jest? – zaciekawiała się w końcu, jakby wróciła na ziemię.

– Nic, nic, kondycja nie ta... – wycharczał Piasecki i założył czapkę. – Nie, nie sędzę, żeby rozpytywali – odparł, podczas gdy Wanda straciła już zainteresowanie jego stanem zdrowia. – Zmierzyli, sfotografowali i tyle. – Machnął ręką, wskazując przestrzeń przed sobą. – Na pewno nikt się tu nie pofatygował, bo i po co? Nie mieli żadnych podstaw, nic nie wskazywało na obecność ojczulka. – Detektyw splunął. – Ale warto zanotować twoje wnioski. Poza tym wiesz – Piasecki obniżył głos, siląc się na mentorski ton – gdyby były ewidentne ślady, to może by przeszukali, ale nie ma na to ani ludzi, ani pieniędzy. Zły trop, Wanda. No oczywiście, zaczną poszukiwania, jak zgłosisz zaginięcie, ale musisz sprawdzić, czy...

– Mamy dwie hipotezy – przerwała mu Lechicka i podniosła dłoń, jakby zgłaszała się do odpowiedzi. – Po pierwsze, mój ojciec spanikował i uciekł, gdy zobaczył zakrwawioną i nieprzytomną matkę na przedniej szybie. Zatem, siłą rzeczy, uciekł gdzieś do ludzi. Jest zimno – a rano było jeszcze chłodniej – on jest w szoku. Idzie przed siebie, w końcu jednak dociera do niego, co się stało, i szuka ratunku? Tak?

– Posłuchaj. – Piasecki zaczął przytupywać, a z jego ust unosiła się para. – Jeśli dociera do niego, co się stało, to dzwoni po pomoc, zgłasza się do służb itp., a nie ucieka dalej. Nie podoba mi się ta hipoteza.

– No okej. A może on jest na przykład nieprzytomny? – Rozejrzała się dookoła i podskoczyła w miejscu, jakby miała ruszyć przed siebie. – Może gdzieś tu upadł, może jest ranny? Może uderzył się w głowę i poszedł przed siebie?

– Może tak być. Od wypadku minęło kilka godzin, zatem aktualnie już zamarzł. Ale to odpada, byłyby ślady, nasi z pewnością podjęliby trop.

– Ślady w padającym śniegu? Teraz są, a za kwadrans ich nie ma.

– Byłaby jeszcze krew – wtrącił skupiony Piasecki. – To by zauważyli.

– Pod warunkiem, że krwawił.

– Sprawdzimy to w raporcie. – Zrobił chwilę przerwy, po czym kontynuował: – A dlaczego, skoro twój ojciec ma telefon przy sobie, z niego nie korzysta? – Piach zawiesił pytanie, wyraźnie zadowolony

ze swojej bystrości. – Jakby szukał pomocy, toby zadzwonił do samego diabła! Pod sto dwanaście, do ciebie, kolegi, kogokolwiek.

– A może go zgubił, może nawet gdzieś tutaj? – Ponownie zaczęła się rozglądać. – Nie, no to jakaś jebana ciuciubabka! – krzyknęła nagle Wanda i ruszyła w stronę pierwszego domostwa. Był to ceglany dom z plastikowym placem zabaw na podwórku. Nim Piach ją zatrzymał, już naciskała zdezelowany dzwonek przy furtce. Po krótkim brzęczeniu na podwórzu pojawił się mężczyzna dopinający grubą, ciepłą kurtkę.

– Co tam? – krzyczał, zbliżając się do bramy.

– Dzień dobry! Tu nieopodal był dziś rano wypadek – zaczęła nerwowo Wanda, wskazując okolice.

– A był, prawda... – Mężczyzna podrapał się po bujnej, zaniedbanej brodzie. – Coś kobita mówiła, ale ja po robocie jestem, to tak słabo słuchałem. – Gospodarz zaśmiał się rubasznie, pokazując żółte od nikotyny zęby.

– A nie widzieliście tu mężczyzny? Nie kręcił się tu ktoś obcy? Albo może ranny?

– A nie tam. Cisza, spokój, jak to u nas. – Facet wzruszył ramionami i zaczął przytupywać. – No co tam, bo zimno... – Klasnął w dłonie, rozejrzał się, wyraźnie tracąc zainteresowanie.

– Tym samochodem prawdopodobnie jechał mój ojciec i nie ma go. Pomyślałam, że może jest w szoku i jakoś tu trafił. Może szukał pomocy. Może gdzieś tu jest. – Wanda zaczęła się rozglądać.

– E tam, u nas nikogo nie ma! – Mężczyzna splunął. – Może iść do sąsiadów, ale to samo powiedzą. Wracam do chałupy, wesołych świąt! – dodał na odchodne i odwrócił się na pięcie.

Wanda nie mogła dać za wygraną. Miała wrażenie, że coś jej umyka albo dzieje się obok, jakby w alternatywnej rzeczywistości. Odwiedziła jeszcze dwa pobliskie domy. W każdym z nich spotkała się z taką samą sytuacją. Nikt niczego nie widział ani nie słyszał, a w okolicy nie pojawił się rano żaden obcy mężczyzna.

– Jedziemy do Gryfa, chcę zobaczyć całą dokumentację z miejsca zdarzenia! – Wanda w końcu odpuściła i skierowała się w stronę pozostawionego samochodu. Aha. – Odwróciła się nagle. – Mogą mi nie dać, wiesz, ja byłam cywilna. Masz tu w końcu kogoś?

– Tak. Ale Wanda, są święta. – Piasecki podbiegł za nią.

– Aha, a śmierć ma wolne w tym czasie?

– Nie o to chodzi, ale...

– Nie marudź, Piachu. Chodź, jeszcze dokładnie obejrzymy to miejsce. Może policja coś przeoczyła, za kilka godzin śladu już nie będzie po wypadku białej kii sorento.

- A druga hipoteza? - Detektyw wyrównał krok, próbując uspokoić ciężki oddech. Na szczęście Lechicka zamyśliła się i zwolniła. - Nie dokończyłaś - kontynuował, przystając.

- No właśnie. A może ktoś ich potrafił?

- To się zdarza. Potem uciekł z miejsca wypadku, bo był na bani albo pod wpływem narkotyków. To teraz nagminne.

- Nie, ktoś ich potrafił celowo, a ponieważ ojciec za słabo oberwał, zabrali go na dobiecie.

- Jezus Maria, przestań wymyślać! - Ireneusz Piasecki splunął pod nogi.

- Chociaż, muszę przyznać, byłoby to idealne miejsce. Zero kamer, a jak dobrze pójdzie, to i zero świadków. Nad ranem pewnie ruch tu niewielki, nie ma ani jednej latarni.

- Widzisz, no właśnie! Ich zachowanie w ciągu ostatnich dni było inne niż dotychczas. Dzwonili do mnie, chcieli się spotkać, razem spędzić święta. Pierwszy raz od wielu lat. A może naprawdę coś im groziło?

- A może zrozumieli, że stracili córkę, i chcieli ją odzyskać? Ludzie na starość robią się cikliwi.

- Musimy obejrzeć samochód. Dowiesz się, gdzie go odholowali? - Lechicka przerwała te nic niewnoszące analizy i przyspieszyła. - Najpierw jeszcze raz wszystko dokładnie oglądamy przy tej ulicy, następnie Gryf, a potem parking i szpitalny depozyt. Chodź, mój druhu! - Klepnęła współnika w ramię i się uśmiechnęła. Najważniejsze, że mogła działać. Bezczynne obserwowanie rozwoju wypadków zawsze wywoływało u niej frustrację, dlatego nauczyła się, że trzeba brać sprawy w swoje ręce.

- Wanda... - zagaił znowu Piasecki. - A ty nie masz jakiejś dalekiej rodziny? Skąd pochodzi twój ojciec? Nie możesz zadzwonić do... no, na przykład do ciotki? Każdy ma jakieś korzenie, nie?

- Wiem, że zabrzmiał to idiotycznie, ale znam tylko nazwę miejscowości. Ojciec nigdy nie wspominał o swoim dzieciństwie, jest sierotą, to pewnie dlatego. Wiesz, trauma i tak dalej. Nigdy nie dopytywałam, szanowałam tę jego potrzebę wyrugowania wspomnień.

- Ale nie grzebałaś w dokumentach, nie trzepałaś szuflad? Wszystkie dzieci to robią.

- Nie miałam po co. - Rozłożyła ręce, a jej usta wygięły się w grymasie wymuszonego uśmiechu. - Wtedy wystarczyło mi tyle, ile widziałam, nie potrzebowałam dodatkowych informacji.

- Kurde, ty od dziecka byłaś jakaś inna, no serio. - Piasecki ostrożnie się uśmiechnął, a napotkawszy rozbawiony wzrok rozmówczyni, swobodnie się roześmiał.

- Mój dom rodzinny jest kilka kilometrów stąd. Zjedziemy tam na wieczór, przeczeszę te wszystkie szuflady, poszukam dokumentów, jakichś aktów małżeństwa, urodzenia i tym podobne. Rozpracuję telefon mamy.

Podrzućesz mnie? – Lechicka zmarszczyła brwi i podrapała się po brodzie. Ewidentnie już myślała o czymś innym. Czasem trudno było za nią nadażyć.

– Jasne. I zostanę z tobą tyle, ile będziesz potrzebowała – odparł. Wiedział, że Wanda go o to nie poprosi, bo już była w swoim świecie, ale poznali się na tyle, że mówienie jej wprost tego, z czym zwykle by się krygował, przychodziło mu z zaskakującą łatwością.

– Dzięki, stary. Zamówimy jakąś pizzę i popracujemy, okej?

– Nie. Zrobimy zakupy i coś przygotuję. Może nie domowo-wigilijnego, ale przyda ci się inne żarcie niż pizza. Jedziemy!

Piasecki poczuł, że się czerwieni. Wyobraził sobie ten wieczór i wzruszył się na myśl o tym, że rola ojca, w jaką wejdzie na najbliższe dni, jest potrzebna także i jemu. Miał dość samotności i udawania, że nie tęskni za Zuzią, która dziś, gdyby żyła, miałyby prawie tyle samo lat co Wanda. Zuzia. Jego Zu. Ukochana córka. Rozrzewnił się na jej wspomnienie. Podgrzeję barszcz z kartonu, kupimy pierogi... A może jeszcze gdzieś znajdę kawałek zielonego świerku? Wiedział, że Lechicka nie zwróci na to większej uwagi, ale byłoby choć trochę świątecznie. Oby tylko nie chciała pracować non stop!, skrzywił się i westchnął ciężko. Wobec jej braków w komunikowaniu uczuć i specyficznego sposobu bycia, rozwiązywanie jakichkolwiek spraw jest naprawdę trudne. Tak na serio, to przydałaby im się Anka. Kier rozdzieliłaby zadania, miałyby jakąś koncepcję, zrobiłaby burzę mózgow, sensownie spięłaby wszystko. Wanda to świetny fachowiec, ale... powinna raczej wykonywać polecenia, wtedy jest naprawdę efektywna. Ach, jak one się z tą Anką świetnie zgrały, pomyślał z rozrzewnieniem. Ja bym sobie dłubał swoją robotę, a tak? Bez szefowej, jak lubił określać Annę, czekał go chaos, irracjonalne działania i gubienie wątków, porzucanie niewyjaśnionych tropów i tak dalej. A może nie?, zastanowił się w myślach i wrócił do filmowania drogi hamowania samochodu, którą obrazowały pasy zrytej trawy pod cienką warstwą śniegu.

Młodszy posterunkowy Witold Gryf wyglądał jak Harry Potter. Drobny, w okrągłych okularach, z miną doświadczonego przez los i nieco wyrosniętego dziecka wpatrywał się w trzymane w dłoni duże czerwone jabłko. Policjant stał przy oknie i próbował przypomnieć sobie słowa kolędy, które docierały do niego z radia rodem z poprzedniej epoki. Kolęda była zniekształcona przez szumy, dlatego nie był pewien, czy dobrze kojarzy. Zerknął na leżące przed nim dokumenty, ale skrzywił się

i wzdrygnął, jakby raził go prąd, po czym wbił zęby w soczyste jabłko. Uwielbiał te owoce, zawsze jadał przynajmniej dwa dziennie. Około jedenastej, a potem jeszcze po kolacji. Sok ściekał mu po brodzie, ale nie przejmował się tym. Delektowanie się słodkim mięszem było jak rytuał.

– Ty jesteś Gryf? – Nagle w pokoju pojawiła się wysoka blondynka. Kobieta stanęła na wprost, szeroko rozstawiając nogi. Policjant zobaczył w niej wkraczającą do saloonu kowbojkę. Wyobraził sobie, że za chwilę chwyci oburącz za trzymane z tyłu pistolety.

– Halo! – Petentka pomachała mu ręką przed oczami, zmuszając go do zamrugania i powrotu do rzeczywistości. Odłożył jabłko do miseczki i wytarł dłonie w nawilżaną chusteczkę.

– Tak, słucham. – Usiadł za biurkiem, udając obojętność.

– Nazywam się Wanda Lechicka, to ze mną rozmawiałeś rano o wypadku na czternastce, a to mój wspólnik i przyjaciel – wskazała ręką na zdyszanego mężczyznę, który właśnie przekroczył próg pokoju – Ireneusz Piasecki, stary glina. Wyjadacz, jakich mało.

Piach uśmiechnął się nieśmiało do Gryfa, próbując ukryć zawstydzenie. Nie pamiętał, by ktoś ostatnio tak go przedstawiał.

– Okej, okej. – Policjant głośno przełknął ślinę i docisnął okulary do nosa. – Siadajcie, proszę. – Wskazał dwa drewniane krzesła i otworzył leżącą przed nim teczkę. – Akurat zajmowałem się sprawą pani matki.

– Witold, posłuchaj – Lechicka położyła dłoń na dokumentach, gniotąc kilka kartek – wiem, że zaraz są święta i chcesz iść do domu, ale ja szukam mojego ojca. Uważam, że grozi mu niebezpieczeństwo. Co zrobiliście, żeby go odnaleźć?

Gryf pociągnął nosem i rozejrzał się, ewidentnie szukając sprzymierzeńca w Piachu.

– Po pierwsze, nie mamy żadnych dowodów na to, że tym samochodem jechał pani ojciec. Mówiłem pani o tym. Nie znaleźliśmy żadnych dokumentów, telefonu, nic, co człowiek ma zawsze przy sobie. – Policjant mówił wolno, uspokajając oddech. – Po drugie, nie było żadnych śladów.

– W nocy padał śnieg, zasypał ślady, zanim przyjechaliście – wtrącił ze znanstwem Piasecki.

– Spokojnie, spokojnie. Technicy nie potwierdzają niczego na sto procent, no wiecie, jak to jest... – Gryf rozłożył bezradnie ręce.

– Na co wskazują uszkodzenia samochodu? – Wanda puściła mimo uszu ostatnie stwierdzenie. Miała dość tego usprawiedliwiającego „wiecie, jak to jest”.

– No... – Gryf podrapał się po brodzie i poruszył myszką. Rozświetlił się ekran stojącego przed nim laptopa. – Zaraz zobaczę. No właśnie, nie ma śladów uderzenia ani z tyłu, ani z boku. To wygląda tak, jakby samochód pani rodziców po prostu wpadł w poślizg.

- Gdzie stoi fura? – zadał pytanie Piach i wyjął komórkę.
Zaskoczony policjant podał mu dokładny adres.
- Czy policja w ogóle szuka mojego ojca? – wtrąciła po chwili Wanda.
- A ktoś zgłosił jego zaginięcie? Ponadto jakie ma pani dowody, że on tam naprawdę był? Może chłopina zaczął już świętować. – Policjant uniósł brwi, a jego głos przeszedł w falset.
- Moja matka walczy o życie, a ty tu sobie jabłuszko wpierdalasz? – Lechicka wybuchnęła, mimo że bardzo starała się powstrzymać. – Chciałabym w takim razie zgłosić zaginięcie! – powiedziała podniesionym głosem i uderzyła pięścią w stół, aż zadrżała miska z jabłkiem. – Notuj!
- Spokojnie, przyjdźcie po świętach, nie panikujmy.
- Ja tego po prostu nie wytrzymam! A sprawdzaliście monitoring w okolicy? Może gdzieś są nagrania z trasy? Może gdzieś tankowali? No ktoś musiał ich widzieć, do cholery!
- Ale... czterdzieści osi...
- Dobra, sama się tym zajmę. Piachu, spadamy stąd!

ROZDZIAŁ 11

[24 grudnia 2019]



Miała nadzieję, że klucz leży tam gdzie zawsze. Wspięta na palcach, przemierzała dłońmi szczelinę nad futryną. Gdy w końcu natknęła się palcami na zimny metal, poczuła wyraźną ulgę.

– Jest! – zawołała do Piacha objuczonego zakupami z pobliskiego dyskontu.

Detektyw się uśmiechnął, ściskając mocniej pod pachą kilka gałęzi świerka. Nawet nie zakładał, że mogłoby być inaczej.

Lechicka sprawnie sforsowała solidny zamek w drzwiach, weszła, tupiąc, do przedpokoju i włączyła światło w korytarzu. Osiem lat. Tyle czasu minęło od jej ostatniej wizyty, ale poza duchotą i grubą warstwą kurzu nie dostrzegła choćby jednej zmiany. Wszystko stało na swoim miejscu, tylko ukochana juka ojca w wypalanej czerwonej donicy była wyższa i szersza niż wtedy.

Wanda spojrzała na roślinę i rzuciwszy w kąć trzymany w ręce plecak, pobiegała do kuchni.

– Trzeba ją podlać, uschnie! – Kręciła głową z niezadowoleniem. Butelki do kwiatów stały jak zawsze na parapecie, za lodówką. Były pełne. Wzięła jedną z nich i energicznie podbiegła do kwiatka. Odruchowo dotknęła ziemi i odskoczyła jak poparzona.

– Co jest? – Piasecki zatrzymał się w pół kroku przed kuchennymi drzwiami.

– Mokra ma – zdziwiła się Wanda. – To chyba niemożliwe. Jak myślisz, ile czasu potrzebuje taki kwiat? No, żeby wypić!

– Nie wiem – odpowiedział ze znużeniem w głosie i postawił zakupy na kuchennym stole, szukając wzrokiem naczynia na wciąż trzymane pod pachą gałęzie świerka. – Odtwórz przebieg zdarzeń powoli i w skupieniu – wydał dyspozycję w stylu Kier. – Nie możesz działać chaotycznie!

To był strzał w dziesiątkę. Wanda usiadła na drewnianym taborecie i otworzyła usta, by wziąć oddech. Widać było, że jest wykończona. Błada, wychudzona, z podkrążonymi oczami i matowymi włosami, w niczym nie przypominała efektownej wesołej blondynki sprzed kilku miesięcy.

– Kiedy ktoś tu był ostatni raz? Kiedy dokładnie ojciec pojechał do matki? Skup się, Wanda, od czegoś musimy zacząć.

– Moim zdaniem na początku grudnia. Miał coś zrobić ze stolarki u jakiegoś klienta matki. Nie bardzo słuchałam, ale tak kojarzę. Wychodzi na to, że nie było tu nikogo od jakichś dwóch tygodni – odpowiedziała tonem, jakby miała w ustach coś niesmacznego. – Albo... – odchrząknęła – mój ojciec gdzieś tu jest. Tato! – krzyknęła i zaczęła biegać po domu, zostawiając mokre ślady na podłodze. Wreszcie weszła do kuchni, po której krzątał się Piasecki, powoli zapoznając się z jej układem i rozmieszczeniem wszystkiego w szafkach. W lodówce było sporo jedzenia, ale w większości przeterminowanego.

– Wyciągaj tę komórkę, dzwoni po koleżankach matki, pytaj, czy widziały twojego ojca – zakomenderował Piach. – Musimy się czegoś chwycić. A co do kwiatków, to może przychodziła tu jakaś sąsiadka, żeby je podlać? Przecież to normalne. Ludzie pomagają sobie w takich sprawach.

– Mhm, tylko nie wiem która. Mój ojciec to dziwak, z nikim się nie przyjaźnił. Lubił być sam, tak jak ja zresztą – dodała cicho i wyjrzała przez okno. Na zewnątrz panowała ciemność, od której już odwykła. Dom Lechickich stał na uboczu, do najbliższego sąsiedztwa był ponad kilometr. Na drodze dojazdowej nie było latarni, a na wprost rozpościerała się ogromna, złowroga ściana lasu.

– Dobrze, dziecko drogie. – Piach stanął przed Wandą, opasany znalezionym na haczyku przy kuchence fartuchem w czerwonej kratę. – Odlóżmy to wszystko, choćby na chwilę. – Spojrzał na nią i poczuł silne ukłucie. Zrobiło mu się jej tak bardzo szkoda, że miał ochotę ją przytulić. Wykonał nawet drobny krok w jej stronę, ale zatrzymał się, udając, że sięga po przyprawę. – Pokaż mi, gdzie mogę przygotować stół, a sama weź kąpiel. Zjemy kolację, odprężysz się i jeśli zechcesz, popracujemy. Ale najlepiej jutro. Do tego czasu nic się nie wydarzy, a ty nabierzesz sił. Twój mózg będzie wydajnie pracował.

– Zerknę tylko do jej komórki, przecież to zajmie chwilę. – Lechicka niby przytakiwała troskliwemu przyjacielowi, ale tak naprawdę już obmyślała dalsze kroki. W towarzystwie nastawianego naprędce rosółu i w otulinie zapachu podsmażanych pierogów z kapustą, Wanda usiadła przy kuchennym stole, podłączyła do laptopa telefon matki i niecały kwadrans potem klasnęła w dłonie.

– No co tam? – Piach zerknął na nią znad garnka z zupą.

- Dostałam się! Ale cholera, nie ma żadnych zdjęć z ostatniego miesiąca. W historii połączeń zapisane są rozmowy z ojcem, dostawała jakieś SMS-y od operatora, od koleżanek. O, tu się umawia z koleżanką z firmy na zamianę... Czekaj... - Wanda zbliżyła twarz do monitora. - Eva Green - przeczytała na głos. - Myślisz, że mogę do niej zadzwonić? - Odruchowo spojrzała na zegarek, szukając u współnika zgody.

Piasecki wykladał koreczki śledziowe na znalezione w szafce talerzyki w kwiaty.

- Tak, to sytuacja wyjątkowa, dzwoni - odpowiedział spokojnie. Wiedział, że jego sprzeciw najprawdopodobniej i tak zostałby zignorowany.

Ale Eva Green nie odebrała telefonu. I nie oddzwoniła po kwadransie, dlatego Wanda napisała SMS-a z prośbą o kontakt. W tej sytuacji niczego więcej nie mogła zrobić.

- To co, może pogrzebiemy w dokumentach?

- Nie! - zaoponował twardo Piach, zamykając klapę laptopa. - Potem, Wanda, jesteś wykończona, naprawdę musisz odpocząć. To jest polecenie służbowe!

- Okej. - Lechicka zgodziła się z ociąganiem. - Chodź, może oprowadzę cię po włościach. - Wstała, jakby przypomniała sobie zasady savoir-vivre'u. - I przy okazji powęszymy, może znajdziemy coś dziwnego.

ROZDZIAŁ 12

[25 grudnia 2019]



To była najpiękniejsza Wigilia w jej życiu. Ekscytacja buzowała w niej jak gejzer. Składały się na nią wzruszenie, radość, szczęście, ale i obawy, że to wszystko jest zbyt idealne, zanadto kruche. Takiego koktajlu emocji chciałyby smakować jak najdłużej. Uśmiechnęła się, zerkając na choinkę. Obraz migających światełek zamazał się, a pod powiekami pojawił się wczorajszy wieczór. Aleks, który po szybkiej kolacji u brata pojawił się z ogromnym bukietem róż. Tristan, zdrowy, funkcjonujący wreszcie bez bólu i bez lęku o jutrzejszy dzień. Hana, wpatrzona we wnuka i krzątająca się wokół stołu. Jej mąż, który znalazł kompana w Januszu – panowie przegadali cały wieczór, nie zwracając uwagi na otoczenie. Anna widziała, że jej były mąż jest dziwnie nieswój, jakby podenerwowany, do tego niewiele zjadł, ale może to kwestia ostatnich dni i wydarzeń? Może, wbrew pozorom, dotknęła go śmierć teścia, Tadeusza Księżopolskiego? Tristan zdecydowanie lepiej radził sobie z odejściem dziadka. Obawiała się, że chłopak się załamie, ale powrót do rówieśników na uczelnię plus rozmowy z poleconym przez Ursulę psychologiem okazały się najlepszym lekarstwem. Oby tylko załamanie nie przyszło później.

Nagle ze wspomnień wybudził ją dźwięk komórki. Otworzyła szerzej oczy. Dochodziła ósma rano. Numer nieznanym.

– Halo? – powiedziała nieco zaspanym głosem.

– Dzień dobry, szefowo – usłyszała zdecydowany męski głos. – Z tej strony Konrad, jestem ochroniarzem w willi Króla. Akurat jest moja zmiana.

– Co się stało? – Zerwała się na równe nogi.

– Ktoś wrzucił na posesję petardę, zapaliła się paleta...

– Ale kto?

– Nie wiem, będziemy sprawdzać. Musiałem wezwać straż, była też policja, spisała moje zeznania.

– Cholera, niedobrze! – Kier przerwała i włączyła ekspres do kawy. Jej dobry dzień właśnie się skończył.

– Zaraz przyjadę, przygotuj nagrania z monitoringu – wydała nerwowo dyspozycje i przygryzła wargę. Coś jej mówiło, że nie był to zbłąkany fajerwerk sąsiada. – Nikomu nic się nie stało? – dodała po chwili.

– Nie, wszystko okej, ale trochę sfajczyła się elewacja od frontu...

– W dupie z tym – przerwała mu, słysząc zdenerwowanie w głosie rozmówcy. – Widziałeś, jak to się stało?

– Nie no, zobaczyłem dopiero, jak się paleta jara – odpowiedział cicho Konrad.

Czyli spałeś, bo od razu byś zobaczył lecącą petardę, pomyślała Anna, a na głos powiedziała:

– Będę za godzinę.

Obudziła się z tak ogromnym pragnieniem, że z trudem przełknęła ślinę. Otworzyła oczy i poczekała, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności. Jakże inne są te poranki tutaj, skonstatowała przytomnie, zerkając za okno. W mieszkaniu na Francuskiej już słychać by było gwar i do środka wpadałby blask świątecznych iluminacji, a tu tylko ciemność i głośne tykanie zegara w korytarzu.

W głowie natychmiast zaczęła się gonitwa myśli, miała wrażenie, że mózg jej eksploduje. Nie wiedziała, czym ma się najpierw zająć. Jak ustawić priorytety.

– Anka, potrzebuję cię – wyszeptęła.

Tak, jej przyjaciółka ustalała plan działania, rozdawała zadania i trzymała to wszystko w kupie, a raczej w tym staroświeckim pomarańczowym notatniku, który Wanda już kilka razy wyśmiała.

Usłyszała po chwili spuszczaną wodę w toalecie i przypomniała sobie o Piachu. Ależ ten stary druh się stara, powinna mu podziękować za wczorajszą kolację, ale niestety jakoś jej to umknęło. Zrobiło jej się głupio, bo przecież normy społeczne trzymają ludzi w ryzach, nie można ich łamać.

Na korytarzu zaskrzypiały stare deski.

– Piachu! – powiedziała głośno i usiadła na łóżku.

– Tak? – W pokoju pojawiła się łysa głowa współnika. Nie włożył jeszcze tupecika, ale udawała, że tego nie widzi.

- Bardzo ci dziękuję za wczoraj. I przepraszam, że tak padłam, ale miałeś rację z tym zmęczeniem... Zrobić ci kawę? Popracujemy? Ja i tak już nie zasnę – dodała, nie widząc oczekiwanego entuzjazmu u współnika.

- Tak, zaraz przyjdę.

Ireneusz Piasecki uczesał tupecik i włożył wygodne szare dresy. Wiedział, że Wanda nie odpuści i że czeka ich kilka godzin pracy. On musi przejąć dowodzenie, a ona, jak zwykle, zniknie w cyfrowym świecie, tam czuje się najbezpieczniej.

Po szybkim i niezbyt wyszukanyim śniadaniu usiedli przy kuchennym stole. Wanda postawiła laptop, sprawdziła komórkę matki i chyba po raz setny wybrała polski numer ojca. Nie odbierał. Podobnie wyglądała sytuacja z Evą Green. Koleżanka matki nie zareagowała na SMS-a, choć wiadomość została odczytana.

Po chwili zniecierpliwiona Wanda połączyła się z miejscowym szpitalem. Mimo niechęci do podawania przez telefon jakichkolwiek informacji na temat pacjentów, lekarz dyżurny potwierdził, że stan Danuty Lechickiej nie uległ zmianie.

- Plan jest taki – Piach odchrząknął – przeczesałeś komórkę matki, dzwonisz do wszystkich znajomych, rozpytasz o ojca i o to, czy jechali razem, no wiesz, wszystko, co może się przydać. Ja w tym czasie jeszcze raz obejrzę nasze zdjęcia – te z miejsca zdarzenia i samochodu z parkingu. Czy udałoby ci się na podstawie tej komórki odtworzyć trasę?

- O kurde, Piachu! Jestem pełna podziwu, stary! – Lechicka nie kryła się z tym, pod jakim była wrażeniem.

- Sprawdzimy, którądy jechali, zobaczymy, czy i gdzie był jakiś monitoring, może ktoś będzie dysponował przydatnym nagraniem. Z trasy, ze stacji, ze sklepu. Może dotrzesz do transakcji z karty. Przecież to nam wszystko powie! – Piasecki klasnął w dłonie, wyraźnie z siebie zadowolony. – Dopóki – ściszył głos – policja nie wpadnie na pomysł, by sprawdzić komórkę twojej mamy.

- Tak, mogą sobie przypomnieć...

- No i musimy przeczesać twoją rodzinę od strony ojca. Poszukasz w szufladach? – Detektyw przechylił głowę. – No bo nie mamy się czego chwycić.

- Tak jest! – Wanda niemal zsalutowała i pospiesznie wyszła do salonu. Piach słyszał, jak otwiera szuflady, wertuje coś, trzaska drzwiami. Uruchomił swoją komórkę i zerknął na wyświetlacz. Zdał sobie sprawę, że czeka na SMS-a od Kier. Gdyby tylko się odezwała, choćby niezobowiązująco, natychmiast poprosiłby ją o pomoc. Nawet wbrew

Wandzie, która okłamywała siebie i jego, że jej nie potrzebuje. Dobrze wiedział, że jest odwrotnie.

Po kilkunastu minutach Lechicka pojawiła się w kuchni z kopertami, albumami i dokumentami. Rzuciła to wszystko na stół i klasnęła w dłonie, by pozbyć się kurzu.

– Synek, jak się czujesz? – Janusz Kier wszedł do pokoju syna z termosem w ręce. Chłopak siedział na łóżku z szeroko otwartymi oczami, ewidentnie od dawna nie spał.

Tristan objął się za ramiona i spojrzał przed siebie, omijając ojca wzrokiem.

– Chodź do kuchni, mama dała mnóstwo jedzenia. Jak nie zjemy, to się pomarnuje. – Ojciec kiwnął głową z pozorną obojętnością. – Mamy pyszny pasztet, grzybki marynowane...

– Ojciec, ty tylko o tym jedzeniu... – westchnął Tristan, nie ruszając się z miejsca. Wciąż tkwił w zamyśleniu.

– Co się dzieje, synek? – Janusz Kier stanął nad nim, przyglądając mu się badawczo.

– Dziadek mi się śnił – odparł chłopak, kuląc ramiona. – Wiesz... – podniósł smutny wzrok na ojca – jakoś szybko pogodziliśmy się z tą jego śmiercią. W tym śnie zarzucał mi, że mu nie pomogłem. Myślisz, że on wie, co chciałem zrobić? – spytał cicho.

– Co to za zabobony! Chodź, jedzenie czeka. To wszystko powinno się skończyć, jak go wreszcie pochowamy. Nie zamartwiaj się, przecież nie zrobiłeś nic złego, prawda? – Ojciec spojrzał na syna zza okularów.

– No to kto to zrobił?

– Policja się tym zajmuje, na pewno wszystko się wyjaśni. Nie zamartwiaj się tym tak bardzo. Wiem, że może być ci przykro, byłeś blisko z dziadkiem, ale przecież wiesz, jaki on był. – Kier silił się na spokój, lecz przychodziło mu to z trudem.

– A nie uważasz, że to dziwne? – Tristan pociągnął nosem.

– Co?

– Że mama w ogóle nie cierpi? Przecież to był jej ojciec, a wczoraj zachowywała się, jak gdyby nigdy nic.

– Synek... – Janusz Kier odsunął kołdrę i usiadł na brzegu łóżka. – Mama naprawdę dużo wycierpiała. Teraz nareszcie... No, jak by to określić... Ma spokój. – Wypowiedział te słowa z największą pewnością w głosie, na jaką go było stać. Na szczęście Tristan nie wiedział, że

w środku się gotuje. A przecież tę rozmowę chłopak powinien przeprowadzić z Anką, nie z nim.

- A ty? - wypalił nagle Tristan, jak gdyby właśnie coś sobie przypomniał.

- Co ja?

- Tobie nie jest przykro, ojciec? Przecież...

- Synek, nie mam najlepszych wspomnień z twoim dziadkiem. Ale teraz najważniejsze jest dobro i bezpieczeństwo naszej rodziny, tak? - Kier przechylił głowę w oczekiwaniu na potwierdzenie.

- Myślisz, że coś nam grozi? - Tristan nagle się wyprostował. Zsunął koldrę i poprawił T-shirt, w którym spał. Na jego twarzy pojawiły się wypieki. - Bo dziadek mi kiedyś wspomniał, że...

- Że co? - Ojciec wstał gwałtownie, upuszczając na łóżko termos, który na szczęście miękko wylądował w pościeli.

- Żeby nigdy nikomu nie wierzył. I że nic nie jest takie, jakie z pozoru się wydaje. Że on po prostu nie miał wyjścia.

- Chodźmy na śniadanie! - Kier niemal krzyknął. - No już, dosyć tego filozofowania! - Posłał chłopakowi łagodny uśmiech. Z trudem zmuszał się do zachowania pozorów. Nie, nie..., uspokajał się w myślach. To jest po prostu niemożliwe. Tristan tylko tak gada. Jediną osobą, która poznała prawdę, był on. Na dzień przed śmiercią Króla dotychczas znany mu świat przestał istnieć. Wystarczyło kilka minut.

ROZDZIAŁ 13

[25 grudnia 2019, po południu]



Złota skoda fabia płynnie zaparkowała w zatoczce tuż przed bramą posesji prokuratora Książopolskiego. Anna Maria Kier energicznie wysiadła, zarzucając na głowę kaptur. Zerwał się porywisty, mroźny wiatr. Drzewa niemal kładły gałęzie na chodnikach, a świąteczne iluminacje łopotwały, tworząc nieprzyjemną atmosferę. Magia świąt to jednak wyświechtany frazes, pomyślała Kier, gdy otworzył jej bramę Konrad, zapasowy ochroniarz, jak go kiedyś określił Wiking. Detektyw bacznie zlustrowała otoczenie, z nietypowych okoliczności dostrzegła jedynie osmolony fragment elewacji ze śladami piany i resztki drewnianej palety tuż obok.

Cały czas miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Dyskretnie rozejrzała się, ale nie dostrzegła nic niepokojącego. Po drugiej stronie ulicy mignęła jej wysoka przeszklona kawiarniana witryna. Przecież to idealne miejsce do obserwacji, skonstatowała i postanowiła zajrzeć tam, jak tylko wyjaśni kwestię petardy.

– Konradzie, dzień dobry, czy udało ci się obejrzyć nagrania? – zagadnęła wesoło. Nie chciała, by ten jeszcze dość niedoświadczony ochroniarz stresował się sytuacją. W końcu są święta i powinien być spokojny. Po chwili kąciki ust jej opadły. To nieprawda. Sprawcy nie biorą urlopu na Boże Narodzenie. Niektórzy w ogóle nie obchodzą świąt, choć w Polsce to akurat mało prawdopodobne. Wpatrywała się w stojącego przed nią cherlaka, oczekując twierdzącej odpowiedzi. Monitoring to podstawa.

– No właśnie, pani Aniu... – zaczął nerwowo ochroniarz ubrany w za dużą kurtkę, która wisała na nim jak na wieszaku. Nijak nie przystawał do profesjonalnej ochrony z Wikingiem na czele. Będzie musiała z nim pomówić. To nie był zwykły dom.

Rozumiała świąteczne rozluźnienie, ale ten dzieciak nie nadawał się do tej fuchy.

– Nie mów, że nagle coś się zepsuło? – Kier zaczęła tupać. Arktyczny wiatr przeszywał ją na wskroś. – Chodźmy do środka. – Wskazała brodą pomieszczenie ochrony na parterze posesji i ruszyła przed siebie.

– Nie, no, nie zepsuło – Konrad dreptał za Anną – tylko nic nie widać. Ciemna postać, w kapturze... – dodał z wyraźnie zgaszonym spojrzeniem.

– Dobrze, pokaż mi to nagranie! – Kier usiadła za biurkiem i poruszyła myszką. – Ja je sobie przeanalizuję – dodała cicho, po czym zbliżyła twarz do ekranu i wcisnęła „play”.

Zerknęła na belkę z timerem. Godzina szósta sześć. Nagranie było niewyraźne, kamery nie dawały sobie rady z wczesną porą i mroźną pogodą. Ekran był ciemny, ale odrobinę światła rzucały latarnie i iluminacje. Nagle tuż za bramą pojawił się ktoś z niewielkim psem. Prawdopodobnie kobieta. Spacerowiczka przypominała ducha. Potem znowu nic. Pusty ekran. Szósta siedemnaście. Ulicą przejechała pługopiaskarka. Szósta dwadzieścia cztery.

– Teraz! – Anna usłyszała za sobą podekscytowany głos Konrada. Detektywka jeszcze bardziej zbliżyła się do monitora i zobaczyła, jak do bramy podszedł mężczyzna. Na głowie miał kaptur, był ubrany w ciemną kurtkę i dres, ewidentnie maskujący styl. Facet nie rozglądał się, nie wyglądał na zdenerwowanego ani na przypadkowego przechodnia. Po chwili odwrócił się tyłem do kamery, przed jego postacią pojawia się luna światła. Trzymał w ręce racę, którą celowo wrzucił na podwórko Króla. Nie było tu mowy o przypadku, zabawie z fajerwerkami czy jakimś dziwnym, nieokreślonym zdarzeniu. Było to intencjonalne zaproszenie ognia.

– Zgrasz mi to na pendrive’a? – Kier zagryzła wargi, była zamyślona.

– Tak, już to zrobiłem.

– To celowe działanie – powiedziała bardziej do siebie niż do ochroniarza. – Nie dostaliśmy żadnej groźby? Albo listu? Przesyłki?

Chłopak zaprzeczył energicznym ruchem głowy.

– Niedobrze. Do której jest twoja zmiana? – spytała, a jej spojrzenie było nieobecne.

– Do szesnastej.

– Okej. – Wstała spokojnie i wzięła od ochroniarza pendrive’a. – Zadzwoń do mnie na koniec szychty. A z tobą wszystko w porządku? Dasz radę dalej pracować? – Spojrzała na chłopaka i nagle poczuła ukłucie w klatce piersiowej. Konrad był niewiele starszy od Tristana.

– Tak – przytaknęła smutno. – Niech pani nie mówi szefowi, co? On by złapał tego gościa, a ja...

– Domyśliłam się. Spałeś, Konrad. Nie powiem, ale to nie może się powtórzyć, w porządku? – Anna położyła dłoń na ramieniu ochroniarza.

Chłopak przytaknął i uśmiechnął się z wyraźną ulgą, choć wzrok miał zgaszony. Poruszył ustami, jakby chciał coś powiedzieć, lecz zamilkł.

Czekała ją poważna rozmowa z Wikingiem. To nie jest praca dla tak młodych ludzi. Poza tym dlaczego on nagle jest tutaj sam? Na zmianie powinny być trzy osoby. Co tu się, do cholery, dzieje?

– Dostałam się na konto matki! – krzyknęła nagle Wanda, jakby odkryła coś niesamowitego.

Piasecki, który siedział w miękkim fotelu, szeroko otworzył oczy, upuszczając trzymaną na kolanach stertę dokumentów.

– No i? – spytał, odchrząkując.

Lechicka na szczęście nie zauważyła jego krótkiej drzemki. Nie podnosząc wzroku znad klawiatury, perorowała energicznym głosem. Zawsze tak reagowała, gdy pojawiał się trop. Była jak pies myśliwski.

– Dwa razy używała karty, na stacji benzynowej, płacąc za wacę, i w barze, nie wiem za co, hm... – Zamyśliła się. – To dziwne, zwykle, jeśli prowadził ojciec, to on ogarniał paliwo. Ponadto matka nie lubiła smrodu benzyny, nie sądzę, by się do tego jakoś pchała w trasie.

– Podaj dane, przejedziemy się tam. – Piach wytarł ślinę z kącików ust i na odwrocie trzymanego dokumentu zaczął pisać dyktowane przez współpracowniczkę namiary.

– Mama zebrała pokaźną sumkę, ale mam też wypłaty z trzech bankomatów. W sumie w Wigilię wypłaciła trzydzieści tysięcy złotych. Stary, po co jej taka kasa w gotówce?

– Nie mam pojęcia. Może chciała ci po prostu prezent zrobić? – Piasecki próbował się uśmiechać, ale współpracowniczka nie zareagowała.

– To nie jest normalne. O, jest przelew na konto firmowe, jakaś niemiecka firma. Zaraz poszukam do nich kontaktu. A właśnie! – Wanda sięgnęła po komórkę. – Jeszcze raz spróbuję zadzwonić do tej Evy Green. No co, sytuacja jest wyjątkowa – dodała, napotkawszy srogi wzrok Piacha.

Tym razem koleżanka mamy odebrała po pierwszym sygnale.

– Słucham. – W słuchawce rozległ się oschły głos starszej kobiety. Lechicka przedstawiła się, lecz jej rozmówczyni nie zareagowała jakoś specjalnie żywiołowo. – No słucham. – Wyraźnie się niecierpliwiła.

– Jestem córką Danuty Lechickiej, to pani koleżanka z pracy, ostatnio się z panią zamieniała.

- A, Danuśka Wenerska. No co tam? - Głos kobiety radykalnie się zmienił.

Wanda poczuła dziwne ukłucie. Dlaczego ta kobieta posługuje się panieńskim nazwiskiem matki?

- Moja mama miała wypadek i chciałabym zadać kilka pytań. Mogę?

- Jaki wypadek, dziecko?

- Na razie mało wiem. - Wanda czuła, jak rośnie jej ciśnienie. Omal nie rzuciła słuchawką. Źle się czuła w tej sytuacji. Nie miała ochoty tłumaczyć się z tego, co robi, ale wyćwiczona w społecznych interakcjach i niezłe zsocjalizowana powstrzymała się przed impulsywnym działaniem. - Czy mój ojciec dojechał do mamy? Czy wracali razem? Czy pani coś wie? Wszystko, co pani powie, może mieć znaczenie.

- No, miał przyjechać, ale w końcu... nie wiem. - Kobieta westchnęła. - Rzadko ostatnio razem pracowałyśmy.

- A czy zauważyła pani coś nietypowego w zachowaniu mojej mamy? - spytała szybko Wanda, w obawie że kobieta za chwilę skończy rozmowę. Wyczuwała rozdrażnienie i pośpiech.

- Czy ja wiem... Może ostatnio wydawała się jakaś smutna albo zmęczona - odpowiedziała powoli Green, jakby była nieco zamyślona.

- A jeśli pani coś sobie przypomni, coś, na co warto zwrócić uwagę, to mogę prosić o telefon?

- Wiesz, teraz, jak tak sobie myślę - Green zawiesiła głos - to miałam wrażenie, że twoja mama naprawdę była smutna. Nie żartowała z nami, nie umawiała się na kawę. Tak, była trochę wycofana, nie taka nasza typowa Danuśka. Może przeczuwała, że coś się stanie? Nie wolno bagatelizować takich sygnałów, dziecko. No! - Przerwała nagle, podnosząc głos. - Ale w jakim mama jest stanie? Można do niej zadzwonić?

- Nie bardzo, stan jest krytyczny. Bądźmy w kontakcie. - Lechicka wcisnęła czerwoną słuchawkę z taką mocą, że gdyby to był delikatniejszy plastik, z pewnością wgniotłaby dziurę.

Przysłuchujący się tej rozmowie Piasecki głośno wypuścił powietrze i podszedł do Wandy. Stanął za nią, położył jej dłoń na ramieniu i szepnął:

- Jestem tu, Wanda. Nie zostawię cię. Dasz radę. Ale jak chcesz, to zawsze się mogę odezwać do Anki. Pomoże nam.

- Nie, wykluczone! - prychnęła, zrzucając z siebie rękę współnika. Otrząsnęła się jak po wyjściu spod zimnego prysznica. - Ona całe życie czekała na tych kilka dni. Poradzimy sobie! Wyjdźmy na zewnątrz, może pogadam z sąsiadami, popytam o ojca. Co myślisz? Tylko tu wszędzie daleko, musimy jechać samochodem.

- Okej, jedziemy! - Piasecki delikatnie odłożył na stół rodzinne dokumenty Wandy i z wyraźną ochotą ruszył do przedpokoj. On też wolał działanie, konkretne zadania, a nie ślęczenie nad papierzyskami.

Kawiarnia na Saskiej Kępie całkiem szybko wypełniła się gośćmi. Mimo że był to pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, stali bywalcy zamawiali swoje ulubione kawy, lekkostrawne śniadania i świeżo wyciskane soki. Anna Maria Kier weszła do środka i zajęła miejsce w wygodnym fotelu na wprost domu ojca. Miała trochę czasu dla siebie – Aleks pojechał do brata, a Hana odpoczywała z mężem po długiej i wyczerpującej dla staruszków wigilii. Gdy wreszcie zamówiła podwójne espresso, odłożyła ciężkie menu na złotej metalowej podstawce, odetchnęła głęboko i spojrzała przed siebie. To był doskonały punkt obserwacyjny i miała podejrzenie graniczące z pewnością, że właśnie tutaj całe dnie spędzali jej ulubieńcy, Tymon Zawadzki i Magdalena Dębska. Sama właśnie tak by zrobiła.

Oho, o wilku mowa!, pomyślała i zbliżyła twarz do okna. Do furtki, z telefonem w dłoni, podszedł mężczyzna. Anna rozpoznała go natychmiast. Konrad. Ochroniarz szybko pomachał ręką przed aparatem, zakazując nagrywania, ale dziennikarz ignorował te gesty. Ewidentnie starał się wdać w dyskusję, którą młody szybko zakończył i oddalił się z wyraźnym wzruszeniem ramion.

– Dobrze! – szepnęła do siebie Anna. Te dyskusje nie mają najmniejszego sensu.

Zawadzki pokręcił się jeszcze wokół posesji, zdejmując prawdopodobnie po raz setny te same nudne, statyczne kadry. Potem pochuchał w zmarzniete dłonie i spojrzał przed siebie. Kier wiedziała, że ich spotkanie jest nieuniknione. Nie pomyliła się. I postanowiła stawić mu czoła.

Dziennikarz wszedł swobodnym krokiem na piętro, machając do kelnerów i uśmiechając się przyjaźnie.

– To co zawsze! – rzucił w stronę baru i podszedł do stolika przy oknie.

– Może się pan dosiąść. – Kier wskazała ręką fotel z drugiej strony.

Zawadzki nie krył zaskoczenia. Zbity z pantalątku, posłusznie zajął wskazane miejsce.

– Śledzisz mnie? – spytał w końcu po dłuższej próbie mierzenia się wzrokiem.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Przesunęła nogi, by zrobić miejsce kelnerowi stawiającemu na stoliku dużą latte z rogalikiem z różaną konfiturą. Albo z wiśniową. Pokiwała na to głową, lekko się uśmiechając.

– Czego chcesz, Tymon? – Zmarszczyła brwi i odgarnęła z czoła kosmyk włosów. – Ale tak naprawdę? – Powoli założyła nogę na nogę i zaczęła rytmicznie machać stopą.

– Myślałem, że jesteś niższa – odpowiedział Zawadzki, wpatrując się w rozmówczynię.

– Do brzegu, stary! Po co się tu kręcicie? Przecież nie chodzi o drażnienie tych chłopaków, prawda? To nie jest program rozrywkowy, w stylu *Mamy cię*, czy inny syf.

– No dobrze! – Zawadzki pociągnął nosem i zerknął na posesję, jakby na kogoś czekał lub czegoś się obawiał. Ewidentnie był spięty, nie tak pewny siebie jak w trakcie rozmowy telefonicznej, i nieco wystraszony albo zakłopotany. – Piszę książkę o powiązaniach niektórych polityków z naszymi sąsiadami ze wschodu – wyszeptał.

– Słucham? – Kier parsknęła śmiechem. Nie tego się spodziewała. Co prawda matka jej wspominała, że ojciec miał jakieś zatargi z Czeczenami, ale to było czterdzieści lat temu. Wierutne bzdury.

– Wiem, że twój ojciec ma teczki na kilku ważnych ludzi. Chciałbym do nich zajrzeć – kontynuował dziennikarz.

– Ale...

– Nie zaprzeczaj, bo na mnie też miał teczkę. I jestem pewien, że ją przejrzałaś. Jesteś starą policyjną wygą. – Tymon usiadł wygodniej, rozsunął nogi, wyraźnie nabierał swobody. Po chwili sięgnął po kawę. Upił łyk i oblizał górną wargę.

– Ale ja czegoś nie rozumiem... – zaczęła Kier po chwili zastanowienia.

– Po co robicie wokół tego taki szum? Po co ten podcast *Jakie trupy wypadną z szafy Króla?* – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Przecież to jakaś ściema.

– Wszystko jest ze sobą powiązane. Jeśli będziemy popularni, a tak się wkrótce stanie, to trudniej będzie światu po pierwsze... – Zawadzki podniósł kciuk – olać nas! Ciężka robota nie pójdzie na marne, a o książce będzie się mówić. A po drugie – uniół drugi palec – będzie im też trudniej nas się pozbyć. Proste. Celebrytów nikt nie rusza! – dodał, wysuwając dolną szczękę.

– Ty jesteś dziennikarzem, i to dobrym, nie rozumiem celebryctwa, ale to twoja sprawa. – Kier rozłożyła ramiona w pozie bezradności. – Dlaczego wczoraj przez telefon powiedziałeś mi, że, cytując: „Nie będę miała wyjścia i się z tobą skontaktuję”?

– Bo dokopałem się do faktów, które – jeśli uda mi się wszystko sensownie połączyć – zmiotą z politycznej sceny największe szczyhy.

– A co ja mam z tym wspólnego? Jestem policjantką na emeryturze.

– Jeśli dasz mi te teczki, to o wszystkim dowiesz się pierwsza. Będziesz miała czas na reakcję, gdyby sprawa była jakoś powiązana z twoim ojcem. Będziesz mogła wpłynąć na to, co pokażemy. Nie, nie pozwolę niczego zatuszować! – Mężczyzna nagle podniósł głos. – Ale będziesz mogła ustalić jakiś plan działania. Z prawnikiem na przykład.

– Hm... Chyba nie mogę ci pomóc. Nie wiem, o czym mówisz, a ja jestem bez zarzutu. Dzieci nie mogą ponosić konsekwencji za czyny rodziców, każdy sąd ci to powie. – Anna sięgnęła po filiżankę. Wypiła espresso duszkiem. – Mnie już nic nie grozi.

– A jeśli moje odkrycia doprowadzą do wskazania sprawcy zabójstwa prokuratora Księżopolskiego na jego ostatnim polowaniu? – Dziennikarz wrzucał kolejne pomysły niczym haczyki w spinningu.

Anna poczuła dziwne ukłucie, lecz postanowiła nie iść w tę stronę. Ten chłopak blefuje.

– Nie doprowadzą. To był wypadek.

– Daj mi te teczki. Tu mam nazwiska! – Zawadzki położył na stoliku laptop i go uruchomił.

– Nie wiem, o czym mówisz. Dajcie nam spokój, to nachodzenie naprawdę nie ma sensu. Nagrywasz ciągle tych chłopaków, stara, zaniedbaną willę, po co? Strata czasu. – Anna wstała i popatrzyła na dziennikarza z góry.

– Mylisz się. Relacje z tego miejsca mają bardzo dużą widownię – rzucił z przekąsem Zawadzki.

– Do widzenia! – Kier chwyciła kurtkę i skierowała się do baru.

– Zadzwońisz do mnie, zobaczysz! – krzyknął za nią nieco zbyt głośno. Goście kawiarni spojrzeli na niego z zaciekawieniem. Anna przystanąła tylko na chwilę. Nie, nie da mu tej satysfakcji. Nie okaże, że naprawdę ją wystraszył.

Rozmowy z sąsiadami nic nie dały. Tak jak przypuszczała Wanda, mieszkańcy od dawna nie widzieli żadnego z jej rodziców. Matka jak zwykle była na saksach, jak to określiła pani Gordon, sąsiadka z ceglanego domu, a ojciec jak zwykle się nie pokazywał. Nikt nie umiał powiedzieć, czy Jan Lechicki był tu przez ostatni miesiąc, czy nie. W ogóle ostatnimi laty rzadko go widywano, jakby tu nie mieszkał. I nikt nie przyznał się do podlewania kwiatków.

Wracali do rodzinnego domu Wandy w milczeniu. Auto Piacha czasami z trudem pokonywało zwały śniegu, musieli być maksymalnie skoncentrowani na drodze. Z małych porannych opadów zrobiła się śnieżycą. Duże, ciężkie płatki śniegu spadały na szybę jak kleksy, a wycieraczki ledwie nadszały, ciężko i głośno pracując. Widoczność pogarszała się z każdą minutą.

– To jednak jest dziwne. – Wanda nagle przerwała ciszę, która od dłuższej chwili wisiała w samochodzie niczym chmura. – Ja go

kompletnie nie mogę namierzyć, w sieci nie istnieje, rozumiesz? Nigdzie go nie ma! A teraz, w realu, nikt nie potwierdza jego istnienia od kilkunastu dni. Nawet sklepowa nie mogła sobie przypomnieć, kiedy był u niej po raz ostatni. A z drugiej strony dlaczego mam nie wierzyć własnej matce? Chybaby mnie nie okłamywała, jak myślisz? – Spojrzała na Piacha z taką nadzieją na odpowiedź, że ten, próbując wymyślić coś sensownego, zachłysnął się śliną. – Jeśli do jutra nie wpadnę na jakikolwiek trop, zgłaszamy jego zaginięcie.

– Tak, tak zrobimy. – Piasecki zakasał.

– Dobrze, to w domu zajrzemy do tych papierów, ale co ja tam znajdę? Akt ślubu? No i co mi to da? – Wanda ze zniechęceniem pokręciła głową. – Lepiej pojedźmy może na te stacje z transakcji kartą?

– Zapomnij, przed nami regularna zamieć – zawyrokował Piasecki, zbliżając twarz do przedniej szyby. – Musimy dotrzeć do domu. Szybko pokonajmy ten ostatni odcinek, bo naprawdę dalej nie przejedziemy.

– Nie panikuj! – Lechicka ciężko opadła na fotel pasażera. – Nie takie zimy tu przechodziliśmy! – dorzuciła wesoło, dodając otuchy wyraźnie przerażonemu Piachowi.

– No, mam nadzieję, że ktoś to w końcu odśnieży. Jak dobrze, że wczoraj kupiłem dużo jedzenia! – Detektyw mocniej wcisnął pedał gazu. Koła zabuksowały w śniegu.

Minał niespełna kwadrans, a śnieżycza za oknem rozszalała się na dobre. Wanda stała w kuchni, piła gorącą herbatę i patrzyła na swój świat dzieciństwa. A także na pracownię stolarską, w której ojciec przebywał całymi godzinami. A ona z nim, wgapiona w jego silne dłonie sprawnie heblujące pachnące deski, jak w jakąś świętość. Dziś patrzyła na to wszystko inaczej. Bez radości. Ale wciąż z dziecięcą bezgraniczną miłością. I ufnością. Jej ojciec miał najsilniejsze i najpiękniejsze dłonie na świecie.

Lechicka zmrzyła oczy i nagle odstawiła kubek z mocną herbatą.

– Cholera, pracownia! – rzuciła do zdziwionego Piacha, i tak jak stała, wybiegła na zewnątrz.

Detektyw podszedł do okna, dojrzał jej skuloną postać w świetle lampy. Wanda podbiegła do stolarni i mocno szarpnęła za drzwi, walcząc z silnymi podmuchami wiatru. Odstawił kubek i ponownie wyjrzał przez okno. Po chwili zdenerwowana Wanda biegła z powrotem, trzymając się za serce, jakby świat nagle przestał istnieć. Jakby nie było całej tej śnieżycy.

Gdy wreszcie pojawiła się w kuchni, ośnieżona od stóp do głów, całkiem przemoczona, spojrzała na Piacha przerażonym wzrokiem. Broda jej się

trzęsła. Otworzyła usta, lecz nie mogła wydobyć z siebie dźwięku.

ROZDZIAŁ 14

[25 grudnia 2019, wieczorem]



Nie ma nic... Tam jest kompletnie pusto! – wydusiła z siebie po dłuższej chwili. Bezradnie rozłożyła ręce i wpatrywała się w Piacha, jakby miał wiedzieć, co się tam mogło stać.

– Co to znaczy? – Piasecki podszedł do współpracownicy i podał jej przygotowany wcześniej ręcznik. Wyglądała jak bałwan, a z jej włosów pozlepianych w strąki ciekła woda.

– Warsztat jest ogołocoony. Pusta hala, prawie żadnych narzędzi, drewna, niczego tam nie ma! To jest naprawdę dziwne.

– Wanda, nie gorączkuj się, na to wszystko musi być jakieś sensowne wytłumaczenie. – Piach dreptał za podekscytowaną dziewczyną, próbując dotrzymać jej kroku. Razem, niemal ramię w ramię, weszli do kuchni.

– Słuchaj, nie było cię w tym domu osiem lat, jesteś pewna, że oni się na przykład... nie rozstali? – Piach podrapał się po brodzie, nerwowo rozglądając się po kuchni, jakby gdzieś tam był dowód na słuszność jego teorii. – Może już od dawna tu nie mieszka? – Przechylił głowę, zadowolony ze swojej bystrości.

– Sprawdź – odrzekła nerwowo Lechicka i wyszła na korytarz. Otworzyła największą z szaf i zanurzyła się w niej. – Tych ciuchów jest jakoś mało – dorzuciła po chwili stłumionym głosem do Piaseckiego, który cmoknął z wyraźną satysfakcją.

– Może dlatego nie ma tego aktu ślubu? – główkował dalej. Podniósł palec w zamyśleniu i poszedł do łazienki. Otworzył drzwi. – Przyborów do golenia brak! – krzyknął do Wandy.

– To o niczym nie świadczy, może zabrał do Niemiec. – Lechicka oparła się o drzwi szafy, w której przed chwilą grzebała. Była wyraźnie pogubiona i zrezygnowana.

– Zrobię nam coś na obiad i siadamy do tych papierzysk! – Piasecki wskazał dłonią stos dokumentów na kuchennym stole. – Tam musi być jakiś trop!

– Tak, masz rację. To wrzuc coś na ruszt, bardziej dla siebie, bo ja na razie nie jestem głodna. – Wykrzeszała z siebie kolejną dawkę energii, usiadła do dokumentów i przestała zwracać uwagę na współnika.

Piasecki wiedział, że tak będzie. Przepasał się fartuchem i z pełnym spokojem przystąpił do gotowania. Tak naprawdę kompletnie niczego nie rozumiał z tej sytuacji. Nikt nic nie wie, nie ma żadnego punktu zaczepienia, nawet Wanda wyraźnie gubi się w tym wszystkim. Co innego rozwody, którymi samodzielnie zajmował się ostatnimi laty. Proste sprawy, śledzenie, fotografowanie, zbieranie dowodów niewierności – tam wszystko było banalne i oczywiste. A tu, w sprawie zaginięcia ojca Wandy, najgorsze było to, że wciąż nie miał pomysłu, jak pozyskać jakiegokolwiek dane. Poczul, że nagle znaleźli się z Wandą w celowo zastawionej pułapce. W miejscu, skąd nie ma ucieczki. Pomysł z odtworzeniem trasy rodziców nie wchodził w grę – zamieć z każdą godziną coraz skuteczniej odcinała ich od świata zewnętrznego.

Po dłuższej chwili wertowania dokumentów, klikania w laptopie i scrollowania telefonu, Wanda ciężko westchnęła, chowając twarz w dłoniach. Piach zmniejszył gaz pod patelnią z pierogami, wytarł ręce o fartuch i najciszej, jak umiał, usiadł obok niej.

– Znalazłaś coś? – spytał, gdy podniosła na niego zmęczony wzrok.

– Wyobraź sobie, że tutaj – wskazała stos papierów przed sobą – są tylko dokumenty matki. Jej akt urodzenia, świadectwo ukończenia szkoły, jakieś prastare RMUA, dyplomy, świadectwa pracy. Wszystko na Danutę Wenerską.

– To panińskie nazwisko mamy, tak? – Piach upewniał się przyjaznym tonem. – A masz akt ślubu? Tam powinno być coś na temat twojego ojca. I świadkowie! To z pewnością jacyś przyjaciele twoich rodziców, muszą znać ich przeszłość. To byłby dobry trop!

– Piachu, nie ma czegoś takiego. A to cholernie dziwne, bo matka lubi porządek i wszystko tu chowała! Dlaczego nie ma tej metryki?

– Może nie wzięli ślubu i żyją na kocią łapę? – Piasecki położył dłonie na stole. – To nie jest przestępstwo. A twój akt urodzenia? Znalazłaś?

– Może w moich dokumentach! – Wanda wyciągnęła spod spodu plastikową koszulkę. – Ja nie wiem, po co mojej matce laurka z podstawówki! – Lechicka parsknęła śmiechem, obracając w palcach dziecięce bazgroły. – Niepojęte – dodała do siebie, kręcąc głową. – Mam swój akt urodzenia! – Szarpnęła mocniej nieco poźółkły dokument.

Błyskawicznie przebiegła wzrokiem wystukane na maszynie literki, a potem niemal rzuciła się na laptop. Zanim Piach spytał o cokolwiek,

w kuchni rozległo się nerwowe klikanie. Hakerka pisała chyba z prędkością światła. Detektyw wstał i wrócił do podsmażania pierogów. Wanda potrafiła zanurzyć się w świecie online na wiele długich godzin. Bez kontaktu z rzeczywistością. I bez takiej potrzeby.

– No dobrze, panie Piasecki! – Po jakimś czasie oderwała się wreszcie od laptopa, nawołując współnika ze zniecierpliwieniem w głosie. Jej mocno przekrwione oczy świadczyły o przepracowaniu i zmęczeniu. Piach po zjedzeniu obiadu w pojedynkę drzemał przed telewizorem w salonie obok, ale gdy tylko usłyszał głos Lechickiej, zerwał się na równe nogi.

– No, co tam znalazłaś? – Wszedł do kuchni, tłumiąc ziewnięcie.

– Mój ojciec, Jan Lechicki, pochodzi z podlaskiej wsi Rybaki. W dawnym województwie białostockim są dwie takie wsie. Ta ojca leży w gminie Michałowo. Musiałam trochę poszperać, ale to na pewno to miejsce. Ponadto Wikipedia mówi, że w dwa tysiące jedenastym roku liczba ludności wynosiła tam, uwaga, dwadzieścia sześć osób.

– Co? – zdziwił się Piasecki.

– Dla mnie to też nowość, nigdy tam nie byliśmy. – Wanda bezradnie rozłożyła ręce, jakby czuła się winna.

– No to nie ma bata, muszą tam znać twojego staruszka albo chociaż, no wiesz, pamiętać.

– Na sto procent. Matka pochodzi ze wsi obok, też zresztą niewielkiej. Mam aktualny numer do sołtysa w Rybakach. Zadzwoń, co? – Hakerka zerknęła na przypięty do laptopa smartfon. – Na stronie sołectwa jest komórka, serio! – dorzuciła, jakby zapewniała współnika o czystości swoich intencji. – Przecież to urzędnik państwowy – kontynuowała, widząc niezdecydowanie Piaseckiego.

– Ja wiem... – odrzekł w końcu. – Ale są święta.

– Daj spokój z tymi świętami, do cholery! Poza tym ludzie na pewno są tam wyznania prawosławnego, dzwonię! – prychnęła.

Po zaledwie jednym sygnale usłyszała mocny męski głos.

– Słucham.

– Dzień dobry, czy ja się dodzwoniłam do sołtysa ze wsi Rybaki, pana Michała Soroki? – Lechicka brzmiała jak urzędniczka.

– Tak, słucham – warknął mężczyzna do słuchawki. Wyraźnie się niecierpliwił lub został oderwany od jakiegoś zajęcia.

– Szukam swojego ojca, Jana Lechickiego. – Wanda zaczęła się jąkać. Kolejny raz zadziałała szybciej, niż pomyślała. Przecież powinna przemyśleć tę rozmowę, to było kluczowe ogniwo. Cholera jasna!

– U mnie go pani szuka?

– Proszę pana, mój ojciec zaginął w drodze do domu, a z dokumentów, które trzymam w ręce, wynika, że pochodzi z pana miejscowości. Nie

znam żadnej jego rodziny, proszę mi pomóc. – Hakerka postanowiła zmienić ton na prosząco-pojednawczy, co przyszło jej z zaskakującą łatwością. Naprawdę potrzebowała pomocy. – Nie wiem, gdzie go szukać.

– Jeszcze raz, jak się nazywa? – Sołtys złapał haczyk i wyraźnie się zaangażował.

– Lechicki, Jan Lechicki. – Wanda przeliterowała wolno i wyraźnie. – Z mojego aktu urodzenia wynika, że urodził się w Rybakach. Wiem, wiem – nagle się ożywiła – że jest kilka wsi o takiej nazwie, ale solidnie to sprawdziłam i mam absolutną pewność, że chodzi akurat o te pana Rybaki.

– Hm, nie kojarzę... – odparł sołtys, długo wypuszczając powietrze. – Nie kojarzę, naprawdę. Teraz nikt taki tu nie mieszka, ale ja tu jestem zaledwie od trzech lat, może rodzina mojej żony coś pamięta. A kiedy pani się urodziła?

– Trzydzieści cztery lata temu.

– Proszę poczekać – zakomenderował sołtys, a w słuchawce słychać było wyraźnie kroki, skrzypienie podłogi, wreszcie otwieranie drzwi i głos: – Babciu, kojarzysz nazwisko Lechicki? Jan Lechicki? – mówił znacznie głośniejsze. – Proszę poczekać – szepnął do słuchawki. – Mam na linii jego córkę, szuka go, bo nie wrócił do domu – dodał głośno. – Możemy jej pomóc? Niech sobie babcia przypomni.

– Ja nie muszę sobie niczego przypominać. – Wanda usłyszała nagle mocny, zdecydowany głos starszej kobiety. – Ja wolałabym raczej zapomnieć o tych ludziach. Powiedz tej dziewczynie, żeby też tak zrobiła! – fuknęła babcia.

Wanda usłyszała trzaśnięcie zamykanych drzwi i podenerwowany głos rozmówcy.

– Halo, przepraszam, ale... babcia jakoś dziwnie zareagowała. Zdenerwowała się, a to nie jest wskazane w jej wieku.

– Wszystko słyszałam. Może mógłby pan później spróbować się czegoś dowiedzieć? Bardzo proszę. Ja naprawdę nie wiem, gdzie go szukać. – Wandzie załamał się głos. – Może żona coś pamięta? Albo sąsiedzi?

– Dobrze, nie obiecuję, ale popytam. Proszę się nie martwić, tata na pewno się znajdzie. A babcia to schorowana kobieta, proszę nie brać niczego do siebie.

– Jutro zadzwonię, dobrze? – Lechicka przerwała ten słowotok zapewnień i pocieszeń, których nie cierpiała. Ludzie zwykle pocieszają kogoś wyświechtanym frazesem, bez cienia refleksji. Nie lubiła takich aktów łaski. – To dla mnie bardzo ważne. Dziękuję! – rzuciła do słuchawki, ale sołtys już tego nie słyszał. Delikatnie odłożyła smartfon na stół.

Pokręciła głową i zerknęła na trzymany w ręce akt urodzenia z dziwnym lękiem. O co tu chodzi? Dlaczego ta staruszka tak zareagowała? Te myśli

nie dawały jej spokoju. Czuła podskórnie, że coś złego dzieje się wokół niej, ale co? A jeśli babcia sołtysa nie zwariowała? A jeśli...

Nagle telefon zawibrował, a w kuchni rozległ się tępy dźwięk rytmicznego uderzania o stół. Lechicka spojrzała na wyświetlacz.

Szpital wojewódzki.

ROZDZIAŁ 15

[25 grudnia 2019, wieczorem]



Dzień dobry, z tej strony lekarz dyżurny szpitala wojewódzkiego.

– Co z mamą? – Wanda przerwała grzecznościową formułkę. – Nie żyje? – dodała z prędkością karabinu maszynowego. To była jej pierwsza myśl, gdy tylko zerknęła na wyświetlacz.

– Nie, wprost przeciwnie, widzimy wyraźną poprawę. Oczywiście pani mama musi jeszcze zostać utrzymana w śpiączce farmakologicznej, bo inaczej nie zniosłaby bólu, ale... już oddycha samodzielnie. To niemal cud!

– O Boże, jak dobrze. Przyjadę do niej jutro, mogę? – Lechicka głośno wypuściła powietrze. Trudno jej było w to uwierzyć, ale ręka, w której trzymała aparat, drżała tak, że musiała przytrzymać ją drugą ręką.

– Tak, bardzo proszę – odpowiedział uprzejmie lekarz, spodziewając się tego pytania.

– Czegoś jej potrzeba? Co mogę dla niej zrobić? Jestem prawdopodobnie jedyną osobą, która jej została.

– No nie, nie jedyną – zaprzeczył medyk. – Dziś dzwonił... chyba pani ojciec.

– Kto? To niemożliwe! – krzyknęła Wanda do słuchawki i zerwała się na równe nogi. – Mój ojciec zaginął. Skąd wiecie, że to on? Halo!

– No... – Lekarz wyraźnie się zmieszał. – Tak się przedstawił. Lechicki. Co prawda nie zdradzaliśmy szczegółów zdrowotnych, bo nie wolno nam tak przez telefon, ale podałem PESEL pacjentki. – Doktor zaczął się mitygować.

RODO-srodo, pomyślała Wanda i odparła:

– Spokojnie, wiadomo, jak jest. A co dokładnie mówił mój ojciec? Proszę sobie przypomnieć, to bardzo ważne. On jechał z matką tym samochodem.

- Ale chwileczkę, policja niczego takiego nie twierdzi. - Teraz lekarz podniósł głos. - Uporczywie trzyma się pani jakiejś wymyślonej wersji wydarzeń. Wszystko z panią w porządku?

- Dobrze już! - Wanda poczuła, że traci grunt pod nogami. Gdyby przyjrzeć się tej sytuacji z boku, to rzeczywiście zachowywała się jak jakaś histeryczka albo ktoś, kto z uporem maniaka nie przyjmuje pewnych faktów do wiadomości. - Ma pan rację, jestem zdenerwowana, ale naprawdę szukam ojca. Nie ma z nim kontaktu od kilku dni. Jutro zgłaszam jego zaginięcie na policję, proszę mi pomóc. Co mówił ten mężczyzna, to znaczy mój ojciec?

- Nic takiego. - Wanda była pewna, że lekarz właśnie wzruszył ramionami. - Pytał o stan zdrowia pani matki. Tylko tyle.

- Okej, a z jakiego numeru dzwonił? Proszę odsunąć słuchawkę od ucha, włączyć głośnik, sprawdzić połączenia przychodzące i podać mi na głos...

- To jest telefon stacjonarny, droga pani. Jeśli nie ma pani więcej pytań o stan zdrowia pani matki, to zapraszam jutro na oddział.

- Zabraniam panu udzielania jakichkolwiek informacji na temat stanu zdrowia mojej matki. Komukolwiek, rozumie pan? Jeśli nie chce pan mieć kłopotów, doradzam mnie posłuchać. Potrafię wyciągnąć konsekwencje, których...

- Do widzenia! - warknął Szwarz do słuchawki. - Zapraszam na oddział, pani obecność bardziej przyda się matce niż te awantury przez telefon.

Wanda poczuła, jakby ktoś właśnie zadał jej mocny cios w to najsłabsze miejsce, miękkie podbrzusze. Tak, to prawda, od wczoraj nie zainteresowała się matką. Ponadto była więcej niż pewna, że do szpitala nie dzwonił jej ojciec, tylko ktoś, kto miał coś wspólnego z jego uprowadzeniem i prawdopodobnie sprawca tego wypadku.

- Kurwa mać! - krzyknęła i ścisnęła dłonie w pięści, aż zbieleły jej kostki.

Po chwili wybrała numer ojca. Telefon był wyłączony. Spodziewała się tego, ale poczuła lekki zawód i zaczęła tracić wiarę w siebie.

- Piachu... - szepnęła do współnika, który nie spuszczał jej z oka. Stał przy kuchennym oknie, przestępując z nogi na nogę. Jemu też udzieliła się bezradność przyjaciółki. Bez przerwy pojawiały się strzępki informacji, z którymi nie można było nic zrobić, a śnieg nie odpuszczał i zasypywał ich coraz bardziej. Gdyby nie to, pewnie już dawno byłiby w drodze. Dokądkolwiek.

- Dzwonimy do Anki - spytał w tonie oznajmującym. Wiedział, że kontakt ze współniczką, jej dedukcja i plan działania są im w tej chwili najbardziej potrzebne. Nie poradzą sobie bez niej.

– Mhm – przytaknęła Lechicka. – Jestem po prostu beznadziejna. Jeśli nie ma kogoś w sieci, jakichkolwiek e-danych na jego temat, to moje umiejętności można o kant dupy potłuc. A moich rodziców nigdzie nie ma w tym gównie! – Spojrzała wściekłym wzrokiem na laptop. – Rozumiesz? Nic nie potrafię na nich i o nich znaleźć, z trudem wytypowałam te Rybaki, a teraz, po tym wszystkim z tą babcią sołtysa, sama zaczynam wątpić w poprawność tej lokalizacji. No słabiak ze mnie, Piachu.

– Nieprawda. Po prostu wolisz żyć online i tam sprawniej się poruszasz. Nie ma w tym niczego złego, nie wyrzucaj sobie, słyszysz? – Detektyw podszedł do Wandy i delikatnie położył jej dłoń na ramieniu. – Jesteś bardzo dzielną dziewczyną, Wanda.

– Jak to jest, że człowiek w swoich sprawach jest tak totalnie bezradny? – spytała cicho hakerka, nie oczekując żadnej odpowiedzi.

W mieszkaniu na Kobielskiej panował błogi wieczorny spokój. W powietrzu unosił się zapach mandarynek, którymi z taką radością zajadał się Tristan. To był jedyny dzień w roku, gdy pochłaniał je w nadmiarowej ilości. Na stole wciąż leżała rozłożona plansza do gry w pociągi, prezent dla Hany, która uwielbiała budować trasy i rywalizować z wnukiem, a to współzawodnictwo wzruszało Annę. Przy stoliku obok Janusz z Thomasem, mężem Hany, grali w szachy. Najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek widzieli. Był to prezent dla Tristana od dziadka Tadeusza. Istne dzieło sztuki. Najwyższa jakość, wyselekcjonowane drewno bukowe z wciąż wyczuwalnym zapachem, ręczna robota. Figurki z duszą, a do tego w przepięknych kształtach. Thomas Kraus długo z czułością i z wyraźnym wzruszeniem trzymał w dłoniach i oglądał każdą z osobna.

Tristan uwielbiał grać w szachy z dziadkiem Tadeuszem, ale od czasu tego felernego polowania nie usiadł do planszy ani razu, tak jakby pewien rozdział w jego życiu definitywnie się zamknął, bez możliwości powrotu.

Anna wpatrywała się w szachownicę od dłuższej chwili. Jak dalece szachy sprawiały jej synowi ból, że nie chciał ich zabrać z powrotem do domu. Najpierw myślała, że zapomniał, ale gdy przy pożegnaniu chciała mu je oddać, zaprotestował.

– Matko ma, niech lepiej zostaną u ciebie. – Musnął ją w policzek i trzymając ojca pod ramię, wyszli do czekającej przed blokiem taksówki.

Aleks skończył zapełnianie zmywarki, wytarł ręce i podszedł do Anny. Przytulił ją i delikatnie pocałował w szyję.

– Piękne są, naprawdę... – wyszeptał. – Musiały kosztować majątek.

– Dla nas majątek, dla mojego ojca nic nieznaczące kilka tysięcy. To naprawdę jest względne, zależne tylko od grubości portfela. Mnie tym nie kupił, Tristka, jak widać, też nie. Chciałabym już go pochować – dodała i odwróciła się w stronę Aleksa. Uśmiechnęła się do niego z czułością. Biernat jak zwykle miał plastikową opaskę we włosach. Były tak niesforne, że musiał się uciekać do tego gadżetu dla nastolatek. – Po świętach zadzwonię do Harpagona, może jak zacznę naciskać, to ruszą temat pogrzebu. Muszę też zająć się spadkiem. Postanowiłam sprzedać dom na Saskiej Kępie.

– Naprawdę? – Aleks zmarszczył brwi, krzywiąc kąciki ust. – Przecież to jest świetne miejsce, znacznie lepsze niż to blokowisko. – Omiótł wzrokiem mieszkanie i kilkaset małych oświetlonych lokali za oknem.

– Mnie jest tu dobrze. – Wyprostowała plecy, oswobadzając się z uścisku. Dotknęła ją ta uwaga o blokowisku, ale nie chciała drażnić tematu. Nie dziś. Poza tym ktoś wychowany w luksusowym domu, segmencie czy pięknej przedwojennej kamienicy nigdy nie zrozumie zamiłowania do betonowych bloków. Ale tak, można lubić mieszkanie w blokowisku z lat osiemdziesiątych. I te pozory wspólnoty. Sąsiadów, którzy nie są obcymi ludźmi. Mają imiona i zapraszają na kawę. Kto tak robi w tych nowoczesnych pozamykanych enklawach?

– Okej, twoja sprawa. – Aleks podniósł obie dłonie. – A co zrobisz z tymi wszystkimi kwitami z szafy Króla?

– Nie wiem. Pomyślałam, że może porozumiem się z Tobim, może da mi coś w rodzaju listu żelaznego. Niech sam robi z tego wszystkiego użytek, ja już nie mam siły. Nie chcę być żadną wojowniczką o sprawiedliwość dziejową. Mam teraz rodzinę. Na niej mi zależy, a nie na tych politycznych wojenkach. Niech to się wszystko raz na zawsze skończy razem z pogrzebem ojca. Jaki był, taki był, ale należy mu się godny pochówek. To trzymanie w kostnicy za długo trwa. Zdecydowanie. – Anna wzięła do ręki mandarynkę i zaczęła ją obierać. Cytrusy naprawdę najpiękniej pachną w Boże Narodzenie.

– To może załatw to już po naszym powrocie? Fajnie by było, gdybyś wreszcie mogła się wyluzować, zabawić, zapomnieć. Pociąg mamy pojutrze rano. – Aleks wyrwał Annie częśćkę mandarynki i pospiesznie włożył do ust. – Wszystko załatwiłem zgodnie z życzeniem. Hana ma pokój na parterze, pamiętam, że nie lubi wysokości. Tristan za to ma na samym szczycie, z widokiem zatykającym dech w piersiach, serio! Na miejscu będzie czekało na nas auto, wziąłem terenówkę z łańcuchami,

przygotowaną na zakręty śmierci. – Sięgnął po telefon. – Zaraz ci wszystko pokażę...

– Dobrze, dobrze, wierzę ci na słowo. Ja nie umiem tych spraw ogarniać, wiesz, że jestem atechniczna. – Kier posłała partnerowi przepraszający uśmiech.

– Spoko, ogarnę. Cieszę się, że wreszcie wyjedziemy razem! – Biernat odłożył telefon i uklęknął przed szafką z winami. Wyjął pierwszą z brzegu butelkę i zaczął czytać etykietę.

– Dzięki, kotek, że zgodziłeś się na mamę i Tristana. – Anna podeszła do partnera i pocałowała go w czubek głowy. Pomyślała, że tak właśnie wygląda szczęście, ale zamiast się ucieszyć, poczuła niepokój i silne ukłucie pod mostkiem. To wszystko jest chyba zbyt piękne, by mogło być prawdziwe, pomyślała i zerknęła na swoją komórkę.

W tym momencie jej telefon zadzwonił.

– Nie, no to jest chyba jakiś żart – powiedziała na głos i chwyciła za aparat. Gdy zobaczyła, kto dzwoni, usiadła na kanapie i przymknęła oczy. Jeśli miała rację, a przecucie rzadko ją zawodziło, już za chwilę usłyszy coś, co sprawi, że jej szczęście właśnie się zakończy.

– No cześć, co tam się dzieje? – spytała, siląc się na obojętność.

– Nie jest dobrze, znowu mieliśmy wrzuconą racę, tylko tym razem dorwałem gościa – odchrząknął Wiking.

Szef ochrony znalazł się w niezręcznej sytuacji. Z jednej strony stanął na wysokości zadania, z drugiej nie powinien był wcześniej zostawiać Konrada samego. Wiedział, że to on ponosi pełną odpowiedzialność za to, co się wtedy stało.

– I co ci wyśpiewał? – spytała Anna lekko kpiąco. Domyśliła się, jak przebiegała cała ta, pozał się Boże, akcja.

– Niewiele, nie rozumie po polsku. Dostał racę, pieniądze, polecenie, by ją odpalić i wrzucić na posesję. Tyle.

– Pokazałeś mu zdjęcia naszych influencerów? Wskazał zleceniodawcę?

– Anna spojrzała na Aleksa, który wciąż, odwrócony do niej plecami, wybierał wino.

– Mhm, tak, pokazałem – odpowiedział Wiking niezbyt przekonującym tonem. – Sprawca nikogo nie rozpoznał. Ale, Anka, posłuchaj, musisz się nimi zająć, bo sprawy przybrały zły obrót. Mamy coraz więcej gapiów, niby przypadkowych spacerowiczów, a ja przecież widzę, że to nie sąsiedzi, tylko te ciekawskie mordy z Internetu. Ktoś nagrał tę racę i na pewno zaraz będzie tutaj więcej dziennikarskich hien. Załatw to albo się z nim dogadaj. Nie możesz udawać, że nic się nie dzieje, bo wydarzy się jakaś tragedia.

– A może powiem Tobiemu i da tam jakąś dodatkową ochronę policyjną? – Anna wstała nagle, zadowolona ze swojego pomysłu. Ułamała

kawałek makowca i włożyła do ust. – Dwa radiowozy, legitymowanie gapiów, wiesz, tak prewencyjnie. Myślę, że Tobiaszowi też na tym zależy. Dopóki nie pochowam ojca, nie rozpruje tych ścian. No a teraz, skoro dom stał się tak popularny, nikt tam nie wejdzie na krzywy ryj, zresztą Harpagon ewidentnie wycisza sprawę. Wiesz co, Zawadzki miał jednak rację. Ta popularność da nam przez dłuższy czas gwarancję nietykałości. – Anna się zamyśliła. Usłyszała ciche piknięcia w telefonie. To pewnie Tristan napisał SMS-a, że już dojechali z ojcem do domu.

– Nie wierzę w to. Dziś raca, jutro dwie, a pojutrze bomba. – Wiking się wkurzył. – Nie wiem, czy to dziennikarze, czy ludzie Tobiasza, czy jeszcze ktoś inny, ale to są wyraźne sygnały, Anka. Nie dostałaś żadnej propozycji nie do odrzucenia?

– Tylko od Zawadzkiego – odpowiedziała automatycznie.

– No widzisz. Mówię ci, to się może źle skończyć.

– W porządku. Zajmę się tym po powrocie, dobrze? – Przełknęła kęs makowca, który nagle zaczął rosnać jej w gardle. – Melduj mi, co się dzieje, stale macie być we trzech, sytuacja z Konradem nie może się powtórzyć. Czekam na raport rano i wieczorem, okej?

– Tak jest! – Wiking rzucił do słuchawki i się rozłączył. Anna spojrzała na wyświetlacz. Miała trzy SMS-y i dwa nieodebrane połączenia.

– Wanda, to ja, dzwoniłaś! – mówiła pospiesznie Kier do słuchawki, nękana wyrzutami sumienia, że nie była dostępna dla przyjaciółki. – Co tam u ciebie? – dodała, łagodząc zdenerwowanie w głosie.

– Niezbyt dobrze – odpowiedziała hakerka. – Potrzebuję cię. To znaczy, potrzebujemy ciebie z Piachem – dodała cicho. Prośenie o pomoc to umiejętność, z której nie potrafiła korzystać. Dla Wandy była to raczej oznaka słabości i nieudolności życiowej. Trudno jest się do niej przyznać. Nawet przyjaciółce.

– Co się stało? – Kier wyrwała butelkę czerwonego wina z dłoni Aleksa i przytrzymując brodą telefon, zaczęła wbijać korkociąg. Biernat pokręcił głową, wzdychając, ale wybrał kieliszki i postawił na stole. Pokazał też na zegarek, dając jej sygnał, żeby kończyła. To miał być ich wieczór.

– Muszę ci to wszystko opowiedzieć od początku. Na pewno możesz rozmawiać? Nie przeszkadzamy wam?

ROZDZIAŁ 16

[26 grudnia 2019, rano]



Trzydzieści sześć minut i powinna być na miejscu. Zredukowała bieg, wcisnęła pedał gazu i upiła łyk wciąż zimnego napoju energetycznego. Dłużyła jej się ta droga. Monotonna jazda autostradą, pojedyncze samochody, potwornie nudny krajobraz, ekrany dźwiękoszczelne wciągające jak tunel – wprawiało ją to w sennaść. Wyłączyła audiobooka, bo miała wrażenie, że głos lektora brzmi jak u jednego z najbardziej kiedyś znanych rosyjskich hipnotyzerów.

Nagle w samochodzie rozległ się dźwięk komórki. Drgnęła i automatycznie się wyprostowała, ściskając kierownicę. Kliknęła na słuchawkę telefonu w panelu. To Hana.

– Tak? – westchnęła.

– Ania, kochanie, jak się czujesz? – Starsza kobieta mówiła wolno i spokojnie. Jej opanowany głęboki głos był jak kojąca muzyka.

– Fizycznie dobrze. Zostało mi pół godziny – odpowiedziała jak automat, ponownie ściągając łopatki. – Zaraz będę na miejscu.

– To dobrze, bądź ostrożna, bo choć temperatura rośnie, to może być ślisko. Jeszcze kilka dni i prawdopodobnie całkiem zapomnimy o tym śniegu. – Hana się zaśmiała, co wprawiało Annę w lepszy nastrój.

– Mamo...

– Tak?

– Słuchaj, jeszcze raz przepraszam cię za tę sytuację, ale... – Kier załamał się głos. Miała déjà vu. Przechodziła to samo przez te wszystkie cholerne lata na służbie, gdy nie wywiązywała się z rodzinnych zobowiązań. – Ale naprawdę nie mogłam inaczej – kontynuowała.

– Dziecko moje – zaczęła Hana grzecznie, acz stanowczo. – Musisz pomóc Wandzie, tak jak ona pomagała nam, to oczywiste. W dorosłym życiu trudno jest się tak naprawdę zaprzyjaźnić, a wam się udało. Poza

tym, jak ją znam, to bezdyskusyjnie musi stać pod ścianą. I niestety... prawdopodobnie z rękoma do góry.

- Tak, dokładnie tak jest - przytaknęła Anna z wdzięcznością i smutkiem w głosie.

- Rozmawiałam przed chwilą z Tristanem, mam wrażenie, że niespecjalnie przejął się zmianą składu tej wycieczki. Skutecznie go przekonałaś, umiesz z nim rozmawiać, Ania. Damy sobie radę, Thomas będzie grał z Januszem w szachy, a my z Tristem trochę pospacerujemy. Będziemy mogli się lepiej poznać.

- A może otworzy się i powie coś więcej o Królu...

- Zobaczymy, chciałabym, ale nie będę naciskać. Wszystko w swoim czasie, córeczko. Ale wiesz, ja to odbieram jako... hm, dobry znak. A ty jesteś potrzebna Wandzie, i tyle.

- Dzięki, kochana jesteś. Cieszę się, że to rozumiesz.

- Ja tak... - Hanie wyraźnie wyrwało się to zdanie.

- No cóż, są ważniejsze sprawy niż ładne widoki w górskim kurorcie. - Anka zaśmiała się, choć wcale nie było jej wesoło. Wprost przeciwnie. Miała ochotę wyć. Po raz kolejny to samo. Przez całe życie kogoś zawodziła. Rodzinę, szefów w pracy, partnerów. Nigdy nie było sytuacji win-win. Jak to jest, że radość jednych sprawia tyle przykrości innym?

Ale czasem tak się dzieje, że uczucia powinno się odłożyć na bok.

- Ach, bo wiesz, to był od początku głupi pomysł. Powinniście po prostu wyjechać sami. Ty i Aleks. Mam nadzieję, że zrezygnował z tego wyjazdu z powodów służbowych, jak mówił, a nie przez nas, co?

- Tak, tak... - przytaknęła Anna. - Teraz naprawdę dużo się dzieje u niego w pracy, sam to zaproponował. Ustaliliśmy, że po wszystkim wyjedziemy sami, we dwójkę...

- Świetnie! I tak zrobicie, jak tylko wrócisz. Okej? Nie martw się, mała. Jesteś dzielną dziewczyną. A Wanda cię potrzebuje, prawda? Poza tym, co to byłby za odpoczynek, skoro myślami byłabyś z nią. - Hana mówiła do córki w taki sposób, że każde słowo sprawiało jej przyjemność.

- Prawda. Dziękuję ci... mamu. Daj znać, jak dojedziecie na miejsce, dobrze? Poradzisz sobie za kierownicą?

- Oczywiście, a myślisz, że po kim tak dobrze umiesz jeździć?

Tymon Zawadzki uśmiechnął się do ekranu komputera. Nacisnął „zapisz” i mocno odchylił się na fotelu, zakładając ręce za głowę. No, jeszcze chwila i publikujemy. Miał najlepsze ujęcie, jakie można było zrobić. Ta knajpiana miejscówka to jednak idealny punkt obserwacyjny.

Wciągnął powietrze do płuc i zerkał na migające stop-klatki. Ten film zdobędzie tysiące wyświetleń, był tego pewny. Magda co prawda nie podzielała jego optymizmu, ale ostatecznie zgodziła się na publikację. Nie podobał jej się coraz bardziej sensacyjny charakter tej sprawy, ale Tymon potrafił ją przekonać. Potrzebna jest im prawdziwa publiczność, a jej zdobycie wymaga czasu. Na razie budowała się powoli, lecz w końcu przyjdzie ten moment, bo to nie boty śledziły ich profile, lecz prawdziwi, świetnie reagujący odbiorcy. Mocni w komentarzach, wiarygodni w przekonaniach i choć momentami fanatyczni, to z dużym potencjałem. Co ciekawe, ci z Warszawy i okolic przyjeżdżali na Francuską, by na własne oczy zobaczyć Królestwo – tak roboczo nazwali posesję Książopolskiego, co okazało się strzałem w dziesiątkę. A gawiedź lubi fajerwerki, pomyślał i znowu się uśmiechnął. Te filmiki naprawdę są coraz lepsze.

W okienku czatu zobaczył kopertkę. Wrócił do komputera, położył dłoń na klawiaturze i kliknął w powiadomienie.

Dębska: *Tymek, a skąd ty wzięłeś tego gościa z racą?*

Zawadzki: *To nie moja robota* 😏

Dębska: *Jak to?*

Zawadzki: *Ludzie powoli biorą sprawy w swoje ręce.*

Dębska: *Nie możemy przegiąć. Mówisz serio, że to nie ty? To skąd się tam wzięłeś?*

Zawadzki: *Zawsze jestem w odpowiednim czasie i w odpowiednim miejscu.*
Tymon Zawodowiec.

Dębska: *Taa.*

Zawadzki: *Widziałaś, ile mamy wyświetleń? Zaraz będzie rekord. Kurwa, idziemy jak burza!*

Dębska: *Zaraz sprawdzę. Tylko żeby nas piorun nie trafił. Jeśli te kwity potwierdzą twoją teorię, to...*

Zawadzki: *Rozwalamy system. Proste. Dobra, wrzucam filmik. Patrz, co się dzieje!*

Wcisnął „enter”.

Pomarańczowy notes leżał na siedzeniu pasażera. Anna Maria Kier spojrzała na niego jak na jakąś relikwię. Ileż tu jest zapisków!, uśmiechnęła się do siebie. Dopiła resztkę napoju energetycznego i zwolniła. Wjeżdżała właśnie na pierwszą stację benzynową z listy Wandy i Piacha. Na szczęście podjazd z dystrybutorami i sklep świeciły pustkami. Powroty świąteczne zaczną się dopiero za kilka godzin.

Zaparkowała przed wejściem, wysiadła i dokładnie rozejrzała się po stacji. Zlokalizowała większość kamer, zrobiła kilka zdjęć, nagrała krótki filmik ze swoim komentarzem.

- Dzień dobry! - zawołała wesoło do pary młodych sprzedawców z plakietkami „Uczę się”. Dobry znak, pomyślała i postanowiła powiedzieć im prawdę.

- Polecamy kawę i ciastko - odpowiedział znudzonym tonem wysoki chłopak z kępkami rudych włosów na brodzie. Wypowiadając tę rekomendację, nie podniósł nawet wzroku na klientkę.

- Słuchajcie, mam ważny temat! - Anna rozpięła kurtkę i podciągnęła rękawy. - Potrzebuję waszej pomocy. - Zbliżyła się i zaczęła mówić konspiracyjnym szeptem, co sprawiło, że niska brunetka za kasą przestała układać papierosy i odwróciła się z zaciekawieniem, a chłopak zmarszczył brwi i bacznie się jej przyjrzał. - Sprawa jest naprawdę ważna - podkreśliła Kier, podnosząc nieco głos, ale po chwili ponownie uderzyła w teatralny szept. - Pogadajmy na serio.

- Kierownik jest... - Rudzielec wskazał ręką na zaplecze, ale detektywka pokręciła energicznie głową i położyła palec na ustach.

- Dajmy mu spokój, niech odpoczywa po świętach. - Puściła do nich oko, co wyraźnie uspokoiło dziewczynę za ladą. - Słuchajcie, temat jest taki: szukam moich rodziców, powinni wrócić na święta, ale niestety, no cóż, rozplynęli się w powietrzu. - Anna rozłożyła bezradnie dłonie. - Spokojnie - dodała naprędce - to już im się zdarzało, a policja dopiero jutro przyjmie zawiadomienie. Zanim jednak zacznę zawracać im tyłek, muszę się upewnić, czy rzeczywiście byli w drodze i...

- No dobra, ale co my mamy z tym wspólnego? - Chłopak ewidentnie odzyskiwał rezon.

- Wiem, że tankowali tu u was w nocy z dwudziestego trzeciego na dwudziestego czwartego grudnia. - Kier zerknęła na monitor z podzielonym ekranem stojący w rogu za ladą. - Możecie mi sprawdzić, czy naprawdę tu byli? Właśnie podążam ich tropem.

- No ale... - Rudzielec zerkał niepewnie na koleżankę, która odłożywszy trzymaną w ręce paczkę papierosów, na chwilę zacisnęła usta, a potem się odezwała:

- Wyluzuj, Damian! Ja to pani sprawdzę. - Podeszła do monitora i zaczęła klikać. Na jej twarzy pojawiały się refleksy świetlne. - Jaki samochód, numer rejestracyjny.

Anna zerknęła do komórki na zdjęcie z policyjnego parkingu.

- Biała kia sorento. - Odczytała dane i podała przybliżoną, oszacowaną przez Wandę godzinę tankowania. Sprzedawczyni po krótkiej chwili klikania przekręciła ekran w stronę Anny.

- Proszę popatrzeć. Mamy to!

Na monitorze pojawił się wskazany samochód. Auto podjechało pod dystrybutor. Od strony pasażera wysiadła kobieta, która zajęła się tankowaniem.

- Masz może zbliżenie na twarz kierowcy? - spytała Kier, bacznie śledząc wydarzenia na ekranie.

- Nie, tylko to, co widać.

Kobieta na filmie skończyła tankować i weszła do środka, by zapłacić. Dziewczyna sprawnie przesunęła nagranie, po chwili zobaczyły na ekranie obraz z kamery w środku. Kobieta zrobiła sobie kawę, zapłaciła za wszystko i wolno wyszła. Anna, nie pytając o zgodę, zrobiła kilka wyraźnych zdjęć. Tu, w sklepie, jakość nagrania była naprawdę dobra. Następnie babka wsiadła od strony pasażera i auto odjechało. Twarz kierowcy ani razu nie pokazała się na nagraniu.

- Cholera jasna... - Anna przekłęła nerwowo. - Macie jeszcze inne kamery? Muszę sprawdzić, kto prowadził! - dopowiedziała szybko, widząc podenerwowanie w oczach rudzielca.

- Nie, tylko to, co pokazałam - oznajmiła dziewczyna z lekką wyższością w głosie i ostentacyjnie odwróciła monitor w swoją stronę. Na ekranie pojawiła się złota skoda fabia.

- Jest szansa na to nagranie? - Anna wyjęła z kieszeni przygotowanego pendrive'a.

- Nie bardzo. - Sprzedawczyni pokręciła głową, łapiąc się pod boki.

- Oj, dawaj już. - Chłopak wyrwał Kier nośnik i rozglądając się nerwowo, podpiął go do komputera.

Anna się uśmiechnęła. Jest 1:1, pomyślała i podeszła do ekspresu z kawą. Duża latte z podwójnym mlekiem powinna wystarczyć do następnej stacji z trasy państwa Lechickich.

Ale nie pojawiło się więcej informacji. Kolejna stacja benzynowa, na której matka Wandy kupowała kawę, nie dysponowała już nagraniem od ręki, a dostęp do archiwum wymagał zgody menedżera. Z kolei kamera z przydrożnego baru z bankomatem filmowała tylko kasę z alkoholem. Nietrafiony punkt.

- Wanda, jaka sytuacja? - Kier włączyła tryb głośnomówiący i wcisnęła pedał gazu. Z nadmierną prędkością minęła wjeżdżające na szpitalny parking karetki. Kierowca jednej z nich popukał się w czoło. Miała ochotę pokazać mu faka, ale wiedziała, że miał rację. Była wściekła na siebie i na nic niewnoszącą rozmowę z lekarzem dyżurnym. Nie zdobyła ani jednej istotnej informacji. Niedobrze. No, oprócz tego, że potwierdziła

poprawiający się stan matki przyjaciółki. To w tym wszystkim było najbardziej budujące.

- Za dwie godziny powinniśmy wyjechać - odpowiedziała Wanda, sapiąc do słuchawki. - Zabieram wszystko, co się może przydać. Dokumenty, zdjęcia, no wszystko. Główna droga jest już prawie przejezdna, nie pada. Jak tylko odśnieżarki dotrą do nas, spieszymy stąd!

- Posłuchaj mnie. Moim zdaniem ktoś musi zostać w domu, na wypadek gdyby twój ojciec jednak się w nim pojawił. Nie ma sensu, żebyśmy do Rybak - czy Rybaków - jechali we trójkę, prawda? - stwierdziła raczej, niż spytała, Anna. Wanda odruchowo przytaknęła. - Trzeba się pokręcić po okolicy, powęszyć, popytać sąsiadów, ale nie tych najbliższych. Sklepy, knajpy...

- Ale on nigdzie nie chodził... - zaproponowała niezbyt stanowczo hakerka.

- Widziałas go ostatni raz osiem lat temu. Sorry, ale jest tam co robić, Wanda. Wyślij mi pinezkę, niedługo powinnam być na miejscu. Kupię coś do jedzenia, zrobimy naradę we trójkę, podzielimy się robotą i wspólnie zastanowimy się, co dalej. Jesteśmy dream teamem!

- Mhm.

- A do tego czasu pogrzeb jeszcze w przeszłości rodziców. Wieś matki, sąsiednie miejscowości. Proszę, skup się tylko na tym, ryj w tym Internecie, jak najlepiej potrafisz, i nie myśl o niczym innym. Skup się, Wanda. Niedługo będę i rozwiążemy tę sprawę. Obiecuję ci.

ROZDZIAŁ 17

[26 grudnia 2019, wieczorem]



Gdy tylko Anna Maria Kier przekroczyła próg rodzinnego domu Lechickich, współpracownicy wpadły sobie w ramiona. Wanda wyraźnie była mniej spięta niż zwykle. Piasecki patrzył na kobiety ze wzruszeniem. Stał w korytarzu, podpierając framugę, i oddychał pełną piersią. Czuł, jak mięśnie rozluźniają mu się pod wpływem ulgi. Nareszcie. Jak dobrze, że Anka przyjechała.

– Cześć, druhu! – Kier puściła do niego oko i ściskając za rękę Wandę, dodała: – A za niewtajemniczenie mnie natychmiast w taką sprawę macie naganę z wpisem do akt! – Zaśmiała się, grożąc im palcem. – Wybaczcie, ale dziś są jeszcze święta, więc mam tylko mrożoną pizzę – szybko zmieniła temat.

Podniosła z podłogi siatkę z zakupami i ruszyła do kuchni, gdzie roznosił się zapach świerku. Te kilka gałązek w wazonie przypominało im, co to za czas.

Piasecki, który szybko odnalazł się w tej sytuacji, włączył piekarnik, Wanda w tym czasie oprowadziła Kier po domu, pokazując pomieszczenia i objaśniając istotne kwestie organizacyjne. Następnie Lechicka ściągnęła z komórki Anny nagrania i zdjęcia z odwiedzanych przez nią stacji.

Gdy wreszcie we trójkę usiedli do stołu, zapadł zmierzch. Mimo że dochodziła dopiero siedemnasta, świat za oknem wyglądał, jakby szykował się do snu, przykryty pierzyną z białego śniegu, który otulając krajobraz, napełniał go spokojem.

– Kochani, to co? – Kier przełknęła ostatni kęs pizzy, klasnęła w dłonie i wstała. – Bierzemy się do roboty.

Odstawiwszy talerz do zlewu, położyła na stole swój notes, usiadła z powrotem, podsuwając krzesło, zdjęła skuwkę z pióra i odchrząknęła.

- Zbieramy wszystkie fakty do kupy, a potem dzielimy się robotą. – Spojrzała na Wandę. – Dawaj, referuj wszystko po kolei. Nieważne, że już raz mi to mówiłaś.

- Zakładam, że nie jestem wariatką, co próbują mi wmówić na komisariacie – westchnęła przeciągle Wanda, po czym spojrzała w sufit. Wspólnicy puścili ten wstęp mimo uszu. – No dobra. Opieram się na tym, co wiem i przeczuwam, a nasze śledztwo... Boże, jak to brzmi – znowu westchnęła – to zweryfikuje. – Podciągnęła kolana pod brodę, objęła dłońmi nogi i wpatrując się w jeden punkt, zaczęła mówić. Widać było, że ma to wszystko poukładane w głowie i gruntownie przemyślane. – Moi rodzice wyjechali z Niemiec dwudziestego trzeciego grudnia w nocy. Po drodze zatrzymywali się na dwóch stacjach benzynowych, kadry z monitoringu to potwierdzają. Na obydwu jest moja matka i ich samochód. Ponadto wypłaciła sporo gotówki, w sumie trzydzieści tysięcy złotych. Dodam, że w portfelu mamy nie ma tych pieniędzy. Ponadto wiem, że nie prowadziła samochodu, potwierdza to nagranie z monitoringu na pierwszej stacji. Zajmuje na nim miejsce pasażera, twarz kierowcy pozostaje w cieniu. Utrzymuję, że to mój ojciec, ale prawdopodobnie jestem sama w tym przekonaniu. – Rozejrzała się nerwowo dookoła. – Nad ranem, kilkanaście kilometrów przed domem, auto rodziców wpadło w poślizg. Lub ktoś do tego doprowadził. Tak czy siak, samochód uderzył w pas zieleni. Matka została ciężko ranna, jej stan jest krytyczny, a po ojcu nie ma śladu. Z jej obrażeń i z ustaleń policji wynika, że to ona prowadziła, w co nie wierzę, bo wiem, że nie jeździła dobrze i nie odważyłaby się ruszyć sama w tak długą trasę, zwłaszcza zimą.

- Chwileczkę... – Anna podniosła rękę. – Dlaczego uważasz, że tym kierowcą był twój ojciec? A może... Sorry, ale mógł to na przykład być jej kochanek. Albo koleżanka. Albo ktoś, komu była winna trzydzieści tysięcy złotych.

- Dokładnie! – zgodził się z nią Piasecki, uważnie przysłuchujący się każdemu jej słowu. Chyba przy żadnej z wcześniejszych spraw nie był tak skupiony jak przy tej.

- Kurwa, nie pomyślałam o tym – wyrzuciła z siebie nerwowo Wanda. – Ale przypominam wam, że mam w głowie informację – hakerka zrobiła z ust dzióbek – „Córeczko, wracamy z tatą na święta do domu. Przyjeżdż, będzie jak dawniej”.

- To prawda, ale nie zostało powiedziane wprost: „Wracamy razem jednym samochodem”, no i nic tego nie potwierdza. – Piach wyprostował się na krześle. – Przypominam ci, że ostanie osiem lat spędziłaś z dala od tego domu i rodziców. A może oni od dawna żyją inaczej, niż myślisz? Może na przykład się rozstali i ojciec przyjedzie tylko na spotkanie z tobą?

Jego warsztat jest pusty. Nie ma tu żadnych jego dokumentów. Nikt go od dawna nie widywał. Dziwne, nawet koleżanka z pracy, ta... jak jej tam... Eva Green, nie wie, czy ojciec w Niemczech był, czy nie był, a baby przecież bez przerwy zdają sobie relacje, z każdego kroku. Nawet jak idą sikać.

– Spokojnie, Piachu! – Anna podniosła rękę, uśmiechając się dyskretnie. Uwielbiała taką atmosferę w swoim zespole. Zaangażowanie na dwieście procent. – Zaraz do tego dojdziemy, choć masz rację, na razie układamy chronologię – dorzuciła pojednawczym tonem.

– Tak, to prawda... – wyszeptwała Wanda. – To są teraz obcy ludzie.

– Ustalmy fakty. Mów dalej. – Kier postukała piórem w notes.

– Fakty są takie, że z ojcem nie mam żadnego kontaktu, nie wiem, gdzie przebywa, nie wiem, czy żyje, i nie wiem, kto był sprawcą wypadku, w którym ucierpiała moja matka. Z jednej strony nie mogę go namierzyć ani przez BTS-y, ani w sieci, ani przez rodzinę. Ten facet po prostu się rozplątał, a jeszcze dzień przed Wigilią dzwonił do mnie. Jego telefon jest wciąż wyłączony, ustawiłam alert.

– Skąd wiesz, że to on, skoro nie odebrałaś? – spytała delikatnie Anna.

– Prawda. Nie wiem, ale zakładam, że zwykle z komórki korzysta jej właściciel.

– Pod warunkiem, że ma taką możliwość. Ale dobrze, idziemy dalej – ponagliła współpracowniczkę Kier.

– Wiecie co, zachowanie obiektywizmu w swojej sprawie jest cholernie trudne – stwierdziła nagle Wanda i się zamyśliła. – A właściwie niemożliwe.

– No, to podstawowa zasada w naszej branży. – Piach rozłożył ręce jak ksiądz na kazaniu, ale współpracowniczki nie zwróciły na niego większej uwagi.

– Kolejny fakt jest taki, że mój ojciec lub ktoś, kto się za niego podawał, zadzwonił do szpitala i spytał o matkę – kontynuowała Lechicka, starając się zebrać myśli.

– Temu musimy się uważnie przyjrzeć – odparła w zamyśleniu Anna. – Jeśli ktoś jechał z nią i był sprawcą, to zwyczajnie upewnia się, czy żyje. A jeżeli był to jednak twój ojciec, który wiedział, że jechała z kimś innym, to może się czegoś obawia albo zwyczajnie się o nią martwi. To bardzo ważny punkt – dodała i postawiła w notesie wykrzyknik.

– Nie mam żadnych danych na temat mojej rodziny, żadnych. – Wanda głośno wypuściła powietrze, by zyskać czas do namysłu. – Nie znam swoich babć, ciotek i innego kuzynostwa. – Przewróciła oczami ze zniecierpliwieniem. Widać, że zaczęła zdawać sobie sprawę z nieoczywistości tej sytuacji. – Ustaliłam, skąd ojciec pochodził, ale jak wiecie, babcia sołtysa to jakaś staruszka z demencją.

- Sprawdzimy to. - Anna zapisała coś w notesie. - Wanda, a teraz najważniejsze pytanie. - Kier wbiła wzrok we współniczkę. - Czy twoi rodzice mają lub mieli jakichś wrogów?

- Skąd mam to wiedzieć?!

- Może mama powiedziała ci coś dziwnego podczas rozmowy przez telefon? Albo kiedy się ostatnio widziałyście za granicą. Może wspominała, że czegoś lub kogoś się boją? Może mówiła o problemach? Pomyśl, proszę.

- Gdzie tam! - Wanda się zaperzyła. - Ona mówiła tylko o dziewczynach z pracy, promocjach w supermarketach albo krytykowała mnie, w zawaalowany sposób rzecz jasna, cedząc czułe słówka. Mistrzynie neggingu!

- Czego? - Piach zmarszczył brwi i podrapał się po brodzie, jakby się pogubił.

- Pseudokomplementy. Wiesz, takie manipulowanie emocjonalne, żeby cię zgnoić lub wpędzić w kompleksy - powiedziała Lechicka pozornie obojętnym tonem.

Wspólnicy wiedzieli, jak dużo kosztowało ją to wyznanie.

- No co tak patrzycie?

- Ja nic nie rozumiem. - Piach szybko pokręcił głową, marszcząc brwi. - Daj jakieś przykłady.

- Proszę. - Wanda złożyła usta w dzióbek, a jej głos przeszedł w falset: - „O, jak ładnie dziś wyglądasz, nie poznałam cię”. Albo: „Wspaniale, że masz nową pracę! To fajnie, że ktoś jednak chciał cię zatrudnić”. Albo: „Gratuluje ci awansu, życzę ci, żebyś zawsze wierzyła w siebie, bez względu na to, co ludzie gadają”.

W kuchni zapanowała cisza. Wszyscy zastanawiali się nad tym, co właśnie usłyszeli. Wanda miała rację. To nie były komplementy.

- Ale dajmy już spokój, niech sobie tak gada - dodała Lechicka, by rozrzedzić zgęstniałą atmosferę. - Niech gada. Poza tym nadawanie o problemach ich nie rozwiąże. - Wanda machnęła ręką, dając do zrozumienia, że nie chce dłużej o tym mówić.

- Wierzę, że z tego wyjdzie. Naprawdę. Lekarze też są dobrego zdania - powiedziała Anna i próbowała pogłaskać Wandę po rękę, ale hakerka dyskretnie ją odsunęła.

- No dobrze. - Kier uznała to zachowanie za powrót do formy. - A w komórce nie ma dziwnych SMS-ów, gróźb, kłótni z ojcem?

- Gdzie tam, mama nie lubi pisać, telefon służył jej do dzwonienia. - Hakerka teatralnie przewróciła oczami.

- Co ci się udało wygrzebać w sieci? - spytała od razu Kier, nie pozwalając na rozprężenie.

– No właśnie niewiele. Większość dokumentów w tym domu dotyczy mnie.

– Okej. To plan jest taki. – Anna odchrząknęła i podzieliła kartkę w notesie na trzy kolumny. – Piachu, ty zostajesz tutaj i czeszesz okolicę, bliższą i dalszą. Może dowiemy się, kto podlewa te kwiatki. – Kiwnęła głową w stronę schodów. – Knajpy, cmentarze, sklepy, bazy, targi staroci. Skoro robił w drewnie, to może gdzieś tu handlował i znajdziesz klientów pana Lechickiego. Krótko mówiąc, rozmawiasz z każdym. Te wasze okołosąsiedzkie rozpytania są, hm, delikatnie mówiąc, amatorskie i niekompletne. Ponadto spisuj tutaj i dasz nam znać, gdyby ojciec się pojawił lub gdybyś wpadł na jakikolwiek trop.

– Tak jest! – Piasecki uśmiechnął się i klasnął w dłoń. – Jutro już koniec świąt, to będzie mi zrzęczniejsze.

– My natomiast jedziemy do Rybaków. – Anna spojrzała na Wandę z czułością. – Najpierw babcia sołtysa, sąsiedzi i ościenne wsie. Ktoś musi ich pamiętać. I musi być gdzieś jakaś rodzina. Po prostu musi. Chyba że... – Kier zawiesiła głos i spojrzała na współniczkę. – Chcesz tu zostać ze względu na mamę?

– Nie dam rady siedzieć beczynnie. – Wanda pociągnęła nosem.

– Jakby coś się działo, to... ja jestem – zaproponował nieśmiało Piach.

– No właśnie, powinniśmy formalnie zgłosić zaginięcie twojego ojca. – Anna spojrzała na przyjaciółkę, marszcząc brwi. – Trochę szkoda czasu, bo przed nami kawał drogi – zaczęła się zastanawiać. – A ty możesz załatwić to z tym twoim tutejszym kontaktem? – zwróciła się do Piacha, który w odpowiedzi ochoczo przytaknął.

– Tylko jakąś fotkę dajcie. Ja człowieka na oczy nie widziałem.

– Ja też nie mam, a nie natknęłam się na żaden album. To jest, kurwa, naprawdę dziwne. Zobaczę w telefonie mamy. – Wanda odblokowała smartfon i zajrzała do galerii. Po krótkim scrollowaniu podniosła wzrok na wyczekujących współników. – Nie uwierzycie. Nie ma. Matka fotografowała głównie pomieszczenia biurowe. Jak się domyślam, te, które sprzątała, albo jakieś butelki z detergentami.

– To nic nadzwyczajnego – westchnęła Anna. – Starym ludziom rzadko robimy zdjęcia. Ludzie zwykle zachwycają się dziećmi i zwierzętami – dodała cicho. Sama przyłapała się na tym, że wciąż nie ma w komórce żadnej aktualnej fotki matki. Ale Tristana owszem. I to kilka. Przytomnie zaproponowała jednak jeszcze jedno rozwiązanie: – Wanda, a może chcesz zostać z Piachem? To w końcu twoja okolica i może będzie ci łatwiej? Poza tym chyba masz tu stare koleżanki? No, kogoś, kto ci coś więcej powie?

– Nie miałam ani jednej, poza Kaśką, ale ona nigdy nie przyzna się do naszej relacji. Ma męża, dzieci. – Wanda zagryzła wargi. – Nikt mnie tu

nie lubił, Anka. Byłam zawsze samotna. Tak jak mój ojciec. Chcę poznać jego korzenie. Jadę z tobą.

ROZDZIAŁ 18

[27 grudnia 2019, rano]



Droga do Rybaków zajęła im prawie sześć godzin. Za Białymstokiem warunki atmosferyczne znowu się pogorszyły, pokonanie dróg, choć były przejezdne, sprawiało im dużą trudność, a zmęczenie narastało z każdym kilometrem.

Anna Maria Kier westchnęła głęboko i wyprostowała się, mocniej ściskając kierownicę.

- Jedziemy prawie pod samą Białoruś, to naprawdę kawał drogi - stwierdziła, odchrząkując.

- Obyśmy znalazły to, czego szukamy - odpowiedziała Wanda w zamyśleniu. Zerknęła na okolicę. Szybko zapadający zmierzch nie był ich sprzymierzeńcem. Wąskie drogi, dookoła złowieszczo wyglądający las i ta ciemność spowijająca okolicę jak woal. Jedynie śnieg skrzył się w światłach reflektorów, dając im złudne poczucie jasności i bezpieczeństwa.

- Bez tych informacji nie wracamy, głowa do góry! - Detektywka uśmiechnęła się do współniczki. - No, już za kwadrans będziemy u tego twojego sołtysa. - Kier spojrzała na GPS. - Straszne tu zadupie! - dodała, wjeżdżając do miejscowości. Pojawiły się pierwsze drewniane zabudowania, domy ogrodzone płotami, przy nich ławki. - Ale czysto i schludnie. Letniskowo.

- Mój ojciec pasuje do tego miejsca. - Lechicka przysunęła twarz do przedniej szyby i zaczęła uważniej przyglądać się okolicy. - On lubi ciszę, spokój, samotność. Dziwne, że wyjechali z matką tak daleko, aż za Łódź. Naprawdę nic z tego nie rozumiem.

- Pewnie za pracą, bo co tutaj można robić? - skonstatowała przytomnie Kier. - Prowadzić agroturystykę? Nie każdy ma takie

możliwości. A jak sędzę, liczba miejsc u pograniczników była wówczas ograniczona. Dla wybranych.

– Ojciec z tą swoją stolarnią idealnie by tu pasował. O, dojeżdżamy. – Wanda ucieszyła się i wskazała dłonią wiszącą na furtce czerwoną metalową tabliczkę. – To w końcu urzędnik państwowy, prawda? – Wysiadła energicznie, gdy tylko skoda fabia zatrzymała się przed posesją.

– Poczekaj, spokojnie, musimy grzecznie. – Anna dołączyła do współpracownicy i mocniej naciągnęła czapkę, bo poczuła przejmujący chłód. – Dzwoni.

Ale nim Wanda wcisnęła przycisk, włączyło się nad nimi mocne światło, a w oknie dojrzały ciemną postać. Usłyszały tępy dźwięk odryglowywanych zasuw i donośne szczekanie psa.

– Spokój, Tina! – krzyknął mężczyzna, który wreszcie uporawszy się z zamkami, wyszedł na zewnątrz. Pies zaskomlał i natychmiast się uciszył. – Kto tam? – Sołtys zrobił z dłoni daszek, ponieważ świecąca nad współpracownicami lampa go oślepiła.

– My do sołtysa! Dzień dobry! – zawołała Anna i zamachała przyjaźnie do młodego mężczyzny wciąż stojącego na ganku. – Mamy sprawę!

– Już, już idę! – Gospodarz włożył trzymaną w ręce kurtkę i podszedł do furtki. Wysoki, szczupły, z długimi włosami, delikatnym wąsem, kozią bródką i młodzieńczymi pryszczami na twarzy. Wanda zmarszczyła brwi z niedowierzaniem. Sołtys nastolatek? Zachciało jej się śmiać.

– Michał Soroka? – spytała z rozbawieniem w głosie.

– Zgadza się. – Mężczyzna nacisnął klamkę i furtka otworzyła się z delikatnym piskiem. – W czym mogę pomóc?

– Musimy porozmawiać. Możemy wejść do środka? Strasznie zimno. – Kier, nie czekając na odpowiedź, ruszyła do przodu z takim impetem, że sołtys aż odskoczył, by zrobić jej miejsce.

– Tak, tak – wymamrotał zaskoczony, po czym ruszył za nieproszonymi gośćmi. Otworzył drzwi wejściowe i znaleźli się w wiatrołapie. Na posłaniu leżał czarny pies, duży mieszaniec, a w pomieszczeniu roznosił się nieprzyjemny zapach mokrej sierści. Wanda stłumiła odruch wymiotny, zasłaniając usta. Pies zaczął kręcić się między nimi, wprowadzając dziwną nerwowość.

– Leżeć, Tina. Posłanie! – Sołtys wydał komendę zdecydowanym, niskim, męskim głosem i wskazał legowisko. Pies posłusznie się na nim położył, bacznie obserwując przybyłych.

– Nazywam się Wanda Lechicka. – Hakerka odsłoniła usta, powoli przyzwyczajając się do mdłego zapachu. – I to ja do pana dzwoniłam w sprawie mojego ojca.

– A tak, kojarzę.

- Czy mogłybyśmy porozmawiać z pana babcią? – przejęła inicjatywę Kier. – Jest prawdopodobnie jedyną znaną nam osobą, która kjarzy rodzinę mojej przyjaciółki.

- No cóż, nie bardzo. – Sołtys bezradnie rozłożył ręce. – Babcia nie czuje się najlepiej, po naszej rozmowie żona musiała podać jej krople na serce. No przykro mi, ale nie mogę pozwolić teraz na ponowny kontakt. – Mężczyzna westchnął i wzruszył ramionami. – Żona jest teraz w pracy, wraca rano, a wolałbym, żeby ewentualnie przy tym była.

- Okej, rozumiemy, to może spróbujemy jutro? Zostaniemy tu kilka dni. – Anny nie zniechęciła nieprzychylna postawa sołtysa, nieraz znajdowała się w podobnych sytuacjach.

- No nie wiem...

- Przecież chce nam pan pomóc, prawda? To jest naprawdę ważna sprawa. Proszę chociaż spróbować nas zrozumieć. Trudno tu dojechać. Może jutro, jak będzie widno – zagadała Kier. – Pan nie jest stąd, prawda?

- Nie. Poznałem Karolinę na studiach, a ponieważ jej rodzice nie żyją i ma babcię pod opieką, postanowiłem osiąść razem z nią. Tu jest naprawdę w porządku, tylko może teraz nie bardzo to widać. – Michał Soroka posłał współpracownikom mało przekonujący uśmiech. – Pozyskałem fundusze na plac zabaw, może w tym opuszczonym domu zrobimy prowizoryczny dom kultury. Ludzie są tu mili. – Sołtys chwalił się swoimi osiągnięciami, najwyraźniej zdając sobie sprawę ze swojego niepozornego wyglądu. – No i jestem nowoczesny, w młodości siła! – Uśmiechnął się ponownie, by podnieść swoją wartość, której nie widział w oczach przybyłych kobiet. – Zamierzam zrobić stronę naszej wsi, ale na razie nie mam fachowca. Od maja mamy już pierwszych letników i przydałaby się reklama, tylko że ja się na tym nie znam, jestem po filozofii, i to wszystko to dla mnie czarna magia. Potrzebuję kogoś, kto by to zrobił w rozsądnej cenie i...

- Pomogę ci z tą stroną, jestem informatyczką. Do maja będziesz miał najlepszą stronę na świecie – wtrąciła się Wanda. – To nie kłopot, ale coś za coś. Chcemy pogadać z twoją babcią i żoną. Będziemy jutro w samo południe, okej? – Lechicka wbiła w niego ostre spojrzenie.

- Dobrze, przyjedźcie, niech już będzie. Aha, co do strony, to spisujemy umowę, u mnie wszystko jest elegancko w papierach. A mogę liczyć na jakiś rabat? Mój budżet nie...

- Taa, jasne! – Lechicka machnęła ręką i uśmiechnęła się pod nosem.

Pierwszym miejscem, do którego zaraz po zgłoszeniu u Gryfa zaginięcia Jana Lechickiego udał się detektyw Ireneusz Piasecki, był Gościniec u Krystyny. Po ostatnim ciągu alkoholowym nie miał odwagi napić się czegoś procentowego przy współniczkach, ale skoro został sam, to zdecydował się na jedno małe piwo i dewolaja z frytkami. W skromnej knajpie na parterze, urządzonej w domu gościnnym, były tylko dwa drewniane stoły z plastikowymi białymi krzeselkami. To w zupełności mu wystarczyło, by zjeść obiad i napić się upragnionego trunku.

Zamówił zestaw i usiadł wygodnie przy jednym ze stolików. Przesiąknięta zapachem oleju knajpa świeciła pustkami. Przez prawie dwie godziny, które tam spędził, nie pojawił się ani jeden klient. Niedobrze, pomyślał.

– Tylko gotówka – oznajmiła kelnerka, zabierając pusty talerz. Młoda dziewczyna z kilkucentymetrowymi tipsami nie była skora do rozmowy. Wciąż znikwała za barem, nie wykazywała najmniejszego zainteresowania klientem.

– Okej, wiadomo! – Piach puścił oko do kelnerki i udał się za nią do baru. Dziewczyna spojrzała na niego spode łba. Czuł się jak intruz.

– Zaraz dam paragon – wymamrotała w końcu, wbijając rachunek na kasę. Włożyła do ust listek gumy, zmrużyła oczy i zrobiła skrzywioną minę.

– E tam, ja nie z urzędu. – Detektyw puścił oko. – Szukam pewnego mężczyzny... – zaczął wreszcie, siłąc się na pewność w głosie. – Zaginął, jego rodzina poprosiła mnie o pomoc.

Dziewczyna przymknęła oczy i zrobiła dużego balona. Ten pękł jej na twarzy. Oblizwała usta i beznamyślnie zerknęła na Piacha.

– A co ja tam wiem – bąknęła w końcu, podczas gdy Piasecki czekał w milczeniu, nie spuszczać jej z oka.

– Nazywa się Jan Lechicki i...

– A, ten dziwak. – Kelnerka domknęła brzuchem szufladę kasy i ponownie zrobiła dużego balona.

Cierpliwość Piaseckiego była na wyczerpaniu.

– Dlaczego dziwak? – spytał zaskoczony, nie dając po sobie poznać, że zbiła go z pantaląku.

– Mruk taki, nigdy się nie odzywał, zawsze siedział sam. Nie rozmawiał z nikim.

– Kiedy ostatni raz tu był?

– Oj, dawno, nie pamiętam. Rzadko bywał.

– A miał tu jakichś kumpli?

– Gdzie tam! On chyba trochę nienormalny był. – Kelnerka zaśmiała się lekceważąco.

– Okej, to może wrogów? Ktoś go tu nie lubił? Może załazł komuś za skórę? – Piach nie ustępował, ostatkiem sił powstrzymując się przed potrząśnięciem tym dziewczyskiem.

– Nie wiem.

– Kiedy był tu ostatni raz? To ważne, proszę sobie przypomnieć.

– Kilka dni temu.

– A kiedy dokładnie? – Piasecki niemal warknął, czując rosnące zdenerwowanie. Czyli to nieprawda, że ostatni miesiąc spędził w Niemczech.

– No, przed świętami jakoś.

– Ile przed tymi świętami? Miesiąc, tydzień? – Detektyw tracił panowanie nad sobą. – To kluczowa informacja, do cholery!

– No z tydzień, maksymalnie dwa – odpowiedziała kelnerka drżącym głosem.

– Dobrze, to ważne, dziękuję. Mam prośbę. Gdyby się pojawił albo gdyby ktoś o nim opowiadał lub o niego pytał, to czy może pani do mnie zadzwonić? – Piach wziął do ręki długopis i na serwetce zapisał swój numer. – To jest naprawdę bardzo ważne. Jestem prywatnym detektywem i współpracuję z policją, okej? – Wbił spojrzenie w mocno już wystraszoną kelnerkę. Dziewczyna przytaknęła nerwowo.

Ireneusz Piasecki wyszedł z Gościńca u Krystyny i zapalił papierosa. Dostrzegł przez szybę, że dziewczyna bierze do ręki serwetkę z numerem i zaczyna gdzieś dzwonić. No ciekawe, pomyślał i splunął na żwir wyznaczający miejsca parkingowe. Będzie musiał tu wkrótce wrócić.

Janusz Kier został w swoim luksusowym pokoju. Uważał to wszystko za zbytek. Wystarczy łóżko i łazienka, po co te ekstrawagancje? Pokręcił głową ze smutkiem. Nie miał ochoty na spacer, podziwianie widoków i rozkoszowanie się białym puchem. Gdyby nie prośba Anny, nie zgodziłby się na ten wyjazd. Ale przecież Hana to dla Tristana wciąż obca osoba i obecność ojca była potrzebna synowi. Zrobił jak zawsze, ale był zły za to na siebie. To nie jest najlepszy czas, by opuszczać Warszawę. Powinien mieć na wszystko oko, szczególnie po tym, co w drodze do Zakopanego pokazał mu syn. Okazało się, że powstał jakiś program internetowy, a jego twórcy zajęli się szafą Króla. Filmiki sprzed „Królestwa”, te z odpalonymi racami, naprawdę go przeraziły. To wszystko zrobiło się niebezpieczne. I tylko on wiedział, jak bardzo.

Podszedł do drzwi wejściowych, przyłożył ucho i upewniwszy się, że nikogo za nimi nie ma, otworzył walizkę na łóżku. Co prawda sprawdzał już tę kieszeń z tysiąc razy, ale wołał jeszcze raz potwierdzić, że ma to przy sobie. Włożył dłoń do płaskiej kieszeni wewnątrz bagażu i upewnił się, że przedmiot jest na swoim miejscu. Pomacał palcami jeszcze raz i oddychając głęboko, zamknął walizkę, po czym ustawił szyfr. Schował bagaż do szafy, którą następnie zamknął na klucz.

Poczuł nagłe zmęczenie, jakby ciało zalewał mu ciężki ołów. Usiadł na łóżku i pomasował skronie. Tępy znajomy ból rozsadzał mu czaszkę. To pulsowanie było nie do zniesienia. Musiał się natychmiast uspokoić. To tylko nerwy, tłumaczył sobie. Omiótł wzrokiem apartament. Na stoliku na szczęście stała butelka z wodą, a w wewnętrznej kieszeni marynarki, jak na posterunku, znajdowało się wybawienie. Wyjął fiolkę, wysypał na dłoń dwie tabletki i starał się uspokoić oddech. Wszystko będzie dobrze.

ROZDZIAŁ 19

[27 grudnia 2019, wieczorem]



Powoli przemierzały drogę, uważnie przyglądając się okolicy. Było już ciemno, ale miały wrażenie, że wisi nad nimi coś nieokreślonego. Jakies niedopowiedzenie, tajemnica, może zмова.

– Organicznie nie lubię małych miejscowości – wyrzuciła nagle Wanda, przerywając ciszę. – To taki wdzięczny temat, zauważyłaś? Filmowcy i autorzy kryminałów chętnie osadzają akcje w podobnych miejscach. Zabierają głos z perspektywy biurka, w wygodnym ciepłym mieszkaniu, z marketami na wyciągnięcie ręki i dietą pudełkową. Albo mają wakacyjne skojarzenia. Ale gdyby naprawdę przyszło im tutaj pożyć, spieprzaliby gdzie pieprz rośnie!

– Co cię ugryzło? – Anna zahamowała i wyczekująco spojrzała na współniczkę.

– Nic, po prostu tu się nie da żyć. Wszystko o tobie wiedzą, a jak nie wiedzą, to wymyślą. Prawda nie ma znaczenia, a anonimowość? Zapomnij! Ech, szkoda gadać. – Hakerka machnęła ręką i spojrzała na GPS w telefonie.

– Wiesz, z drugiej strony my i Piach mamy dzięki temu szansę czegokolwiek się dowiedzieć. W mieście człowiek przepada jak kamień w wodę. Nikt tego nie zauważy. No, chyba że ciało zacznie się rozkładać, to wtedy tak. Poruszenie na cały blok – prychnęła Kier i pokręciła głową. Kilka razy była wzywana do takich przypadków i wówczas jak mantra powtarzały się takie same zeznania: „Nie interesuję się życiem sąsiadów, nie zwróciłam większej uwagi na jego nieobecność”. Ludzie umierają przy akompaniamencie wesołego programu telewizyjnego w mieszkaniu obok.

– Tutaj – zaakcentowała mocniej to słowo – przyda nam się każda informacja. Za ile będziemy na miejscu? – Lypnęła na współniczkę.

Wanda była w fatalnym nastroju, co rzadko jej się zdarzało. Zwykle, nieczuła na bodźce zewnętrzne, po prostu zamykała się w sobie i zajmowała swoimi sprawami. Nie mogła się odciąć i zniknąć w sieci, bo wszystko, co się działo dookoła, dotyczyło jej bezpośrednio. Nie mogła przywdziać pancerza jak niemal przez całe życie.

– Za pięć minut. Pytają w SMS-ie, czy chcemy skorzystać z ruskiej bani.

– O, świetny pomysł, bardzo nam się przyda, napisz, że tak! – Anna klasnęła ochoczo w dłonie. – No co, to fajna sprawa, dość typowa na tych terenach.

Ale nim zamyślona Wanda zdążyła zareagować, na końcu leśnej drogi ich oczom ukazała się Osada, średniej wielkości drewniany piętrowy domek otoczony lasem. Na siatce okalającej posesję kołysały się migające kolorowo lampki bożonarodzeniowe, a przy wjeździe stał wielki ledowy renifer z saniami pełnymi prezentów. Gdy wjechały na teren Osady i zaparkowały w wyznaczonym miejscu, na ganku pojawiła się postać, która pomachała do nich przyjaźnie. Wspólniczki zabrały niewielkie bagaże i prawie podbiegły do domu. Zrobiło się przeraźliwie zimno, ostry wiatr smagał ich policzki, sprawiając im ból.

– Chodźcie, dziewczyny! – Drobną kobietą w kożuchu i grubej czapie naciągniętej na oczy wyszła im naprzeciw. Uśmiechała się zachęcająco. – Pomóc wam z czymś?

– Nie, dzięki! Mamy małe bagaże! – odpowiedziała smutnym tonem Wanda.

– Herbata z rumem już czeka, kolacja też, zapraszam! – Właścicielka Osady otworzyła drzwi i uśmiechnęła się szeroko, pokazując równy rząd białych zębów. – Jestem Agnieszka.

Wspólniczki przywitały się, dość szybko zostały zakwaterowane w osobnych pokojach na piętrze, niewielkich, bez łazienek, ale za to przytulnych i czystych. Na łózkach czekała świeżo wykrochmalona pościel, a w powietrzu unosił się zapach kadzidełek. Po szybkim odświeżeniu się detektywki pojawiły się we wspólnej niedużej kuchni na umówionej wcześniej kolacji.

Gospodyni krzątała się, dostawiając potrawy na stół. Była bardzo szczupła, ale uwagę przyciągał jej okazały warkocz, lśniący jak węgiel.

Kier zauważyła kątem oka, że na stole pojawiły się tylko trzy nakrycia. Rozejrzała się i zaczęła nasłuchiwać, ale nie dochodziły jej żadne odgłosy poza trzaskiem drewna palonego w kominku.

– Jesteśmy same. – Agnieszka zarzuciła warkocz na plecy i podeszła do stołu z wielką misą pierogów.

Wanda poczuła, jak zbiera jej się w ustach ślina, a Kier złapała się za burczący brzuch. Obydwie zapomniały w ciągu dnia o jedzeniu.

– Jedzcie, zaraz naleję nam grzanego wina. – Gospodyni uśmiechnęła się i postawiła przed nimi trzy kamionkowe kubki.

– Myślałyśmy, że to czynny pensjonat – zagaiła Anna, przełknąwszy pierwszy kęs pieroga. – Aplikacja pokazała nam tutaj wolne miejsca noclegowe – tłumaczyła dalej. Czuła się nieswojo w tym gościnnym, ale nieco opustoszałym miejscu.

– I słusznie. – Agnieszka rozłożyła bezradnie ręce i uśmiechnęła się szeroko. Dookoła jej ust pojawiły się wyraźne zmarszczki mimiczne, a wokół oczu uwydatniły się kurze łapki. – Jesteście moimi jedynymi gośćmi. No cóż, to za skromne progi dla wymagających klientów przyzwyczajonych do luksusów. Zwykła drewniana chata. Dlatego cieszę się, że przyjechałyście.

– Tu jest bardzo miło, naprawdę. – Wanda wreszcie się odezwała. Robiło jej się coraz przyjemniej. Ciepło kominka, zaspokojony głód, łyk alkoholu. Czuła schodzące napięcie. – Podoba nam się.

– A nie boisz się tu sama mieszkać? – Kier omiotła wzrokiem niewielką drewnianą kuchnię, po czym jej spojrzenie zatrzymało się na oknie i ciemnościach spowijających okolicę.

– Nie boję, mieszkam tu od urodzenia, to są moje lasy i moja przestrzeń. Niech boi się ten, kto ją naruszy. – Gospodyni ponownie zarzuciła warkocz do tyłu. – Ja jestem u siebie! – Wyprostowała się i poruszyła łopatkami. Anna natychmiast rozpoznała ten ruch. Dobrze go знаła, ale postanowiła udawać, że tego nie widzi. Przynajmniej na razie.

– Od urodzenia, czyli od kiedy? – spytała Wanda, mrużąc oczy. – Oczywiście nie chodzi mi o twój wiek – zmitygowała się, napotkawszy zaskoczony wzrok Agnieszki. – A raczej... o... to... – Lechicka zaczęła się jękać.

– No dobrze, jest taka sprawa. – Anna, widząc zmieszanie współniczki, postanowiła przejąć inicjatywę. Poza tym, jeśli się nie myliła, miała do czynienia z kimś, powiedzmy... swoim. – Nie jesteśmy tu przypadkiem i chcę być z tobą szczerą.

– Super! – Gospodyni, prostując się, znowu poruszyła ramionami. Odezwała się w niej pamięć ciała. Kier miała to samo. W chwilach niepewności lubiła czuć szelki między łopatkami. Broń dawała jej poczucie bezpieczeństwa, a ciało pamiętało ten dotyk na plecach, przez kolegów w firmie nazywany czasem pocałunkiem.

– Jestem na policyjnej emeryturze, razem z Wandą założyłyśmy agencję detektywistyczną, ale... – Anna celowo zawiesiła ostatnie słowo; tak jak się spodziewała, Agnieszka odetchnęła ze słabo skrywaną ulgą – ale nie jesteśmy tu służbowo, tylko prywatnie. I bardzo potrzebujemy pomocy.

– Ach tak... No dobrze, słucham. Pomogę, jeśli będę mogła. – Gospodyni wzięła do ręki kamionkowy kubek i upiła łyk grzanego wina.

Wokół rozniósł się ostry zapach goździków.

– Ile masz lat? – ponowiła pytanie Wanda. Nie potrafiła tego oszacować, patrząc na Agnieszkę. Właścicielka pensjonatu mogła być w każdym wieku.

– Trzydzieści. Pierwszego stycznia skończę trzydzieści jeden – odparła, uśmiechając się.

– Niedobrze – odpowiedziała Lechicka, wzdychając ciężko. – Jesteś za młoda – dorzuciła przepraszająco.

– Ale jak to, na co za młoda?

– Kojarzysz rodzinę Lechickich? Jan Lechicki to mój ojciec.

– Nie, nie kojarzę. – Agnieszka odstawiła kubek i zmarszczyła brwi. Ewidentnie próbowała coś sobie przypomnieć. – Jesteś pewna, że pochodził z tych Rybaków? W samym podlaskim jest kilka wsi o tej nazwie.

– Tak, jestem pewna – odpowiedziała Wanda zdecydowanym tonem, choć tak naprawdę właśnie ogarnęły ją wątpliwości. Ale nie, niemożliwe, uspokajała się w myślach.

– Spokojnie. Może masz kogo spytać? Rodzice, dziadkowie, sąsiedzi? – Kier przejęła stery, widząc u współniczki dobrze jej znane, choć starannie skrywane zwątpienie. – Domyślam się, że to wasz domek letniskowy, nie mieszkasz tu na co dzień, prawda?

– Zgadza się – przytaknęła gospodyni.

– Masz kogo popytać? Jan Lechicki, Danuta Wenerska z sąsiedniej miejscowości. Pobrali się, mieli dziecko, to znaczy mają, Wandę. – Anna wskazała brodą na przyjaciółkę. – A ona nie zna przeszłości swoich rodziców, dziadków, nikogo.

– Ale dlaczego szukacie tej rodziny? – spytała Agnieszka po chwili namysłu. – Co, pojawił się spadek do podziału?

– Mój ojciec zaginął. Nie wiem, gdzie jest. A matka leży w szpitalu i walczy o życie. Nie wiem, kto jej to zrobił.

– O cholera. – Gospodyni wstała nagle i sięgnęła po telefon komórkowy. – Przepraszam was na chwilę – dodała i zasłaniając komórkę, wyszła do pokoju na końcu korytarza.

Wanda wychyliła się, by coś dojrzeć, ale współniczki usłyszały tylko trzaśnięcie zamykanych drzwi.

– Ma lub miała do czynienia z bronią. Biorąc pod uwagę bliskość granicy, zakładam, że pracuje w wojsku, zapewne właśnie na granicy, jak większość ludzi tutaj – wyszeptała Kier do zaskoczonych Lechickiej. – Jeśli nam uwierzyła i zechce pomóc, to dzwoni do kolegów z firmy i próbuje coś ustalić – mówiła Anna tak cicho, że Wanda z trudem rozumiała sens słów. Przynęła się bliżej, nie dowierzając. – I nie wiem tylko, czy to

dobra wiadomość, czy zła – westchnęła Kier. – Napijmy się. – Wskazała brodą kamionkowe naczynie. – Zimny grzaniec nie jest zbyt dobry.

– Skąd wiesz, że jest mundurowa? – spytała cicho Wanda i znowu wyjrzała na korytarz.

– Potem, idzie! Nie wygadaj się na razie. – Anna przyłożyła palec do ust, a następnie upiła duży łyk grzanego wina.

– Udało mi się ustalić, że macie rację. Wiele lat temu mieszkała tu rodzina Lechickich, ale przydarzył im się straszny wypadek. Spłonął ich dom. – Agnieszka spojrzała na zaskoczoną Wandę i zmieniła ton z urzędowego na przyjaźniejszy. – Wyprowadzili się i słuch po nich zaginął. Nic więcej nie wiem. Może doleję wina? – Gospodyni wyraźnie dała znak, że to było jej ostatnie zdanie na temat Lechickich.

– Jeszcze pożar, ja pierdołę! – Wanda uderzyła dłonią w stół, aż zadrżała miska z pierogami. – Ktoś zginął? Kto wtedy tu mieszkał? A dziadkowie? – Nagle poderwała się z miejsca, dołała sobie wina do kubka i stojąc już w drzwiach, rzuciła na odchodne: – Muszę coś więcej znaleźć, bo oszaleję. Dzięki, Aga! – Machnęła ręką na pożegnanie i wyszła. Agnieszka, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, rzuciła jej nieużyteczny ochłap informacji. Te cholerne małe miejscowości i zmywy milczenia są najmocniejszym murem obronnym, jaki Wanda знаła. Jebane lokalne społeczności.

Anna Maria Kier pokiwała głową i poczekała na trzaśnięcie zamykanych drzwi na piętrze. Gdy uspokoiły się hałasy nad sufitem, spytała cicho:

– Powiedz, co wiesz, proszę.

– Ale...

– Wiem, że nie chcesz bądź nie możesz wszystkiego nam wygadać, ale ja naprawdę... – Kier wzięła oddech – muszę jej pomóc. Zaufaj mi – dodała i spojrzała w sufit, skąd nie dochodził już nawet najmniejszy szelest. Wanda prawdopodobnie zanurzyła się w świecie online. Najgłębiej, jak mogła. Do utraty tchu.

– Usłyszałam jeszcze tylko jedno... – zaczęła wolno gospodyni, nerwowo zerkając na sufit.

– Tak?

– Żeby się w to nie mieszać i uważać na Wandę. – Agnieszka rozłożyła ręce w geście bezradności. – Przykro mi.

– Ale jak to, uważać na Wandę? Co tu się dzieje? To porządna dziewczyna! – Anna zaczęła niemal krzyczeć.

– Ciii!

– Ręczę za nią! – dodała szeptem detektywka, przykładając dłoń do serca.

– Spokojnie, ja was nie wyrzucam. Nie zamierzam też słuchać tych zabobonów. Tak jak ci mówiłam, nikogo i niczego się nie boję, serio. Jest

raczej odwrotnie. – Uśmiechnęła się delikatnie, unosząc kąćki ust.

– Wiesz, gdzie był ten dom? – Anna puściła mimo uszu ostatnią uwagę gospodyni. Brzmiała jak ostrzeżenie.

– Tak, narysuję ci, jak tam dojechać. – Gospodyni sięgnęła po leżący w koszyku różowy zeszyt z motywem Hello Kitty.

Wieczorem, tuż przed snem, Anna długo rozmawiała przez telefon z Alekssem. Zadzwoiła do niego pełna skruchy i wyrzutów sumienia, że ich wspólny wyjazd nie wypalił. Tak bardzo obydwójce na niego czekali. Ale ku swemu zaskoczeniu usłyszała tylko:

– Całe szczęście, że nie wyjechałem z tobą, bo musiałbym przerwać tę sielankę. Wyjeżdżam z Gustawem do Niemiec, do firmy farmaceutycznej, o której za chwilę będzie głośno. Dbaj o siebie, kochanie, robi się nieciekawie – dodał na koniec smutnym głosem.

– O czym ty mówisz? – Anna podskoczyła na łóżku. – Brzmisz jak jakiś nawiedzony kaznodzieja.

– Jeśli wierzyć plotkom, które dotarły do Gustawa, świat za chwilę naprawdę wstrzyma oddech. Opowiem ci o wszystkim, jak wrócę, będę teraz bardzo zajęty, czeka mnie totalny armagedon.

– Aleks, czy twój brat nie wpada w jakąś niezdrową paranoję?

– Nie. Załatwiał szybko swoje sprawy i wracajcie bezpiecznie do domu.

– Aleks mówił tak poważnym tonem, że Anna miała ochotę spojrzeć na wyświetlacz, by upewnić się, z kim rozmawia.

– Dobrze już. Tęsknię za tobą, wiesz? – Kier nieoczekiwanie dla samej siebie zdobyła się na wyznanie, choć nigdy wcześniej tego nie robiła. Nigdy nie zaprzętała głowy innych osób swoimi uczuciami. To, co czuła, zachowywała dla siebie.

– Ja też, a wiesz za czym najbardziej? – szepnął Biernat.

Wiedziała, o czym mówi, ale nie miała nastroju na rozmowy o seksie. Nie dziś. I nie teraz.

CZEŚĆ 3



ROZDZIAŁ 20

[28 grudnia 2019, rano]



Znajomość topografii terenu ewidentnie była mocną stroną Agnieszki, bo współpracownicy do spalonego domu dotarli jak po sznurku. Wszystko zgodnie z mapą. Zagajnik, krzyż, skręt za nowoczesnym domem z bali zacnego lekarza z Krakowa. Potem długa szutrowa droga, pięćset metrów lasu i wreszcie byli na miejscu.

Ruiny spalonego budynku stojące na niewielkim wzniesieniu, otoczone lasem, prezentowały się demonicznie. Puste dziury po oknach, wciąż mimo upływu lat osmolone, straszyły niczym wybałuszone oczy groźnego domu z japońskiego horroru. Z piętra kompletnie nic nie zostało, zachowały się jedynie odrapane fragmenty ścian parteru, jakby za wszelką cenę chciały się utrzymać w pionie.

– Strasznie tu jest – szepnęła Wanda do Kier i energicznie wysiadła z samochodu. Powoli podeszła do ruin i uważnie przyglądała się pozostałościom rodzinnego domu ojca. Anna po dłuższej chwili dołączyła do współpracownicy i razem w milczeniu przyglądały się pogorzeliisku.

– Nie rozumiem, co tu się dzieje – zaczęła cicho Wanda, chowając ręce do kieszeni. – Niewiele znalazłam w sieci na ten temat. Trzydzieści lat to nie trzysta, dlatego, do cholery jasnej, w Internecie niczego nie ma? Mam wrażenie, że wszystko, co jest powiązane z moim nazwiskiem, zostało wygumkowane. To niepojęte. Patrząc na te ruiny i chce mi się krzyknąć z bezsilności i wściekłości.

– Wanda, posłuchaj. Jeśli jest tak, jak mówisz, to znaczy, że działo się tu coś dziwnego, mrocznego.

– Może pojedźmy do jakiegoś urzędu, poszukajmy danych, przecież muszą tu coś mieć. – Lechicka kopnęła w śniegową zaspę.

– Sorry, ale na moje oko niczego nie znajdziemy. Zdziało się tu coś, o czym nie powinnyśmy się dowiedzieć. I niestety obawiam się, że

zniknięcie twojego ojca może mieć coś z tym wspólnego.

– Myślisz? – Wanda spojrzała na Annę morderczym wzrokiem.

– A może właśnie nie? – Kier zaprzeczyła sobie, wciąż analizując dane. – Przecież trzydzieści cztery lata, bo tyle masz, to naprawdę kawał czasu. Dlaczego coś miałoby się z nim stać dopiero teraz? Znowu nie rozumiem... – Kier pokręciła głową. – Dobrze, jedziemy do babci sołtysa, wieczorem przyciśniemy Agnieszkę. Jestem pewna, że wie więcej, niż powiedziała.

Wsiadły do samochodu, ale nim Anna przekręciła kluczyk w stacyjce, usłyszały stłumiony dźwięk telefonu. Z trudem wyciągnęła brzęczącą komórkę z kieszeni i spojrzała na wyświetlacz.

– Tylko nie to... – jęknęła.

Żałował, że zjadł tego cholernego dewolaja. Tłusty kotlet wciąż leżał mu na żołądku, a wątroba domagała się natychmiastowej dawki raphacholinu.

Ireneusz Piasecki zaparkował przed niewielkim sklepem spożywczym U Joli, stojącym przy drodze wylotowej prowadzącej do domu Lechickich.

– Dzień dobry, coś na trawienie poproszę – wysapał do sprzedawcy.

Młody chłopak za ladą, uśmiechając się życzliwie, odpowiedział:

– Mamy tylko przeciwbólowe...

– A nie ma tu zwykłej apteki? Wątrobę mi rozwali. – Piasecki złapał się za brzuch i się skrzywił. Gołym okiem było widać, że cierpi.

– Jest punkt apteczny, ale chwilowo nieczynny. Po Nowym Roku pewnie otworzą – odpowiadał chłopak rezolutnie i z luzem, cały czas się uśmiechając.

– Dobra, a gdzie ten punkt?

– Pan mieszka teraz u Lechickich, prawda? – odpowiedział sprzedawca pytaniem na pytanie, choć sam też wyraźnie nie oczekiwał odpowiedzi.

– Skąd wiesz?

– Wszyscy wiedzą. Szukacie Jana, ludzie o tym trąbią. Razem z jego córką gospodarstwa oblatywaliście. No a poza tym w pudełku gadają. – Wskazał brodą stojący na półce z gumami do żucia odbiornik radiowy. – Był komunikat w radiu lokalnym, takie nasze *Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie...* – Sprzedawca puścił oko do Piacha, który w przyływie adrenaliny natychmiast zapomniał o bólu wątroby.

– A ty kiedy ostatnio widziałeś Lechickiego? – Oparł się o ladę wyczekującej i na pozór swobodnej pozie. – Stąd można wydostać się

tylko tędy, musiał przejeżdżać. – Wskazał szybę, za którą rozpościerała się droga. Idealny punkt obserwacyjny.

– Musiał i przejeżdżał. Nawet kilka razy. – Chłopak zmarszczył brwi i przeniósł wzrok na wylotówkę. Zamyślił się, ewidentnie grając na czas, jakby dusił w sobie odruch natychmiastowego wyrzucenia z siebie niekontrolowanych słów.

– To kiedy ostatnio?

– Z dziesięć dni temu. Jechał samochodem, wszedł do mnie po vegetę... No co, zupełnie gotował!

– Bądź poważny, chłopie. – Piasecki pokręcił głową. – To spytam inaczej: kto miał z nim na pieńku? Wiesz, zatargi, konflikty...

– Posłuchaj pan, ludzie go tu nie lubią, bo jest gburem i chamem, ale żeby się z kimś pokłócił, to nie słyszałem. Podobno od zawsze był taki wycofany. Nigdy na lufę nie wyskoczył, nie postąpił pod sklepem. Nudziarz, serio. Dziwak taki. Ostatnimi laty rzadko tu bywał. To stolarz, ciągle ma gdzieś jakąś dłubaninę w drewnie.

Piach dojrzał u sprzedawcy powiększone źrenice i powiązał to z jego swobodnym zachowaniem, wręcz wylewnością. Chłopak pomylił pracę z jakimś koncertem, pomyślał i spytał, siląc się na opanowanie:

– A jego żona?

– O, to fajna kobitka. Rzadko była w Polsce, a jeśli już, to zawsze zagadała, taka życzliwa i pomocna. Lubilem ją, nawet bardzo.

– Jak to lubiłeś? – Piasecki wbił ostre spojrzenie w sprzedawcę.

– Już się tak nie nadymaj, wszyscy wiedzą, że nieprzytomna leży w szpitalu. Tak to jest, jak się babki za kółko pchają. Podobno ma małe szanse na przeżycie, świeć panie nad jej duszą.

Ireneusz Piasecki miał ochotę z całej siły uderzyć ręką w szklaną ladę. Co to ma być? A jakaś tajemnica lekarska? Skąd oni, u diabła, to wiedzą? Takie szczegóły! Powstrzymując się ostatkiem sił, ścisnął dłoń w pięść, a potem rozprostował palce. Muszą mieć jakieś źródło informacji w szpitalu.

– Wiesz, gdzie on jest? Przecież tu jest jak w centrum dowodzenia. Podziel się. To jest naprawdę poważna sprawa. – Piasecki westchnął i zmienił taktykę. Agresja i przemoc nie doprowadzą do żadnego przełomu. – Co ludzie gadają? Jego córka...

– Tak, wiem. Wanda. Bardzo ładna, ale podobno nie teges... – Chłopak za ladą poruszał dłońią na boki i cmokał z niechęcią. Piasecki znowu zacisnął pięść, ale powoli wypuścił powietrze, próbując się uspokoić.

– Jego córka odchodzi od zmysłów, to nieludzkie – kontynuował detektyw, próbując wzbudzić w rozmówcy poczucie winy. – No powiedz coś, przecież wiesz.

– A co ja tam wiem...

– Kurwa, no jak z babą! – Detektyw tym razem nie wytrzymał i uderzył w szklaną ladę, aż rozległo się nieprzyjemne brzęczenie. – Nadawaj! – krzyknął. – Mam tu z policją przyjechać? Chcesz takiej reklamy? Po co ci to? Jak znam życie, to zawsze coś zwęszą, a już tę twoją zieleninę to na pewno! Masz więcej, niż potrzeba na własny użytek, naprawdę chcesz, żebym tu z psiarnią wjechał? Od razu cię zamkną, tak samo jak ten twój kramik. – Piach wszedł w rolę. Miał ochotę złapać sklepikarza za fraki i zgasić ten jego głupkowaty uśmiech. Nie, nie lubił zielarzy.

– Dobrze już, nie musisz tak od razu z grubej rury. – Chłopak struchlał, skulił ramiona i bacznie się rozejrzał. – Do żony na saksy pojechał, ja mu podlewam kwiatki, bo nie chciał wścibskich sąsiadek do domu wpuszczać. Zresztą zaglądam tam czasem, jak na robotę jeździ za miasto. Bywa, że długo go nie ma. No co, daje mi na wachę za fatygę, klucz jest nad futryną. A teraz, skoro tam mieszkasz, to może przy okazji sam podlejesz? Ma taką ulubioną jukę, kwiatek na schodach.

– Przestań z tymi roślinami, proszę cię! Co zabrał ze sobą? – Piasecki znowu uderzył pięścią w szklaną ladę, aż ta ponownie złowrogo zabręczała.

– Nie wiem. No co ludzie zwykle zabierają? Walizkę chyba. – Chłopak potarł nos, ale gdy jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem detektywa, przestał się uśmiechać.

– Kiedy dokładnie wyjechał?

– Dwa tygodnie temu, w imieniny miesiąca – odpowiadał posłusznie chłopak, co ucieszyło Piacha. Zdaje się, że postraszenie policją to był dobry pomysł, stwierdził z satysfakcją. To ciekawe, ale ten myk już nieraz zadziałał. Szczególnie skuteczny był w przypadku wielbieli marihuany.

– Do kiedy miałeś podlewać te kwiatki? To znaczy kiedy mieli wrócić?

– Na Wigilię. Mieli wrócić z żoną na święta.

– Dobrze. – Detektyw pokiwał głową – Jak pojechał?

– Jak to jak? Samochodem.

– A czy to nie jest dziwne? Podróż autem zajmuje kilkanaście godzin, jest męcząca, podczas gdy samolotem zaledwie trzy. No i dlaczego pojechał po żonę? Nie mogła sama wrócić?

– A ja nie dopytywałem przecież, nie jestem wścibską babą z za płotu. Człowieku, za kogo mnie uważasz?! – Sprzedawca odskoczył od lady jak poparzony.

Piach zrozumiał, że nie tędy droga. Ma być jego sprzymierzeńcem, a nie oskarżycielem.

– Spoko, myślałem tylko, że znasz konkrety, typu... nie wiem, że bał się latać. Wiesz, ludzie mają czasem różne lęki, to zrozumiałe – dorzucił Piasecki pojednawczym tonem.

- Nie, chyba się nie bał, ale widziałem, jak pakuje do samochodu maszyny, deski i inne takie. Nie wiem, nie znam się na tym, ale chyba do samolotu by tego nie spakował, nie? - Sprzedawca zrobił kółko na czole i postukał się w sam środek.

- No pewnie nie, zaraz by powiedzieli, że terrorysta, polski bin Laden z heblem. - Piasecki parsknął śmiechem, co rozbawiło sklepikarza, aż klasnął w dłonie, a potem uderzył rękami w uda. - A jaki to był samochód? - dorzucił niby mimochodem detektyw.

- Taka duża kia, biała. No, ich auto, ponoć Niemiec płakał, jak sprzedawał - odpowiadał chłopak, wciąż rozbawiony poprzednim dowcipem.

Detektyw też miał powód do radości i zdecydowanie nie chodziło o żart z terrorystów. Dowiedział się więcej, niż się spodziewał. Zatem pewne jest, że Jan Lechicki wybierał się do Niemiec, ale ponieważ przekraczając granicę, nie musiał okazać paszportu i prawdopodobnie nie został wylegitymowany w całej strefie Schengen, to nadal nic nie wiedzą. Agencja Kier i Wspólnicy to zdecydowanie za mały kaliber jak na tę sprawę. Tu potrzebny Interpol. Tak naprawdę nie ma żadnej pewności, że Lechicki w ogóle tam dotarł. Może wydarzyło się coś niespodziewanego? Tylko co? Może Wanda ma rację i coś mu się stało? Został na przykład uprowadzony. Na co Danucie trzydzieści tysięcy złotych? To za mało na okup, a za dużo na zakupy świąteczne. No właśnie, okup. Jeśli ktoś stoi za porwaniem, to dlaczego nie zgłasza żadnych żądań? Minęło dość czasu. Może to jakaś mistyfikacja? Tylko dlaczego z ofiarą? Jeśli sklepikarz ma rację i wie więcej niż Wanda, to stan jej matki nie jest tak dobry, jak oni myślą. O co tu chodzi?

Piaseckiemu ta sprawa nie dawała spokoju. Z tego wszystkiego zapomniał o bólu wątroby i zamiast do punktu aptecznego postanowił pojechać w zupełnie inne miejsce.

ROZDZIAŁ 21

[28 grudnia 2019, po południu]



Tak, słucham? – Anna Maria Kier przyłożyła telefon do ucha i przekręciła kluczyk w stacyjce. W samochodzie było zimno, a czekająca ją rozmowa nie należała do najmiłszych. Nie chciała, by jej rozmówca słyszał, jak szczęka zębami. Z wiadomego powodu, zinterpretowałby to zupełnie inaczej.

– Cześć, Anka, tu Tobiasz – usłyszała znajomy głos. Miękki, a jednocześnie nieprzyjemny. Od zawsze kojarzył jej się z gorzkim, drażniącym ostrym cukierkiem zawiniętym w apetycznie wyglądający paperek.

– Witam pana prokuratora. – Kier parsknęła śmiechem. Tobiasz Harpagon był tak poważny, jakby co najmniej dzwonił do premiera, a nie do starej przyjaciółki z dzieciństwa. – No nie wygłupiaj się. Co tam? – dodała na zachętę, nie słysząc rozbawienia po drugiej stronie.

– Proszę, przyjmij jeszcze raz najszczerze kondolencje z powodu...

– Tobi, zlituj się, chłopie... – jęknęła i szukając ratunku, spojrzała na współniczkę, która przysłuchiwała się rozmowie. – Do brzegu!

– No dobrze, myślę, że zaraz po Nowym Roku będę mógł ci wydać ciało ojca. Możesz już zacząć załatwiać formalności pogrzebowe. Oczywiście nasza resortowa reprezentacja...

– Nie, Tobiasz, ojciec sobie tego nie życzył, nie będzie żadnych uroczystości o charakterze państwowym – przerwała mu Kier i ustawiła nawiew na nogi. Mimo pracy silnika w samochodzie wciąż było zimno. – Dobrze, teraz i tak nic nie załatwię, po Nowym Roku zajmę się pogrzebem i wszystkimi formalnościami. Dziękuję za informację. Czas już definitywnie zamknąć ten rozdział – dodała zdecydowanym tonem. Właśnie w tej chwili poczuła, że dokładnie tak się stanie. Historia z ojcem wreszcie się zakończy.

- No właśnie, ekhm. - Prokurator Harpagon Jr odchrząknął i ściszył głos. - Dobrze się składa, że chcesz zamknąć ten rozdział. - Tobi mówił już niemal bezgłośnie. Kier przyciskała boczny klawisz, ale niewiele to dało. Przycisnęła zatem telefon do ucha. - Musimy o czymś porozmawiać. Tylko ty i ja, rozumiesz? Obydwoje wiemy o czym.

- Ale... - zaczęła Anna, czując podskórnie, dokąd zmierza ta rozmowa.

- Proszę cię, nie udawaj idiotki. Obydwoje wiemy, o czym mowa.

- A co ze śledztwem w sprawie śmierci mojego ojca? - Postanowiła szybko zmienić temat i to na taki niezbyt wygodny. Tobiasz miał rację, nie mogła udawać, że nic nie wie o szafie Króla. - Umarzasz?

- Jeszcze nie, ale nie mam dobrych wieści. Sprawa jeszcze chwilę będzie się ciągnąć, aż wygaśnie, dlatego musimy wrócić do tematu i chciałbym to z tobą załatwić... rzekłbym, polubownie. Jesteśmy... no wiesz... jedynymi spadkobiercami, Anka... - Tobiasz ponownie odchrząknął, a tym razem jego głos był miły i ciepły. Bez zawołanej groźby. - Wszystko biorę na siebie. Ty już nie zajmuj się niczym więcej, żyj długo i szczęśliwie.

- Żartujesz, Tobi! - Kier parsknęła śmiechem. - To nie jest takie proste, jak myślisz.

- Ależ jest, nie histeryzuj! - Westchnął przeciągle. - Przecież wiesz, że jeśli nie załatwimy tego polubownie, to wejdę tam z buldożerem.

- Spokojnie, powstrzymaj konie. Wpisz w Internecie hasło: „Jakie trupy wypadną z szafy Króla”.

- Co ty odwalasz?!

- To nie ja. Ale jak będziesz po seansie, to lepiej zadzwoń do mnie. Pogadamy. Cześć! - Anna odłożyła telefon i ciężko opadła na kierownicę, głęboko oddychając. Po chwili poluzowała apaszkę, zdjęła czapkę i przykręciła ogrzewanie.

- Wanda, teraz zajmujemy się tylko sprawą twojego ojca, nie mojego, okej? - zwróciła się do wyraźnie zrezygnowanej przyjaciółki. - Nie ruszymy się stąd, dopóki nie dowiemy się całej prawdy. Jedziemy do sołtysa, już ja ich zmuszę do gadania!

Wcisnęła pedał gazu. Koła zabuksowały w miejscu, a na tylną szybę spadło pośniegowe błoto. Ruszyły z impetem. Anna poczuła taki zastrzyk adrenaliny, że nikt i nic nie mogło jej zatrzymać.

Mały drewniany kościół stał na niewielkim wzniesieniu, oddalony kilkaset metrów od centrum, jak w myślach nazwał największe skupisko ludzi pod tutejszym domem handlowym. Skromna świątynia, otoczona

kilkoma drzewami w śnieżnych czapach, z niewielką plebanią, w niczym nie przypominała strzelistych, bogato zdobionych budowli z krzyżem, znanych Piachowi z dużych miast.

Detektyw rozglądał się uważnie, jechał powoli, jakby coś nie pozwalało mu mocniej wcisnąć pedału gazu. Z lewej strony dojrzał uporządkowany cmentarz z wieloma zapalonymi zniczami na grobach. To pewnie po świątecznych wizytach, pomyślał ze wzruszeniem. Udzieliła mu się ta wyjątkowa atmosfera. Poczul się dziwnie spokojnie i... bezpiecznie.

Zaparkował na jedynym wyznaczonym miejscu parkingowym, postawił kołnierz kurtki i rozglądając się uważnie, podszedł do drzwi z napisem PLEBANIA. Wokół panował spokój. Zapadł zmrok i tylko tańczące ogniki świec przypominały mu, gdzie się znajduje.

Podniósł rękę, by zapukać, ale nim to zrobił, drzwi do plebanii uchyliły się bezszelestnie.

– Zapraszam do środka. – Szczupły, wysoki mężczyzna, łysy, z niewielką bródką, ubrany na czarno, skłonił głowę i wskazał drogę do przytulnego pomieszczenia. Ireneusz Piasecki kątem oka dostrzegł koloratkę, odetchnął z ulgą i zaczął głośno tupać na wycieracze. Nie chciał nanieść do środka śniegu, czuł, że będzie to po prostu niegrzeczne. Po chwili obydwaj znaleźli się w małej ascetycznej urządzonej kuchni. Ksiądz zapraszającym gestem wskazał drewniany stół i taboret, na którym usiadł detektyw. Zdjął czapkę i miętosił ją nerwowo w rękach. Nie wiadomo, czy to przez miejsce, czy sprawę, którą się zajmował, czy może przez błyskające lampki choinkowe na świerkowym stroiku leżącym na drewnianym parapecie, ale poczul się cholernie zmęczony. Jakby ktoś nagle odłączył mu prąd. Naprawdę nie miał siły.

Ksiądz bezbłędnie wyczuł stan gościa i nie pytając, zaparzył mu mocną gorącą kawę. Sypaną, bez cukru. Szatana. Piach uśmiechnął się na to skojarzenie. W tym miejscu wydawało się dwuznaczne.

– No to co pana do nas sprowadza? – Ksiądz uśmiechnął się przyjaźnie, dosiadając się obok. Zamieszał głośno swoją kawę, a potem uderzył łyżką w rant szklanki.

Piasecki westchnął przeciągle i pokręcił głową. Najchętniej to spytałby o nocleg, z możliwością wyłączenia myślenia. Taki totalny reset głowy. Ale musiał wziąć się w garść. Dla Wandy. Obiecał jej przecież, był jej opiekunem, choć tak naprawdę miał ochotę rzucić to wszystko w diabły. Znowu uśmiechnął się pod wąsem. Kolejne interesujące skojarzenie w tym miejscu.

– Nazywam się Ireneusz Piasecki i jestem przyjacielem Wandy Lechickiej. To córka Jana i Danuty, mieszkańców tej, no nie wiem, parafii chyba.

– Tak. – Ksiądz posłał Piachowi dobrotliwy uśmiech. – Wiem, co się stało, w radiu o tym trąbią, a i ludzie trochę gadają. Taki to nasz lokalny temat, *hot news* czy jakoś tak. Co chce pan wiedzieć, panie Ireneuszu?

– Czy Jan Lechicki i Danuta Wenerska zawarli sakrament małżeństwa? – Piach wypalił z grubej rury. Nie miał siły na gierki. – Może to ksiądz sprawdzić? Kiedy się pobrali? Kto był świadkiem? Potrzebuję dotrzeć do przyjaciół tej pary. Wanda naprawdę odchodzi od zmysłów. – Piasecki usłyszał, jak jego głos mięknie.

– Nie muszę sprawdzać. – Ksiądz pokręcił głową. – Ja tu wszystkich znam, mimo na pozór młodego wieku. Nie, nie brali tu ślubu, nie ochrzczili też dziecka. Przyjechali już jako para z kilkuletnim dzieckiem, zatem może trzeba poszukać w poprzednim miejscu lub w cerkwi? Księdza po kołędzie nie przyjmowali, jakby co.

– Ach, no tak! – Piach teatralnie uderzył się w czoło. – Pewnie są wiary prawosławnej!

– Pan Jan chyba tak, nigdy tu się nie pokazywał. Pani Danuta niekiedy przychodziła na msze, oczywiście jak była w Polsce. Czasami z nią rozmawiałem, tak o pogodzie – dodał szybko ksiądz. Piasecki miał wrażenie, że on bije się z myślami. Jakby chciał coś powiedzieć, ale musiał się jeszcze do tego wewnętrznie przekonać.

– To wybiorę się do cerkwi, może mi ksiądz podpowiedzieć, do której powinienem jechać? – Upił łyk kawy i wytarł usta dłonią. – Przepraszam, ale nie za bardzo się na tym znam.

– Hm... To chyba nie jest konieczne. – Ksiądz odchrząknął, a na jego twarzy odmalowało się coś na kształt ulgi. Zaczął mówić szeptem. – Myślę, że to może mieć znaczenie dla pańskich poszukiwań. Mam podejrzenie, że rodzice Wandy nigdy się nie pobrali. Na moje oko nie mają ślubu ani kościelnego, ani cywilnego. Pani Danuta zawsze jakoś tak wymijająco mówiła o świętym sakramencie małżeństwa. Powtarzała, że potwierdzeniem związku nie jest papier, tylko stała obecność drugiej osoby. I wzajemne wsparcie. No oczywiście, że jest to sprzeczne z naszą wiarą, sakrament to świętość, ale – ksiądz machnął ręką, uśmiechając się dyskretnie – czasy się zmieniają, a tym marudzeniem nie pomagam. Oczywiście to są tylko moje domysły, ale może ważne dla pana poszukiwań. Proszę to zachować dla siebie.

– Oczywiście! – Piasecki nagle wyprostował się i zmarszczył brwi. Ucieszył się w duchu, że wyjazd do cerkwi nie będzie konieczny. Ale będzie musiał powiadomić Annę, skoro dziewczyny są na Podlasiu. – Nawet ich córka tego nie wiedziała – odpowiedział teatralnym szeptem.

– Myślę, że nie tylko tego – dodał z przekąsem gospodarz i zanurzył usta w szklance z mocną czarną kawą.

– Jak to? Co ksiądz jeszcze wie? Proszę powiedzieć! – Piasecki przysunął taboret bliżej gospodarza, ale on odsunął się bezszelestnie. – Każda, nawet na pozór nieistotna informacja może być bardzo ważna.

– Tak, tak, oczywiście. Ale nie wiem nic więcej, serio, jak Boga kocham! – Ksiądz podniósł dwa palce i puścił oko do detektywa. – Ja tylko uważam, że ta rodzina jest jakaś inna, hm... Nie wiem, jak to nazwać. Tajemnicza... Na pewno mocno odstawała od reszty. Przyjechali tu z dzieckiem, on całe życie w tym warsztacie, nosa stamtąd nie wyściubiał. Ona wyjeżdżała pracować na dom. Wzięli się jakby znikąd, tak nagle... jakby przyszli tu z innego świata... z mgły. – Ksiądz się zamyślił i spojrzął w górę na niski drewniany sufit. – Tak – dorzucił nagle nerwowym tonem, jakby właśnie coś sobie przypomniał. – Są dziwni, tacy, jak to ludzie gadają, z mrokiem w duszy. Ale to tylko gadanie! – Machnął ręką. – Mówię to panu, bo lubię tę ich dziewczynę. Nie ma ta Wanda łatwego życia, dobrze, że pan jej pomaga. To wzruszające i po prostu ładne. Jest pan dobrym człowiekiem. – Ksiądz położył dłoń na ramieniu Piacha, który nie chcąc okazać wzruszenia, zaczął głośno siorbać przygotowaną kawę.

– To naprawdę świetna dziewczyna. Niech ksiądz nam pomoże. – Piasecki odstawił szklankę i wbił proszący wzrok w rozmówcę. – Gdzie on może być? Może ktoś go przetrzymuje? Albo chroni? Gdzie jest Jan Lechicki?

– Nie wiem, naprawdę.

– To spytam inaczej. – Piach uderzył dłońmi w uda. – Czy oni na pewno, no, żyli razem? Jak mąż i żona. – Detektyw puścił oko do wyraźnie zaskoczonego i nieco zmieszanego duchownego, który zaprzeczył ruchem głowy. – No, skoro nie mieli ślubu, to może żyli osobno? – Piasecki wymownie cmoknął.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedział zde gustowany ksiądz.

– No to jest jeszcze jedna opcja... – Piach westchnął teatralnie, a potem nabrał powietrza do płuc i długo je wypuszczał, świszcząc przez nos. – I wolałbym się jednak mylić...

– Jaka opcja? Co pan sugeruje? – Tym razem gospodarz przysunął się do rozmówcy.

– Jeśli Jan Lechicki żyje, to został uprowadzony!

– Jezus Maria! – Ksiądz aż podskoczył i odruchowo się przeżegnał. – A macie może zgłoszenia, nie wiem, po okup czy coś?

– No właśnie nie, ale to może być kwestia czasu. Jeśli porywacz miał coś wspólnego z tym wypadkiem, będzie czekał na rozwój sytuacji.

– Nie rozumiem... – Ksiądz był wyraźnie zaaferowany.

– To proste. Jeśli matka Wandy umrze, będzie to spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym. Ta sytuacja może go wystraszyć, a w związku z tym Lechicki też zniknie. – Choć Piach nieco się zgrywał, to

poczuł nieprzyjemny skurcz w żołądku. Z jednej strony chciał tym gadaniem wystraszyć księdza i zmusić do puszczenia farby, a z drugiej może tak właśnie, do cholery, było? Telefon do szpitala z pytaniem o stan zdrowia Wenerskiej mógł o tym świadczyć. – Dlatego – Ireneusz Piasecki wyczuł wyraźny moment zawahania i przejęcia u duchownego – musimy wytypować jego wrogów. Kogo ksiądz może wskazać?

– Nikogo, naprawdę.

– A czy coś tu się działo, no... – Piach nie miał odwagi zadać kolejnego pytania, ale wiedział, że nie ma wyjścia. – No, w kwestii orientacji Wandy.

– To znaczy?

– No... – Kurwa!, detektyw przeklął w duchu. Że też ten facet taki niedomyślny. – No... – kontynuował Piasecki, miotając się – czy z tego powodu, że Wanda, no... jest lesbijką, czy rodzinę Lechickich spotykały jakieś nieprzyjemności?

– Może kiedyś, dawniej. – Ksiądz potarł czoło, wyraźnie wracając pamięcią do przeszłości. – Były takie docinki, komentarze, ale nie słyszałem o pobiciu na przykład. Na szczęście dziewczyna wyjechała i problem w naszej miejscowości się skończył.

– Nie wyjechała stąd dobrowolnie, a poza tym nie jest jakaś trędowata, żeby ją wyrzucać z rodzinnego domu i z miasta! Chyba się zagalopowaliście. To skandal, naprawdę! Jak można tak traktować człowieka?! – Piasecki miał ochotę przywalić rozmówcy w twarz, ale się powstrzymał. – Co by ksiądz poczuł, jakby biologiczny ojciec na księdza napluł? Wyrzucił z domu jak psa, tak w czarną noc? To jest normalne? Przecież rodzic powinien stanąć za własnym dzieckiem. Murem! Zawsze! – Detektyw poczuł, jak zasycha mu w gardle. Zamilkł i zrezygnowany sięgnął po resztkę kawy. Nie miał siły na walkę z wiatrakami. Zrozumiał dobitnie, jak musiała czuć się Wanda wtedy, osiem lat temu.

– No dobrze. – Duchowny złapał się za brodę, a po chwili wytarł ślinę z kącików ust. – Wiem, ale tylko z plotek, przyrzekam! – Podniósł dwa palce w górę. – Wiem, że pan Jan... No... Chryste, dopomóż! – Spojrzał w sufit. – Że pan Jan może nie być biologicznym ojcem Wandy.

– Co? – Piasecki postawił szklankę obok spodka.

– To są tylko plotki, nic potwierdzonego. – Ksiądz wił się jak piskorz. – Pomyślałem, że to może mieć znaczenie w całej tej sprawie. – Duchowny poluzował koloratkę. Ewidentnie szukał usprawiedliwienia dla tego, co próbował zrobić. – Wiele lat temu, gdy Wanda miała jakiś groźny wypadek – straciła wtedy przytomność – okazało się, że ojciec nie mógł oddać jej krwi – wyszeptał ksiądz, nie patrząc na rozmówcę. – Ponoć ze względu na jakąś chorobę, ale chodziło raczej o niezgodność antygenów czy czegoś tam.

– Jak to? – Piasecki wstał.

- No podobno tak było, ale od razu mówię, że nie zdradzę, skąd o tym wiem, a ponadto, rzecz jasna, wyprę się tego! - Ksiądz poderwał się ze stołka i spojrzał Piachowi w oczy. - A teraz proszę już iść, naprawdę jestem zmęczony.

ROZDZIAŁ 22

[28 grudnia 2019, po południu]



Michał Soroka, mimo wciąż spadającej temperatury, nie czuł zimna. Spacerował z psem po okolicy i zastanawiał się, jak rozegrać sytuację. Pojawienie się Wandy było mu nie na rękę, ale za żadne skarby nie mógł tego okazać. A może jeśli ta informatyczka dowie się całej prawdy, to ucieknie stąd gdzie pieprz rośnie i raz na zawsze problem sam się rozwiąże? Przecież nic jej tu nie trzyma. Sołtys chodził przy głównej drodze i przez to ciągłe pilnowanie biegającego psa nie mógł się skupić. Że też akurat teraz musiała się tu pojawić, cholera jasna! Teraz, kiedy mógł spokojnie przejąć teren. Jedno z najładniejszych miejsc w okolicy. Szlag! Splunął i gwizdnął na psa. Kątem oka dostrzegł w blasku słońca migającą na końcu drogi złotą fabię. Auto przekraczało dopuszczalną prędkość.

- Tina! - krzyknął i wyciągnął biały sznurek z karabińczykiem. Zwierzak posłusznie podbiegł do właściciela, dając sobie przypiąć smycz. Samochód z piskiem opon zatrzymał się przed furtką. Najpierw wysiadła ta starsza zgrabna blondynka i zrobiwszy z dłoni daszek, wyszukała wzrokiem spacerującego sołtysa. Zamachała do niego energicznie.

- Idę! Idę! - odkrzyknął i splunął. Z tą będzie jeszcze trudniej, cholera jasna - dodał w myślach i przyspieszył kroku.

Gdy Anna stanęła przed posesją, zauważyła, że towarzysząca jej Wanda jest przygaszona, bez energii. Hakerka wpatrywała się w coś na piętrze, a jej twarz przecinały nerwowe drgania. Miała zaciśnięte usta, Kier wręcz usłyszała, jak zgrzyta zębami. Przeniosła spojrzenie na górę i zamarła.

W oknie stała starsza kobieta z wyciągniętymi dłońmi, w których trzymała spory krzyż. Mimo odległości można było dostrzec pewien rodzaj szaleństwa, a nawet opętania. Była jak demon, który przeradza się w jakąś jeszcze mroczniejszą formę. Nienaturalnie wybałuszone oczy,

ciężki oddech i to poruszanie ustami – jakby w modlitwie lub w trakcie egzorcyzmów. Wanda nie mogła oderwać od niej wzroku, a gdy tylko Lechicka drgnęła, kobieta ze zdwojoną siłą zaczęła mamrotać i wymachiwać krzyżem jak mieczem.

– O cholera, babcia ma znowu atak. – Michał Soroka, nie oglądając się za siebie, wbiegł na posesję, puszczając psa luzem. Tina zaskomlała, usiadła grzecznie obok Wandy i też przyglądała się kobiecie w oknie, rytmicznie przekręcając łąpek. Głowa babci, z siwymi sterczącymi włosami, zaczęła poruszać się w jakimś dziwnym rytmie. Gdy sołtys znalazł się w środku, babka splunęła w stronę Wandy i spojrzała takim wzrokiem, że hakerkę przeszył dreszcz. Mężczyzna coś jej tłumaczył, ale ona w odpowiedzi tylko mocniej wyciągnęła przed siebie dłonie, ściskając krzyż.

– Ona jest jakaś opętana, a nie chora... – Anna Maria Kier zbliżyła się do Wandy i mocno objęła ją ramieniem.

Hakerka prawdopodobnie nawet tego nie odnotowała. Wpatrywała się w babkę z dziwnym uporem. Jakby nie mogła przestać na nią patrzeć. Jakby coś od środka kazało jej bacznie obserwować każdy ruch tej dziwnej kobiety. Jakby coś przyciągało ją z mocą ognia, od którego można spłonąć, a jednocześnie nie pozwalało się odwrócić.

Po chwili na podwórku pojawił się sołtys. Tina wyraźnie się ucieszyła, podbiegła wesoło do swojego pana.

– No cóż. – Michał Soroka westchnął i teatralnie rozłożył dłonie. – Przykro mi, ale same panie widzą. – Dyskretnie wskazał brodą na okno nad sobą. – Z babcią nie jest najlepiej. Proszę wybaczyć, ale mówiła, że pani jest diabłem. – Mężczyzna parsknął śmiechem, ale nie widząc podobnej reakcji, zacisnął usta. Westchnął ciężko i dodał: – Może przyjdziecie jutro?

– Wspominał pan... – Wanda wreszcie spojrzała na sołtysa, który usłyszawszy jej głos, jakby zamarł w pół kroku – że chce pan zrobić dom kultury. – Uśmiechnęła się blado.

Michał Soroka zmarszczył czoło. Zamiast odpowiedzieć, krzyknął na psa stojącego tuż obok. Gdy suka usiadła grzecznie, odpowiedział:

– No tak, czekamy na dotację z Unii, ale ja naprawdę umiem pisać te wnioski i... realnie mamy duże szanse. Powstałoby miejsce pracy dla naszych, a potem może nawet jakieś gwiazdy by przyjechały. Wtedy letnicy chętniej wpadną, groszem sypną, jak w takim Mrągowie na przykład. A może nawet duży festiwal zorganizujemy... – Soroka się rozmarzył. Naprawdę wierzył w tę inwestycję. Oczami wyobraźni widział siebie na scenie w towarzystwie aktorów lub piosenkarzy. Byłby tu naprawdę kimś ważnym.

– Piękny pomysł, sołtysie. – Lechicka pokiwała głową z nieskrywanym uznaniem. – Tylko na moje oko ten opuszczony dom, w którym chce pan zbudować swój przybytek, należy do mnie, prawda? – Wbiła spojrzenie w Sorokę, który uklęknął przed psem i zaczął go głaskać. – Ale cóż, myślę, że możemy się dogadać. – Wanda uśmiechnęła się przyjaźnie. – Mam tylko jeden warunek: muszę wiedzieć, co tu zaszło. Jeśli babcia jest chora, to proszę zaprowadzić mnie do innej starszej osoby, kogoś, kto pamięta moją rodzinę. Nie wierzę, że wszyscy nagle wymarli – prychnęła Lechicka.

– Dobrze, przyjdźcie jutro, podpytam jeszcze Karolinę, moją żonę. – Sołtys pogłaskał psa, wstał, poprawił spodnie i spojrzął w okno. Babcia miała przymknięte oczy i powoli kręciła głową. Jakby się modliła lub była w transie.

– Jak nie babcia to ktoś inny, okej? – Tym razem do rozmowy włączyła się Kier. Miała dość tej zabawy w kotka i myszkę. Ewidentnie działo się tu coś niepokojącego.

– Okej. Tina, do domu! – Sołtys gwizdnął przeciągle. Pies położył uszy po sobie i wszedł po schodach, nie oglądając się za siebie.

Ireneusz Piasecki poczuł ogromne znużenie. Początkowy przyływ adrenaliny w związku z pozyskaniem wielu ciekawych informacji minął, dlatego detektyw zmienił plany. Zamiast na komisariat policji, skręcił w drogę prowadzącą do domu rodziców Wandy. Jego samochód bez problemu radził sobie z topniejącym śniegiem. Piach, by zagłuszyć wzbierające w nim wyrzuty sumienia, wybrał numer do swojego łódzkiego kontaktu w policji, Jacka Borowieckiego, i włączył zestaw głośnomówiący.

– Cześć, stary, tu Piasecki, z polecenia Igora Krtycza, kojarzysz? Dzwoniłem do ciebie w Wigilię, w drodze byłem. – Detektyw przeszedł od razu do konkretów. To zdecydowanie domena facetów z dawnej firmy. Bez korporacyjnych small talków, z których nic nie wynika, poza stratą czasu.

Najpierw usłyszał długi, rwący i suchy kaszel, a potem zmęczony męski głos.

– Tak, cześć, stary, pamiętam.

– Macie jakieś wieści o Janie Lechickim? Sprawę prowadzi ten dzieciak, Witold Gryf.

– Ta... – Policjant znowu zakasłał, po czym dodał: – Taa, Harry Potter. Jest zgłoszone zaginięcie, na każdy posterunek poszło zawiadomienie,

ale... wiesz, jest okres międzyświęteczny, ręk do pracy brakuje, a statystyki trzeba podciągać, nie myśl sobie.

- Nic się nie zmieniło. Teraz wysprzęglonych będzie sporo, w święta lubią dać w palnik. Lejce zabieracie na potęgę, co? - Piasecki się roześmiał. Mimo upływu lat doskonale znał policyjne realia.

- Taaa...

- Stary, ale naprawdę nikt się nie odezwał? Żaden sąsiad z okolicy? Nie zgłosiła się chociażby jakaś nadgorliwa ciocia Jadzia? - Piach nie odpuszczał. - A co z monitoringiem? Sprawdzaliście coś?

- No coś tam buty pozdzierali, ale wiesz, jak jest. Ani widu, ani słyhu. Poszły zawiadomienia, komunikaty, radio, telewizja. A może on w tych Niemczech sobie siedzi? - Mężczyźnie ugrzązł głos w gardle. Zaświszczał, a potem znów zaczął kasłać. - Tu jest za dużo niewiadomych.

- Naprawdę nic nie macie? To dziwne. Sprawdziliście bazy?

- No właśnie, sprawa faktycznie jest dziwna. Nie uwierzysz, ale oficjalnie nie mamy tu nikogo takiego. Jedyne ślad to jakieś Rybaki, i to sprzed stu lat. No nic, to pewnie zwykłe nieporozumienie, ale teraz nie mam jak tego wyjaśnić. Po Nowym Roku sprawdzimy to w centralnym rejestrze. Nie, no to po prostu musi być błąd. Wiesz, teraz taki luźniejszy czas jest, urzędasy na urloпах.

- Ej, no musi mieć choćby zwykłe dokumenty, nie wiem - dowód, meldunek, nie wygłupiaj się... - Piach tracił cierpliwość. Domyślał się, że sprawa zwyczajnie jest odłożona na później. - Dobra, daj znać, jak będziecie mieć coś nowego. - Wyraźnie zniechęcony detektyw nie miał ochoty na dłuższy dialog. To zdumiewające, że wciąż nikt na poważnie nie zajął się poszukiwaniami. Nikt, poza nim i współpracownikami. Pod wpływem tych przemyśleń nagle poczuł się jak szeryf w opuszczonym miasteczku, którego bezpieczeństwo zostało złożone w jego ręce.

Zaparkował przed domem rodzinnym Wandy i spojrzął na otwarte drzwi warsztatu stolarskiego. Był pewien, że wcześniej były zamknięte. Zwróciłby uwagę, szczególnie że teraz dość głośno, pod wpływem zimowego wiatru, łomotały o drewnianą framugę. Przynajmniej by je usłyszał. Coś tu było nie tak...

- Podobno soltys w tym domu, no wiesz, po rodzicach Wandy, chce jakiś przybytek kultury wybudować. - Anna Maria Kier rzuciła niby

od niechcenia do Agnieszki, która stała przy kuchni, uśmiechając się życzliwie.

Zapach świeżo gotowanego rosółu sprawił, że współpracownicy natychmiast poczuły przeraźliwy głód. Siedziały przy kuchennym stole i wodziły wzrokiem za gospodynią wprawnymi ruchami nakrywającą do stołu.

– Podobno – odpowiedziała Agnieszka, wzruszając ramionami. – Może dla letników to tak, ale nasi nie będą chodzić! Sołtys jeszcze mało wie. W dupie był, gówno widział. – Gospodyni puściła oko do Kier.

Anna odnotowała, że właścicielka pensjonatu próbuje powiedzieć im coś więcej, niż powinna. A może to kwestia jedzenia, pomyślała? Ludzie dzielący się pożywieniem zwykle są uprzejmi i gościnni, zobowiązani do sprawiania przyjemności, jakby to był rodzaj jakiegoś misterium.

– Dlaczego? – Wanda zmrużyła oczy. – Nie chcą się zabawić?

– Nie, nie o to chodzi.

– No fakt, nie jesteście tu zbyt towarzyscy. – Lechicka wyjęła palcami makaron z talerza i wsunęła do ust. – Próbowałam zagadać z kilkoma osobami, ale chyba trafiłam na samych mruków. – Przełknęła kluski i sięgnęła po kolejne. Kier z Agnieszką spojrzały po sobie. Wiedziały, że nie w tym rzecz. I obydwie rozumiały, że nie jest to kwestia tutejszych ludzi. Problem leżał w Wandzie. Nie w nich.

– Zjedzmy najpierw. – Gospodyni postawiła przed nimi wazę z parującym rosółem. Wanda naląła sobie pełen talerz, sownie posypała koperkiem i jadła w milczeniu, patrząc w jeden punkt, jakby nagle wyłączyła się z tu i teraz.

– Dzięki, pyszne było. – Po zjedzeniu energicznie odsunęła talerz. – Zadzwoń do szpitala, może będą jakieś dobre wieści o mamie – dodała na usprawiedliwienie. – Przecież ona o niczym nie wie. Dlaczego ja tu w ogóle jestem? Powinam być przy niej i spytać o to wszystko, jak tylko otworzy oczy! – Hakerka powiedziała to głośnie, jakby nagle wybudziła się z dziwnego snu. – Niczego nie rozumiem, nic nie mogę znaleźć. Jakaś wariacka wymachuje na mnie krzyżem, mojego ojca jak nie było, tak nie ma. Jego telefon milczy, policja nie ma ciała. Dziewczyny, tu naprawdę jest coś nie tak. – Wanda wstała nagle i odeszła od stołu, ale nim dotarła na piętro, odwróciła się i powiedziała cichym głosem do przyjaciółki: – Anka, ja tu nie zostanę ani dnia dłużej. Wolę być niezauważana niż niechciana. Jakoś źle się czuję w tym miejscu – dodała smutnym głosem. – Chcę do domu, do Warszawy.

Wbiegła po schodach na piętro i trzasnęła drzwiami.

Właścicielka pensjonatu, zachowując pozorny spokój, postawiła na stole gorące ziemniaki polane śmietaną ze szczypiorkiem. Rozstawiła trzy talerze i zajęła swoje miejsce jak gdyby nigdy nic.

- Agnieszka, posłuchaj - Anna ściszyła głos - ona nie bardzo rozumie, co się dzieje. - Wskazała głową sufit. - Ale mnie nie oszukacie. Jestem była glina, możesz mnie sprawdzić u swoich, podam ci wszystkie dane. Uwierz mi, widzę więcej, niż chcecie pokazać. Dlaczego spłonął ich dom? - Detektywka przysunęła się bliżej i delikatnie złapała gospodynię za rękę. Chciała, by kobieta coś poczuła, a nie tylko słuchała. Dotyk to jeden z najbardziej inwazyjnych zmysłów. Potrafi skutecznie wybić rozmówcę ze strefy komfortu.

- A co ja tam wiem... - Agnieszka się odsunęła i odrzuciła gruby warkocz na plecy.

- Wiem, że wiesz - wysyczała Kier, próbując zachować uprzejmość, ale w tonie wymagającym i nieznoszącym sprzeciwu. - Dlaczego jej rodzina stąd uciekła? Dlaczego ludzie plują na jej widok? Myślisz, że ja tego nie widzę? Pomóż nam. Proszę cię jak swoją.

Agnieszka nagle wstała, odsuwając ciężki stół. Podeszła do szafki, wyjęła czerwone wino, postawiła dwa kryształowe kieliszki i wypełniła je rubinowym płynem. Nim usiadła z powrotem obok Anny, wypięła duszkiem zawartość swojego szkła, po czym napełniła je ponownie.

- Dobrze, powiem ci, ale jeśli kiedykolwiek zdradzisz, że wiesz to ode mnie, to się wyprę, okej? - Spojrzała Kier w oczy.

Anna nie miała wątpliwości, że będzie dokładnie tak, jak chce jej rozmówczynie.

- Jasne - przytaknęła ochoczo i sięgnęła po swój kieliszek. Umoczyła usta, próbując za wszelką cenę okazać spokój i opanowanie. Choć było zupełnie odwrotnie.

- W tym domu mieszkał największy bandyta, jakiego nosiła ta ziemia. Nie będę opowiadała ci szczegółów, bo ich nie znam i nie chcę wracać do tego syfu, ale zastraszał całą okolicę. Nie było na niego mocnych. Sadysta i psychopata. Podobno wysłał na tamten świat kilka osób, ale nigdy mu niczego nie udowodniono. Prokuratura jadła mu z ręki jak dzieci opłatki podczas pierwszej komunii. No, z wyjątkiem jednego gliniarza z sąsiedniej miejscowości, ale został skutecznie uciszony na całe lata. - Agnieszka upiła kolejny łyk wina, a wokół jej ust pojawiła się czerwona obwódka. - Pożar skończył to wszystko raz na zawsze. Ogień był końcem, ale i początkiem czegoś nowego - dodała filozoficznie, mrużąc oczy.

- Aha, to znaczy, że wzięliście sprawy w swoje ręce? - wtrąciła zamyślona Anna.

- My? Czyli kto? Ja? Sołtys? Moja matka? Jego teść? Dlaczego obciążasz nas za winy naszych przodków? - Agnieszka podniosła głos. - I kto tu

w ogóle mówi o podpaleniu? Nie możesz zarzucać nam czegoś, na co nie masz dowodów, to raz. A dwa, dzieci nie mogą odpowiadać za grzechy rodziców. Pora skończyć z tym polowaniem na czarownice.

– Dobrze! Przecież z Wandą robicie dokładnie tak samo. – Kier wzruszyła ramionami. – Co odwaliała ta babka sołtysa? To jest okej?

– Ja tak nie robię – odpowiedziała nieco zbity z tropu gospodyni.

– Kto tam wtedy mieszkał w tym domu? – Anna parła dalej, korzystając z wyraźnego zmieszania Agnieszki.

– Kobieta z dwoma dorosłymi synami, Janem i Jerzym. Czasami pomieszkiwała tam też inna kobieta, z dzieckiem – opowiadała cicho właścicielka pensjonatu, nie podnosząc wzroku.

– Zginął ktoś w tym pożarze? – Anna poczuła, że w jej żyłach zaczyna płynąć policyjna krew. Potarła dłonie, próbując zamaskować rosnącą ekscytację.

Agnieszka westchnęła.

– Tak – przytaknęła cicho.

– Kto?

– Mężczyzna. Jeden z braci.

– Kto? – Kier powtórzyła takim tonem, że tamta skuliła ramiona, chowając w nich głowę.

– Posłuchaj, jesteś gliną, to chyba wiesz, jak wygląda skwarka? Co mogłaś wyciągnąć trzydzieści lat temu? – Gospodyni zwilżyła językiem usta i wyprostowała plecy, poruszając łopatkami. Ewidentnie zaczynała się denerwować. Temat stał się niewygodny i rozmowa zmierzała w złym kierunku.

– Mhm, jasne... To kogo pochowaliście? Tak na oko? Czy wyliczanka?

– Nie wiem. I przestań do mnie mówić w liczbie mnogiej, ja się wtedy jeszcze nawet nie urodziłam! – Agnieszka uderzyła pięścią w stół.

To był sygnał dla Kier, że musi zwolnić, a najlepiej chwilowo zmienić temat, by potem znowu powrócić do meritum. Ziarno niepewności zostało zasiane.

– Kto podpalił dom? – kontynuowała w skupieniu detektywka.

– Nie wiadomo. Ale ludzie zarzekają się, że nikt z nich. Ze wsi obok też nie. Podobno w aktach jest zaproszenie ognia. Śledztwo niczego nie wykazało. Mało to razy się zdarzyło, że ktoś zasnął z petem?

– No pewnie, przecież podpalacz dostałby zarzuty. Jest ofiara śmiertelna, tu nie ma najmniejszych wątpliwości. Cwanie to wymyślili. – Anna pokiwała głową. Potarła skronie, próbując wydobyć jeszcze trochę informacji. Czowała, że jej czas powoli się kończy, dlatego już spokojnie wróciła do poprzedniego tematu. – No dobrze, to kto w takim razie został oficjalnie pochowany? Jan czy jego brat Jerzy? Kto widnieje na cmentarnej tabliczce?

- Lechicki. - Agnieszka się uśmiechnęła. - Jot, kropka, Lechicki.

- To po prostu niebywałe... - Anna nie dowierzała własnym uszom. Owszem, wiedziała, że zamknięte społeczności mają tajemnice, które nie wychodzą na jaw przez całe dziesięciolecia, ale zaangażowanie wszystkich, w tym urzędników, nie mieściło jej się w głowie. - A co z drugim bratem i matką? - spytała, układając w głowie fakty. Muszą jakoś dotrzeć do aktu zgonu, przecież tam na pewno jest imię, a nie inicjał.

- Akurat nie było ich w domu. A po całym zajściu, no cóż, po prostu wyjechali. Nie da się żyć na zgliszczach - odpowiedziała Agnieszka, wrzeszcząc ramionami. - W każdym razie nazwisko Lechicka nie jest tu mile widziane.

- Zauważyłam. Jutro rano wracamy - dodała pospiesznie Anna. - Ale jest coś jeszcze... - zawiesiła głos. - Coś bardzo tajemniczego i moim zdaniem właśnie tu należy szukać rozwiązania zagadki.

- Tak?

- Czy ten uratowany brat to ten dobry, czy ten zły?

ROZDZIAŁ 23

[29 grudnia 2019, o świcie]



Wpatrywała się w drewniany sufit małego pokoiku i wzdychała ciężko. Miała już tego dość. Ten cholerny sen wciąż nie nadchodził. Może gdyby umiała płakać, to teraz padłaby ze zmęczenia, a obrazy traciłyby ostrość? Za oknem powoli świtało, a ona nadal nawet nie zmrużyła oka. Po kolejnych piętnastu minutach upiornej męki zamaszystym ruchem odrzuciła kołdrę, sięgnęła po laptop i go włączyła. Gdy wydał znajomy pisk, poczuła ulgę. To niebywałe, jak rutyna porządkuje życie i daje złudne poczucie bezpieczeństwa.

Klikała automatycznie, bez większego zainteresowania, gdy nagle zobaczyła coś dziwnego. Zatrzymała palec na touchpadzie i zmrużyła oczy. To niemożliwe.

Niewiele myśląc, wzięła do ręki smartfon i odblokowała ekran. Po wybraniu numeru przyłożyła aparat do ucha.

– Odbieraj! – wysyczała niecierpliwie, nie spuszczając z oka migającej ikonki na monitorze.

– Halo... – usłyszała wreszcie upragniony, ale wyraźnie zaspany głos.

– Właśnie widzę aktywną komórkę mojego ojca! – wykrzyknęła do słuchawki.

– Mhm...

– Piachu, kurwa. On jest – albo raczej był – blisko domu! – Wanda się niecierpliwiła. Jak można spać w takiej sytuacji?

– Nie ojciec, tylko jego komórka – odpowiedział przytomnie detektyw, tłumiąc ziewnięcie.

– Dobrze, masz rację. Widziałeś go? Przyszedł do domu? Coś się dzieje?

– Lechicka z trudem hamowała wylewający się potok słów. – Masz jakieś ustalenia? Piachu! Kręci się po podwórku?

– Mhm, poczekaj, zobaczę coś – wyszeptał wspólnik, a w słuchawce dał się słyszeć odgłos tupania. – Wyglądam przez okno, nic się nie dzieje. Ale – dodał już mocniejszym głosem – mam wrażenie, że ktoś mógł się tu pojawić podczas mojej nieobecności. Drzwi od warsztatu były otwarte.

– Zrobiłeś przeszukanie?

– No tak tylko zajrzałem, ale nic się nie zmieniło, wiesz, na pierwszy rzut oka...

– Piachu, musisz wszystko dokładnie sprawdzić. Proszę cię, idź od razu i daj mi znać. Będę tu czekać! – Wanda wyprostowała się i strzeliła palcami. Migająca ikonka, która sygnalizowała telefon ojca, wyłączyła się.

– Jezu, daj trochę pospać, jest dopiero piąta – jęknął Piach.

– E tam, i tak nie śpisz. – Hakerka parsknęła śmiechem. – A masz coś nowego? Jakies ustalenia? No chyba tam działasz, co?

– Tak, ale opowiem wszystko, jak będziesz razem z Anką. Pisałem do niej SMS-y, ale to męczące.

– Idziesz do tego warsztatu?

– No dobra. – Piasecki ziewnął. – Rozejrzę się.

– Dzięki, to ważne. Zajrzyj naprawdę wszędzie.

– A jak wasz urobek? – Pociągnął nosem. Nie lubił takich uwag, przecież znał się na tej robocie jak mało kto. – Macie coś? – spytał, siląc się na przyjazny ton.

– Trudno powiedzieć. Mam ochotę rzucić to wszystko w cholere i wrócić do domu, do Warszawy. – W głosie Wandy pobrzmiwały tęsknota i wyraźne zniechęcenie. – Dziś pojedziemy jeszcze do miejscowości mojej matki, może tam wreszcie się czegoś dowiemy. Czuję się jak w jakimś pieprzonym Twin Peaks. Wiesz, taka niby metafizyczna atmosfera, a w rzeczywistości...

– Dobra, w kontakcie – uciął rozmowę Piasecki. Tak naprawdę wiedział, że niczego nie znajdzie w tym warsztacie, i marzył tylko o tym, by wrócić do ciepłego łóżka. Nie lubił tych filozoficznych gadek. Metafizyka i kryminał. Dobrze sobie.

Anna Maria Kier wyraźnie słyszała rozmowę wspólniczki. Cienkie ściany między ich pokojami nie dawały żadnego poczucia prywatności. W pierwszym odruchu chciała do niej pójść, ale stchórzyła. Nie miała pojęcia, jak dalej rozegrać tę sytuację. Czy powinna podzielić się z nią wszystkim, czego dowiedziała się wieczorem od Agnieszki, czy może jednak jakoś chronić Wandę i przekazać jej tylko niezbędną minimum?

Ale czy tajemnie faktów zbliży je do prawdy? Co będzie lepsze dla przyjaciółki?

Usłyszała znajome piknięcie. Wyjęła spod poduszki telefon i mrużąc oczy przed światłem wyświetlacza, kliknęła na kopertkę. Cholera, niedobrze, westchnęła, zobaczywszy nadawcę.

Jak najszybciej powinniśmy zacząć współpracować. Dotarłem do kolejnych informacji. Są tak zaskakujące, że przegrasz ten wyścig z czasem. TZ

Niemal automatycznie napisała:

Pomyliłeś adresy. Nie szukaj sensacji tam, gdzie jej nie ma.

Ziewnęła i nie czekając na odpowiedź, wcisnęła ikonkę YouTube'a. Na ekranie natychmiast wyświetlił jej się wczorajszy film z subskrybowanego kanału – *Jakie trupy wypadną z szafy Króla*.

– Cholera jasna! – syknęła. – Jeszcze i to.

Podciągnęła się na rękach i pogłośniła dźwięk. Tymon Zawadzki już od samego początku w emocjonujący sposób opowiadał o nowych sensacyjnych faktach, jak określił swoje odkrycia we wstępie do nagrania:

– Dzień dobry, kochani! Dotarliśmy do takich rewelacji, że potrzebujemy chwili, by zrozumieć, co się stało. Ale bądźcie czujni, wrócimy za kilka dni z taką petardą, że zmieciemy porządek tego świata. Wszystko się rozpadnie jak domek z kart. Może zdążymy nawet przed pogrzebem Króla. Pamiętajcie jednak: „Umarł król, niech żyje król”.

Kier usiadła na łóżku i przecierała oczy ze zdumienia. Miała wrażenie, że ogląda durne reality show. Po dramatycznym wstępie na kanale pojawił się trailer filmu. Szybki montaż, kadry, na których widać papierowe teczki. Szafa, mężczyźni z zapikselowanymi twarzami i politycy z najwyższych kręgów władzy, uściski dłoni, a wszystko to okraszone muzyką z filmów grozy. Albo ten gość naprawdę coś ma, albo zwariował. Anna włączyła trailer od nowa. A potem jeszcze raz. I kolejny. Następnie przeczytała komentarze, z których wyłaniał się obraz największej afery XXI wieku. Zrozumiała, że Tymon Zawadzki nie żartuje. Wciąż przedstawiał niewiele konkretów, ale odczytała je jako zaproszenie do gry. Ona da mu wskazane teczki, a on pokaże jej, jako pierwszej, co wytropił. A może powinna zaproponować mu odwrotną kolejność? A jeśli to pułapka? Co on mógł wytropić? Ojciec był tak ostrożny, że nikt nie miał na niego haka. Cholera jasna... No i czy on ma jakieś wtyki w prokuraturze? Dlaczego akurat teraz wspomniał o pogrzebie? To na pewno dzieło przypadku?

Anna zagryzła wargi i kliknęła na kopertkę, która właśnie pojawiła się na ekranie.

Daję ci tydzień. TZ

Szlag! Odrzuciła kołdrę i wyjrzała przez okno, za którym widniała czarna ściana lasu otulonego szalem z białego puchu. Poczowała, jakby

nagle znalazła się w potrzasku. Napisała krótkie wiadomości do matki i syna. Może potwierdzenie, że u nich wszystko jest w porządku, dostarczy jej paliwa potrzebnego do szybkiego uwolnienia się z tego labiryntu nieomówień i wątpliwości.

Usłyszała kroki i ciche pukanie do drzwi.

– Wejdz, Wanda, nie śpię.

– Posłuchaj... – Lechicka włączyła lampkę, usiadła na krześle i podciągnęła kolana pod brodę. Dopiero w świetle Anna zobaczyła, jak przyjaciółka źle wygląda: schudła, miała poszarzałą cerę i wydawała się jeszcze bardziej wycofana. Bordowa bluza, którą miała na sobie, wydawała się teraz o dwa numery za duża; Wanda przytuliła policzek do rękawów, jakby dotyk tego materiału miał jej przynieść ukojenie. Wreszcie wydusiła z siebie: – Mój ojciec jest prawdopodobnie blisko domu. Zlokalizowałam jego telefon – kontynuowała niepewnie Wanda. – Do tego Piach uważa, że ktoś kręcił się po warsztacie podczas jego nieobecności. Moim zdaniem musimy wracać, chyba nic tu po nas – dodała cicho, wpatrując się w przyjaciółkę z nadzieją w oczach. Kiwała się przy tym, jakby chciała dać upust narastającemu w jej ciele napięciu.

– Dobrze, Wanda, ale jeszcze, zgodnie z planem, zahaczmy o miejscowość twojej matki. To po drodze – odpowiedziała Anna ciepłym głosem. Właśnie w tym momencie podjęła decyzję, że informacje od Agnieszki przekaze współpracownicy później, gdy ta nabierze sił.

– To ja się pakuję! – Hakerka wstała niespodziewanie, mocno uderzając bosymi stopami w drewnianą podłogę.

– Poczekaj. Wiesz, że to nie musi być twój ojciec?

– Mhm...

– To może być ktoś, kto po prostu ma jego komórkę, tak? – Anna mówiła jak do dziecka. Widziała, że Wanda jest wyczerpana. Najchętniej przytuliłaby przyjaciółkę, żeby dać jej się wypłakać, ale ani jedno, ani drugie nie wchodziło w grę.

– Wiem, wiem, ale on jest tam, a nie tu. Chcę wracać do domu, a najlepiej do Warszawy... – Głos jej się załamał.

Anna zrobiła miejsce obok siebie i pokazała, żeby tam usiadła.

– Musimy zjeść porządne śniadanie. Agnieszka niedługo wstanie. Chodź tu do mnie. – Skinęła głową, by dodać jej odwagi. – Musimy się wypaść przed drogą. No chodź, nie bój się, nic ci nie zrobię! – Anna uśmiechnęła się przyjaźnie, na co Wanda wybuchnęła śmiechem.

– Ja i tak nie lubię heteryczek – odparła i położyła się niemal na brzegu łóżka. Po dłuższej chwili leżenia bez ruchu i niemal bez oddechu wyraźnie się jednak rozluźniła.

Kier otuliła przyjaciółkę kołdrą, wyciszyła komórkę i schowała ją pod poduszkę, a Wanda powoli zaczęła zasypiać.

Nie ma chyba niczego piękniejszego na porannym spacerze niż widok Pałacu Kultury. Ten ukochany symbol jego miasta sprawiał, że ilekroć Janusz spoglądał na tę budowlę, czuł się bezpiecznie. Wiedział, że jest w domu. Ośnieżone szczyty, kręte drogi i zapierające dech w piersiach górskie landszafty wydawały mu się nudne. Nie był tu u siebie i nigdy nie będzie.

Nie mógł spać. Nim ośrodek zaczął tętnić życiem, on już wrócił z samotnego porannego spaceru, znudzony i stęskniony za domem. Jak zawsze w pierwszej kolejności sprawdził walizkę, na szczęście wszystko było na swoim miejscu. Gdyby nie złożona Ance obietnica, już dawno by stąd wyjechał. Szachy z Thomasem też już mu się znudziły. No i jeszcze ten lęk – całymi godzinami wzbierał w jego ciele niczym gęsta woda podpływająca do krawędzi naczynia, a on drżał, żeby nie wypłynęła choćby jedna kropla, bo gdyby wszystko się wylało, nie byłoby już odwrotu.

Zasunął kotary, sprawdził, czy drzwi są zamknięte na klucz, usiadł na łóżku i wyjął telefon z kieszeni marynarki. Rozejrzał się bacznie, jakby wciąż nie dowierzał, że nadal jest sam. Nie chciał, by ktoś się dowiedział, że kilkanaście razy dziennie sprawdza ten cholerny kanał w Internecie, i to wcale nie dlatego, że jest takim fanem, wręcz przeciwnie. Musiał mieć absolutną pewność, że sprawy wciąż są pod kontrolą. Wcisnął ikonkę i zobaczył dzwoneczek. Jest nowy filmik. Janusz zamrugał, poprawił okulary i wyteżył wzrok. Gdy na ekranie pojawił się Tymon Zawadzki z tym swoim diabelskim uśmiechem, ojciec Tristana poczuł ucisk w żołądku. Przełknął ślinę i nacisnął „play”. Po obejrzanych zapowiedziach i trailerze siedział jak w stuporze. Serce waliło mu jak oszalałe, nie mógł nawet drgnąć.

Jeśli jego organizm miał rację, to właśnie podpowiadał mu, że powinien natychmiast skontaktować się z Anką. Drżącymi rękami wbił jej numer, przyłożył telefon do ucha i czekał. Nie odebrała. Ponowił próbę. Znowu to samo. „Zostaw wiadomość”.

Zrezygnowany spojrzął na zegarek. Pewnie śpi, pomyślał. No tak, nie ma jeszcze ósmej.

ROZDZIAŁ 24

[29 grudnia 2019, rano]



Miejscowość, z której pochodziła matka Wandy, Danuta Wenerska, znajdowała się czterdzieści pięć kilometrów na zachód od Rybaków. Po obfitym śniadaniu detektywki szybko się spakowały i pełne tak potrzebnej energii ruszyły w drogę. Wanda ustaliła z Agnieszka, że gospodyni będzie jej relacjonować, co się dzieje w sprawie domu Lechickich, a także odmówi w jej imieniu realizacji projektu strony internetowej. Nie miała ochoty, żeby ktoś wymachiwał w jej stronę krzyżem. Dopiero podczas śniadania wspomniała, że było to dla niej nieprzyjemne. Nieprzyjemne, czyli mocno cię zaboląło, pomyślała wówczas z czułością Anna.

Gospodyni okazała hakerce ogrom zrozumienia. Mimo nieco dziwnego stylu bycia, Agnieszka była wyraźnie poruszona jej sytuacją. Obiecała wsparcie i informowanie o wszystkim, co mogłoby przybliżyć Lechicką do odnalezienia rodziny. I coś jeszcze. Zaproponowała, że pogrzebie w papierach urzędu – przecież tam muszą być jakieś szczegółowsze informacje. Ale to po Nowym Roku, bo podczas przerwy świątecznej nie było tam żywego ducha.

Wspólniczki były skłonne wierzyć, że naprawdę to dla nich zrobi.

– No i? – Anna Maria Kier spojrzała na przyjaciółkę, która właśnie zakończyła rozmowę z lekarzem dyżurnym szpitala wojewódzkiego.

– Po staremu, jutro będą próbowali wybudzić ją ze śpiączki – odpowiedziała Wanda i spojrzała na drogę. Wreszcie znalazły się na głównej trasie i mogły przyspieszyć. – Chciałabym być przy tym – dodała szeptem.

– Kochana, jeszcze trochę. Obiecuję, że znajdziemy twojego ojca i wszystko dobrze się skończy. Obiecuję.

– Mhm. Jeśli żyje. Przecież to niemożliwe, żeby tak sam z siebie nie dawał znaku życia, nie uważasz?

– Wiesz, w życiu naprawdę różnie bywa. – Kier uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Ale nawet jeśli mnie nienawidzi, to to, co teraz wyprawia, jest zwyczajnym znęcaniem się nade mną. Nie, no chyba nie jest aż takim potworem i psychopatą. Ja rozumiem, że mnie nienawidził, ale można aż tak krzywdzić własne dziecko?

– A co zrobisz z tym domem? – Anna próbowała ostrożnie zmienić kierunek rozmowy. Nie była gotowa na wyznanie współniczce prawdy na temat pożaru i związanych z nim niewiadomych. Jeszcze nie teraz. Na szczęście przyjaciółka nie dopytywała o nic, jakby zakładała, że Kier nie wyciągnęła z Agnieszki niczego szczególnego. To wszystko wyraźnie ją przerastało.

– Nie wiem... Mam nadzieję, że starzy się tym zajmą, to w końcu rodzinny dom ojca. – Rozłożyła bezradnie ręce.

– Muszą mieć jakieś dokumenty, jestem pewna, że wszystko jest do odtworzenia. – Kier zwolniła, bo zgodnie ze wskazaniem GPS-u za chwilę powinna skręcać. – Nawet jeśli nigdy nie zamierzali tam wrócić – dokończyła stanowczym tonem.

– Tu, w lewo – odpowiedziała od niechcienia Wanda i wyprostowała się na siedzeniu pasażera. – Mam nadzieję, że będzie tam kogo popytać i nie władujemy się do kolejnego Twin Peaks.

– Spokojnie, przecież Kier i Wspólnicy to najlepsza agencja w Polsce! – Anna puściła oko do współniczki i wjechała do miejscowości. – Zaczniemy od kościoła, w takich miejscach księża są jak Wikipedia. No, mała! Głowa do góry!

Pierwszy budynek, jaki przed nimi się pojawił, to był rzecz jasna kościół.

Kier parsknęła śmiechem.

– A nie mówiłam! – rzuciła wesoło, ponieważ Wanda coraz bardziej zapadała się w sobie, jakby otulał ją lepki mrok, z którego nie można się wydostać.

Zaparkowały przy ulicy, między kościołem a niewielkim cmentarzem. Groby, przyprószone białym śniegiem, wyglądały z daleka jak kopce. Wanda podeszła do drewnianego ogrodzenia i pogładziła je dłonią.

– Ciekawe, gdzie mama chciałaby być pochowana – powiedziała do Anny w zamyśleniu. – Może właśnie tu, na Podlasiu? Jak myślisz?

– Może, ale to nie czas na takie pytania, chodźmy lepiej do księdza. – Kier złapała współniczke za rękę i pociągnęła za sobą. Wanda była jak

szmaciana lalka, poddała się bez oporu.

Podeszły do drzwi, zastukały mocno, ale nikt nie otworzył. Okrążyły budynek, nawoływały, delikatnie uderzały w szyby i parapety okien na parterze. Bezskutecznie. Wszystko było zamknięte na cztery spusty, a zaniedbany teren mógł sugerować, że to opuszczone miejsce.

Nieco na uboczu, zaraz za dzwonnica, znalazły mały drewniany domek. Brudne, niemal czarne szyby i dziura w dachu sugerowały, że nikt tam nie mieszka. Zapukały, ale też odpowiedziała im głucha cisza.

– Chodźmy na ten cmentarz, nie jest duży, może znajdziemy jakiś grób Wenerskich? – Wanda pokazała brodą na wprost. Mimo chłodu miała rozpiętą kurtkę i rozchełstany szalik. Rozpalona twarz zdradzała silne emocje. Jej pancerz zaczynał pękać.

– Jasne. – Kier energicznie ruszyła, wciąż oglądając się za siebie. Nieobecność ludzi i cisza tego miejsca wydawały jej się złowroge.

Nekropolia była naprawdę niewielka. Od razu przy wejściu natknęły się na małe groby, zwykle białe, ozdobione figurkami aniołków. Dalej były dwa rzędy sosnowych krzyży, a dopiero w trzeciej alejce mogły odczytać na tabliczkach pierwsze nazwiska.

Wanda zwolniła, by przyjrzeć się każdej z nich.

– Zobacz, są! – krzyknęła nagle i przywołała przyjaciółkę energicznym ruchem dłoni. Anna podbiegła, rozkopując śnieg. – Cała rodzina Wenerskich, widzisz? – Wskazała dłonią na marmurową tablicę. – Te lata śmierci pasowałyby do moich dziadków, a nawet pra-. Tak, to chyba imiona rodziców matki, coś mgliście kojarzę. O, i pewnie ta Karolina to moja ciotka. Urodziła się na rok przed Danutą. – W głosie Wandy słychać było ożywienie. – Zmarła całkiem niedawno, niecałe dwa lata temu.

– Kojarzysz, żeby twoja mama była tu na jakimś pogrzebie? – spytała Kier, mrużąc oczy.

– Gdzie tam – zaprzeczyła Lechicka. – Ale może i była, wiesz, jak fatalnie wyglądały ostatnio te nasze kontakty. No ale nigdy o niej nie słyszałam, tego jestem pewna.

– A może ciotka Karolina miała dzieci, męża? Chodźmy do wsi, popytamy! – Anna zrobiła zdjęcie tablicy nagrobnej i wróciła na główną ścieżkę. – No chodź, zimno jest, a oni nic nam więcej nie powiedzą. O cholera! – Spojrzała na wyświetlacz, by sprawdzić jakość zdjęcia. – Nie włączyłam dźwięku. Janusz się do mnie dobijał.

- Nareszcie oddzwaniaasz! - Były mąż Anny nie krył niezadowolenia. Sapał do słuchawki.

- Sorry, byłam wyciszona, jak to czasem w pracy. - Detektywka natychmiast uruchomiła tryb „tłumaczeniowy”. - Coś się stało?

- Aaa tak, to znaczy nie... - Janusz zaczął się miotać. - Po prostu bardzo się zdenerwowałam, że nie dajesz znaku życia. Jak tak można!

- Jezus Maria, pracuję. Nic nie poradzę na te twoje lęki, nie możesz mnie nimi obciążać. - Anna zerknęła na Wandę, która ewidentnie nie mogła się ruszyć sprzed grobu Wenerskich, jakby coś ją tam zatrzymywało. - No ale co tam u was?

- Dobrze, dobrze...

- A jak Tristan?

- A on to akurat bardzo dobrze! Złapał taki kontakt z Haną, że aż miło popatrzeć. Są nierozłączni, ale myślę, że wiesz, po prostu nadrabiają te wszystkie lata i przepracowują... no ten... traumy... - Głos Janusza stracił impet. Obydwoje z Anną wiedzieli, co próbował przez to powiedzieć. I obydwój nie chcieli kontynuować tego wątku.

- Cieszę się - odparła Kier przez ściśnięte gardło. - Boże, jakie to szczęście, że już po tej całej chorobie. To zdecydowanie najlepsze, co mogło nam się teraz przytrafić.

- Tak, to twoja zasługa, Ania.

- A ty? Jak się czujesz? - szybko ucięła temat. Nie chciała wracać do przeszłości.

- No wiesz, tu jest doprawdy przepięknie! Te widoki są zachwycające! Codziennie chodzę na spacer, gram z Thomasem w szachy, dużo czytam i...

- I już chciałbyś wracać do domu, co? Do swojego brązowego narożnika i Pałacu Kultury - dokończyła za niego. Jak ona dobrze знаła swojego byłego męża. Janusz czuł się dobrze tylko w swoim mieszkaniu, w swoim fotelu i w swojej kuchni.

- No wiesz, jak to jest... Słuchaj, a wiadomo już, co z pogrzebem Króla? - Były mąż Anny nie chciał przyznawać jej racji. Byłoby to po prostu niegrzeczne, wzięwszy pod uwagę fakt, że to Anna zasponsorowała ten górski wypad.

- Dlaczego akurat teraz o to pytasz? - Poczula znajomy ucisk w żołądku. Dokładnie taki sam, jak podczas oglądania filmiku Zawadzkiego. On też mówił o pogrzebie. I Tobiasz.

- Ach, bo... no wiesz, już długo to trwa. A co, masz coś nowego?

- Tak, tuż po Nowym Roku Harpagon wyda ciało. - Kier spojrzała na grób, przy którym stała. Poczula się nieswojo. No i wyjątkowo irytowała ją powolność byłego męża. Znała go na tyle, że wiedziała, iż próbuje coś z siebie wydusić. - Zamykają śledztwo - dodała w końcu.

– Och, to wspaniale! – krzyknął nieoczekiwanie Janusz, ale po chwili wyraźnie się zmitygował. – No, w sensie, że możemy wreszcie dać mu odejść – dorzucił smutnym tonem, zdawszy sobie sprawę z niezręczności.

– Tak, nareszcie zamykamy ten etap. Na cmentarzu.

– No tak. A co ze śledztwem? Wciąż nie mają sprawcy? Albo choćby podejrzanego? – kontynuował Janusz ściszym głosem.

– Nie, moim zdaniem to robota Tobiasza, ale jest mi już naprawdę wszystko jedno. Słuchaj, a po co ty do mnie właściwie dzwonicz? – Annę oblewała kolejna fala irytacji.

– Musisz pilnie postanowić, co dalej z szafą Króla, Anutku. – Janusz nagle przeszedł do meritum. – A najlepiej spał to wszystko w cholere. Koniec to koniec. Raz na zawsze.

– Porozmawiamy, jak wrócę. Bądźmy w kontakcie. Ucałuj Tristana ode mnie i powiedz, żeby mi wreszcie odpisał na SMS-a.

Spojrzał na kartkę i podrapał się po brodzie. Hm, czy na pewno niczego nie pominąłem? Ireneusz Piasecki w zamyśleniu potarł oczy, poprawił okulary i ponownie zerknął na wypunktowane ustalenia:

- 1) *Jan Lechicki mieszkał w tym domu przynajmniej do połowy grudnia.*
- 2) *Wyjechał dokądś samochodem, białą kią sorento, do której pakował jakieś maszyny stolarskie.*
- 3) *Zamierzał wrócić na Wigilię, do tego czasu kwiatki miał podlewać sprzedawca ze sklepiku U Joli.*
- 4) *Ojciec Wandy nie miał wrogów, choć był nielubianym gburem.*
- 5) *Rodzice Wandy nie byli małżeństwem.*
- 6) *Prawdopodobnie Wanda nie jest biologiczną córką Jana – sprawdzić grupy krwi.*
- 7) *Chyba ktoś się kręcił po posesji, ale nie ma na to dowodów, może mi się wydawało.*

Wyglądził dłonią kartkę, by rozprostować zagięcia. Wiedział, że Anna nie cierpi niechlujnych notatek. Przypomniał sobie, jak wielokrotnie mówiła, że porządek w papierach to porządek w głowie. Myślałby kto! Uśmiechnął się, ponownie rozprostowując nieco pomięty papier. Spojrzał na zegarek. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, współpracownicy powinny dojechać przed północą. Zdąży wypić jedno piwko, no, może dwa. I zanim przyjadą, wszystko z niego wyparuje jak gdyby nigdy nic. Nie może znowu

im podpaść, ale naprawdę zasłużył na nagrodę. Notka wyglądała imponująco.

Wstał z krzesła, wyrzwał przez okno. Śnieg przestał prószyć, a na drogach gdzieś widać było czarny asfalt. Jak tak dalej pójdzie, to w sylwestra nie będzie śladu po zimie. Spojrzał na warsztat. Czy to możliwe, że drzwi są znowu otwarte? Pewnie ich nie domknął, kiedy rano sprawdzał dla Wandy ten cały opuszczony składzik. Hm, nie, no chyba jednak zamykałem. Podrapał się po brodzie. Silny wiatr robił swoje, na podwórzu wciąż coś upadało lub przesunęło się pod wpływem podmuchów. Piasecki wspiął się na palce, by spróbować dojrzeć coś dalej, ale na jego oko nie było niczego podejrzanego.

- No dobra, zamknę je jeszcze raz! - wysapał, po czym zarzucił kurtkę na grzbiet i ruszył na zewnątrz, tęsknie zerkając w stronę lodówki.

- Co jest, cholera jasna! - krzyknął, gdy uchylił drzwi do warsztatu i włączył światło. Na podłodze stała paczka - karton owinięty w świąteczny papier, udekorowany dużą czerwoną kokardą.

Podszedł ostrożnie, oddychał głęboko. A jeśli to bomba?, przemknęło mu przez myśl i odruchowo skulił ramiona. Nachylił się, przyłożył ucho, ale nie dobiegło go żadne tykanie.

- Uff... - Głośno wypuścił powietrze i uważnie się rozejrzał. No bez przesady, kto tu na wsi będzie konstruował bomby, dobre sobie. A może to prezent od dawnego adoratora?

Co tu robić? Przesząpił z nogi na nogę, zdjął okulary i pomasaował wgniecenie od nich na nosie.

Obszedł dookoła niemal puste pomieszczenie. Miał wrażenie, że rano na ścianach wisiało trochę więcej narzędzi. Ale może tak mu się tylko zdawało? Delikatnie przesunął dwa stoły, robiąc przy tym dużo hałasu. Ale i tam nie było nic ciekawego.

Po dłuższym zastanowieniu Piasecki postanowił nie informować na razie współpracowników o znalezionej przesyłce. I tak będą tu za kilka godzin, lepiej żeby zajęli się tym we trójkę, bo jak znał Ankę, będzie mu natychmiast kazała to otworzyć. Jeśli to faktycznie prezent, to głupio niszczyć opakowanie, a jeśli coś ważniejszego, to i tak Wanda będzie musiała się tym jakoś zająć.

Dokładnie zamknął drzwi, przystawił do nich pieniek i wrócił do domu, prosto do kuchni. Dwa piwa jeszcze nikomu nie zaszkodziły, pomyślał, dodając sobie otuchy. Przecież nie mogą się zmarnować.

Wspólniczki ruszyły przed siebie. Złota skoda fabia Kier przemierzała powoli wieś. Detektywki obserwowały uważnie okolice, szukając wzrokiem jakiejś postaci, ale nigdzie nie było żywego ducha. Wanda pomyślała, że właśnie znalazły się w grze komputerowej. Miasteczko jest wymarłe, a zza rogu za chwilę wyjdzie na nich gromada zombie. Parsknęła śmiechem. Anna spytała wzrokiem, o co chodzi, ale ona machnęła tylko ręką. Chichotała jak nastolatka.

– Tu jest pięć domów na krzyż – powiedziała Kier po przejechaniu kolejnego odcinka drogi. – Straszne są takie wymarłe wsie...

– Do tego tylko w kilku świeci się światło. Nie ma nawet sklepu, to naprawdę dziura zabita dechami – dorzuciła zniecierpliwiona Wanda. Już miała serdecznie dosyć tego bezsensownego błakania się po wyludnionej okolicy z potencjalnymi zombie. – O, tu, przed tym czerwonym domem, są jacyś ludzie, dawaj! – Wanda uderzyła dłonią w okno.

Kier zahamowała ostro, tym samym przyciągając wzrok osób z podwórka, młodych ludzi z jamnikiem na smyczy i z dzieckiem. Pies zaczął hałaśliwie szczekać. Właściciel, mężczyzna z długą brodą, wziął go na ręce.

– Ależ nas pani wystraszyła! – rzucił do Anny, głaszcząc trzęsącego się zwierzaka.

– Przepraszam – odpowiedziała, skłaniając głowę. – Szukamy kogoś z rodziny Wenerskich, może wiecie, gdzie mieszkają? – przeszła od razu do konkretów.

– Nieee – odezwała się nagle stojąca obok kobieta. Wzięła dziecko na ręce.

Zachowywała się, jakby coś im groziło. Dziwne.

– A Karolina Wenerska? Zmarła dwa lata temu. – Do rozmowy włączyła się Wanda. – To moja ciotka, dzień dobry! – Lechicka pomachała przyjaźnie do wystraszonego małżeństwa.

– Aaaa, pani Karolina. – Kobieta pokiwała głową i naciągnęła dziecku czapkę głęboko na oczy. – Mieszkała tam, przy kościele... – Machnęła ręką w stronę, skąd właśnie przyjechały.

– A nie miała męża? Dzieci? Rodziny? Szukamy kogokolwiek spokrewnionego. – Wanda czuła narastające zdenerwowanie. – Tamten dom, o którym pani wspomina, wyglądał na opuszczony. Właśnie stamtąd wracamy.

– Pani Karolina? Męża? Wykluczone! – Mężczyzna zaczął się śmiać i postawił jamnika na topniejącym śniegu. Pies zaskomlał i podniósł łapkę. – Gonila chłopów, wszyscy jej się bali, ale tak, wiecie, tylko trochę. Fajna kobitka z niej była. Zawsze pożartowała, lubiłem ją. Nie żyje, a jej dom marnieje, to fakt. Podobno miała jakąś siostrę, ale co ja tam wiem. – Mężczyzna nerwowo zerkał na żonę.

- Dlaczego tu w ogóle nie ma ludzi? - Anna omiotła spojrzeniem okolicę. W kilku najbliższych domach nie było widać nawet leżącego dymu z komina.

- Powyjeżdżali lub poumierali. O, albo zostali pooddawani do domów starców. Tu nie ma z czego żyć. Za kilka lat buldożer tu przejedzie i zostanie tylko zielona trawa. - Mężczyzna odparł takim tonem, jakby to zdanie wypowiadał już kilkaset razy. Choć mówił rzeczy straszne, to jakoś tak beznamiętnie. - Nawet księdza nie ma. Kościół stoi pusty, szkoda gadać. - Machnął ręką.

- A nazwisko Lechicki coś wam mówi? - Wanda nie mogła pozbyć się wrażenia, że ci ludzie tak naprawdę nie istnieją, jakby zmysły ją zawodziły.

- Oczywiście, to ten bandyta z Rybaków - szepnęła kobieta, ale zaraz potem zacisnęła usta, tworząc z nich jedną linię, jakby żałowała, że wypowiedziała to zdanie.

- Słucham? - Hakerka, nie dowierzając, zrobiła krok do przodu. - Jak to bandyta? - Zrobiła kolejny ruch, zmuszając rodzinę do odwrotu.

- Do widzenia, spieszmy się! - Ojciec rodziny objął żonę i pchnął ją w stronę domu. Nie oglądając się za siebie, zniknęli za drzwiami. Nawet ich nie otwierali kluczem, wystarczyło nacisnąć klamkę.

- O czym oni mówią? - Wanda odwróciła się do współniczki. - Jaki bandyta?

- Jedźmy do Piacha, wszystko ci opowiem! - Anna wyglądała, jakby się zapowietrzyła. - No chodź, nic tu po nas. - Pociągnęła stojącą nieruchomo przyjaciółkę za rękaw kurtki.

ROZDZIAŁ 25

[29 grudnia 2019, po południu]



Krajobraz za oknem był nużący. Ośnieżone drzewa, jeziora, których tafla stykała się z błękitnym niebem, białe pola przywodzące na myśl wolność i nieskończoność wydawały jej się okropne. Zamknęła oczy. Naprawdę można rzygać pięknem, pomyślała, ale nie odwróciła głowy od okna pasażera. Na szczęście Anna rozumiała tę potrzebę i wreszcie zamilkła. Po zrelacjonowaniu wszystkiego, czego się dowiedziała od Agnieszki, wiedziała, że współniczka musi przetrwać te informacje. Po swojemu. Mentalna ucieczka to coś, w czym nie miała sobie równych.

Po prawie godzinnej podróży w ciszy hakerka wreszcie spojrzała na przyjaciółkę. Powoli otwierała usta, jakby jej się rozsznurowywały.

– Czyli... – zaczęła wreszcie. – Czyli nie wiadomo, czy mój ojciec, Jan Lechicki, był tym dobrym, czy złym bratem, tak? – Uciekła wzrokiem przed siebie.

Anna przytaknęła. Znacznie zwolniła, by móc poświęcić nieco więcej uwagi współniczce.

– Ale moim zdaniem ludzie się tak nagle nie zmieniają. Przecież twój ojciec nie był przemocowy?

– Nie był.

– No właśnie. Nie wszczynał awantur, nie miał zatargów z sąsiadami, jak to było w Rybakach. Nie pobił nikogo, nie skrzywdził. To wycofany introwertyk, nie był bestią ani bandytą – dodała po chwili Kier, odczekawszy, aż Wanda ponownie na nią spojrzy. – Wiesz przecież, że tego się nie zmieni tak w sekundę. – Pstryknęła palcami nadspodziewanie głośno. – W ciągu kilku dni, tak? – Anna starała się odzyskać uwagę współniczki, bo ta znów odwróciła głowę.

– Może masz rację. – Wanda podciągnęła kolana pod brodę, obejmując je dłońmi. Znowu zapadła cisza, przerywana tylko podmuchami wiatru

w szyby samochodu. – Ale jest coś jeszcze! – Lechicka nagle podskoczyła.

– A co się stało z matką tych braci, czyli z moją babcią?

– Dobrze pytanie.

– Nie, no ja muszę pogrzebać w sieci, bo oszaleję. – Wanda pociągnęła nosem i sięgnęła po plecak z laptopem. Kier uśmiechnęła się na ten widok. Wiedziała, że świat online to dla współpracownicy najlepsze miejsce. I jedyne, by zachowała resztki sił.

– Pracuj, pracuj... – skomentowała, wciskając pedał gazu. – A, jeszcze jedno! – dorzuciła głośno, jakby właśnie coś sobie przypomniwała.

– Tak? – bąknęła Lechicka, nie odrywając się od monitora. Uniosła lewą brew.

– Gdzie są te pieniądze, te trzydzieści tysięcy złotych, które wypłacała z bankomatów twoja matka? W portfelu ze szpitalnego depozytu nie było tej kasy, prawda?

– Mhm... Tylko jakieś euro.

– No właśnie. – Anna głośno wypuściła powietrze przez nos. – Gdzie jest ta kasa?

Kolejne minuty mijały im na jednostajnej, nużącej jeździe. Wanda klikała w laptopie, od czasu do czasu prostowała plecy albo strzelała palcami. Momentami uśmiechała się, czasami klaskała w dłonie lub wydawała pomruki niezadowolenia. Anna uśmiechnęła się pod nosem. Taką Wandę lubiła najbardziej. Działającą, a nie poddającą się marazmowi. Z taką współpracownicą rozwiążą tę zagadkę, była tego pewna.

– Anka! Mam! – krzyknęła nagle Lechicka, a Kier odruchowo przyhamowała i zmieniła pas, by przepuścić szybciej jadące samochody. – Znalazłam stary wpis na zarchiwizowanym forum, w którym ktoś poruszył temat pożaru domu w Rybakach. Oczywiście nie pada nazwa miejscowości, tylko szeroko pojęte Podlasie. Mało konkretów, ale ewidentnie jest mowa o domu ojca.

– Wanda, spokojnie, nie gorączkuj się! – upomniała rozemocjonowaną współpracownicę Anna.

– Te komentarze to kopalnia wiedzy! – Lechicka znów klasnęła w dłonie. – Poczekaj... – Zmarszczyła brwi, wciąż scrollując ekran. – O, tu ktoś pisze: *A skąd wiesz, że to nie ściema? Może obaj bracia żyją? Może to podpalacz albo ktoś obcy, przypadkowy gość. Nikt na sto procent nie zidentyfikuje zwęglonych zwłok. Skwarki to największa zagadka.*

– To musiał napisać policjant. – Kier po chwili namysłu weszła w temat. – Cywile nie piszą w ten sposób. „Identyfikacja”, „zwłoki”, no i „skwarka”. Jestem pewna, że to ktoś ze służb. Niekoniecznie z tamtych okolic, ale nie można tego wykluczyć.

- Tak, tak, dobry trop. Szukam dalej. Co prawda to cholernie stare forum, części danych już nie ma, ale może jeszcze coś znaleźć. Pożar, bracia z matką, lokalny bandyta, Podlasie... Że też ja wcześniej nie miałam tych danych... Dobrze, już nie patrz tak na mnie, zaraz się uspokoję. - Wanda podniosła rękę jak chirurg przed operacją, uśmiechnęła się, a oczy wreszcie zaczęły jej błyszczeć. Była w swoim żywiole. - Ktoś ewidentnie czyścił te wątki, tak by nie można było połączyć kropek - mamrotała hakerka pod nosem.

- Albo był odgórny zakaz. Jeśli cała ówczesna społeczność brała w tym udział, to policja i urzędnicy także.

- Tak, tak. Ktoś wspomina o jakimś policjancie... E tam, to już bzdury! - dodała żywiołowo Lechicka, nie odrywając oczu od monitora.

- Słuchaj, za dwie godzinny powinnyśmy być u Piacha, zadzwonisz do niego?

- Taaa, zaraz, zaraz... - odpowiedziała automatycznie Wanda i zbliżyła twarz do ekranu. Wpadła na następny trop, oczy jej błyszczały, mówiła coś do siebie, poruszając bezgłośnie ustami, a jej palce w nadzwyczaj szybkim tempie stukały w klawiaturę.

Anna uśmiechała się pod nosem, widząc zaangażowanie współniczki. Wanda niczym pies myśliwski złapała trop i będzie podążała nim dopóty, dopóki dokąś jej nie zawiedzie.

Kier prowadziła pewnie, szybko, ale jej myśli znowu odplynęły w stronę Tymona Zawadzkiego. A gdyby tak połączyć siły? Jego profile dosłownie pęczniały od nowych subskrybentów, polubień i komentarzy. Może by tak pokazać mu teczki, o które prosi? Dzięki temu miałyby pewność, że Harpagon jej tego wszystkiego nie odbierze, bo nie miała wątpliwości, że tak się właśnie stanie po pogrzebie ojca. Ale przecież na oczach tysięcy followersów nie wjedzie tam buldożerem. Tylko dlaczego Janusz też akurat teraz o to spytał? Może coś wie? Przecież tuż przed śmiercią Króla był u niego, do tej pory nie wyjawiał tak naprawdę po co. Chciałaby o tym z kimś pogadać, ale nie miała z kim. Aleks w Niemczech, przesyła tylko zdawkowe wiadomości lub świntuszy, Wanda w swoim świecie... Hm, a może Zawadzki i Dębska to naprawdę dobra komitywa? Anna się zamyśliła. Trasa, którą pokonywały, była bezpieczna, pod kołami ciemniał asfalt, samochód dobrze trzymał się drogi. Za chwilę będą u Piacha. No tak, jeszcze ustalenia Piaseckiego. Anna miała wrażenie, że współnik niewiele wymyślił, jego meldunki były lakoniczne. Nagle przyszło jej do głowy, że on znowu pije. Tylko nie to, jęknęła.

- Co jest? - Wanda wreszcie oderwała się od monitora. Rozmasowała obolały kark i potarła czerwone, zażawione oczy.

- Nic, w porządku. Chcesz kawy? Tam jest stacja. - Kier wskazała broda przed siebie.

– Bardzo! I zjadłabym coś. Przed nami cała noc pracy. – Lechicka klasnęła w dłonie.

– Już się robi! Aha, a jak z komórką twojego ojca? Nadal wyłączona? Nie logowała się w którejś stacji bazowej BTS?

– Niestety. Wyłączona na głucho. – Wanda nerwowo podrapała się po brodzie.

– No trudno, poradzimy sobie. – Kier puściła oko do współpracownicy, żeby ją uspokoić. – Masz coś nowego? – spytała i włączyła kierunkowskaz. Skreśliła na stację benzynową.

– Oczywiście! Coś, co przeoczyliśmy, a jest ważne, i to mega. Dobra, opowiem ci na obiedzie, chodźmy! – Lechicka włożyła laptop do plecaka i zwinnie wyskoczyła z auta.

Kier dawno nie widziała jej w tak dobrym stanie. Miała nadzieję, że ta euforia to początek końca tej sprawy. I że wreszcie odnajdą Lechickiego. Żywego lub nie.

Detektywki spojrzały na talerze. Parująca zupa, odgrzana w kuchence mikrofalowej, nie wyglądała dobrze, ale machnęły na to ręką. Były cholernie głodne. Na stacji panowała cisza, kręciło się niewiele osób.

– No dobrze, to co tam znalazłaś? – Anna przełknęła pierwszą łyżkę zupy i wbiła zaciekawione spojrzenie w przyjaciółkę.

– Po pierwsze, od tego cholernego pożaru pod koniec ubiegłego miesiąca minęło dokładnie trzydzieści lat. Ja w tym roku skończę trzydzieści cztery, zatem mieszkałam tam przez pierwsze lata życia. Od razu mówię – podniosła dłoń – że nic nie pamiętam z tamtego okresu.

– No i?

– Agnieszka mówiła, że w tym spalonym domu mieszkała kobieta z dwoma synami. A co ze mną i matką? Bo zakładam, że ta bywająca tam czasami kobieta z dzieckiem to właśnie my.

– Dobre pytanie.

– Ale ja właściwie nie o tym chciałam mówić... – Wanda lekko się zmieszała. Kier zrozumiała, że przyjaciółka cały czas szuka potwierdzenia, że jej ojciec, Jan Lechicki, nie był tym złym bratem.

– Trzydzieści. Dokładnie po tylu latach sprawa się przedawnia. A to oznacza, że kwestia pożaru znika z wokandy, jest umarzana i nie można jej wznowić.

– Tak, masz rację! – Anna pokiwała z uznaniem głową. – Sprawca uniknie odpowiedzialności, nie ma zmiłuj!

– Przypadek? Nie sędzę. – Wanda uśmiechnęła się, wyraźnie z siebie zadowolona. – Jeszcze nie wiem, jaki to ma związek z moim ojcem, ale coś mi mówi, że to dobry trop. Bardzo liczę na to, że Agnieszka dotrze do

urzędowych danych i że wszystko się poskłada. No, zjadamy i lecimy do Piacha. Zadzwońię do niego, że będziemy za godzinę. Z tymi informacjami dostępne w domu dokumenty będę czytać inaczej. No i przetrzepiemy strych. Niech zaparzy dużo kawy!

Wanda po zjedzeniu dwóch talerzy zupy pomidorowej wyszła na zewnątrz i sięgnęła po telefon. Zapadł zmrok, którego nie lubiła podczas podróży autem. Anna obserwowała przez okno energiczne ruchy współniczki. Wanda żywiłowo dyskutowała, wymachując rękami, podczas gdy Kier, powoli dopijając dużą kawę, zastanawiała się nad dalszym rozwojem wypadków. Najwięcej danych ma matka Wandy. Anna poczuła silne ukłucie w dole brzucha. Ten nieszczęsny wypadek na pierwszy rzut oka wyglądał na próbę wyeliminowania Wenerskiej. Ale czy na pewno? Może to tylko wypadek. Kiedy wreszcie znajdą odpowiedzi na te wszystkie pytania?

Z zamyślenia wyrwał ją sygnał telefonu.

– No, nareszcie się odzywasz! – westchnęła ciężko do słuchawki.

– Anka, jest gorzej niż źle – usłyszała zaniepokojony głos Aleksa. – Z tą epidemią nie ma żartów. Gustaw miał rację. Nadchodzi prawdziwy armagedon.

– O czym ty mówisz? – Kier pokręciła głową.

– O wirusie SARS-CoV-2. Groźnie mutującym. Jego rozprzestrzenienie się zagraża zdrowiu i życiu. To koronawirus, wysoce patogenny. – Aleks przeszedł na medyczną nomenklaturę, czym ją zirytował. Słyszała o tym w radiu, ale przecież ta choroba była daleko od nich. W Chinach, a nie w Czechach.

– Aleks, rozumiem, nie panikuj.

– Proszę, wracajcie jak najszybciej do domu. Ściągaj Trista z babką. Ja postaram się wrócić na sylwestra. No, kończę już, bo Gustaw mnie potrzebuje, ale proszę cię, wracaj do domu.

– Dobrze, już – fuknęła do słuchawki i rozłączyła się, nerwowo wciskając czerwony przycisk. Sięgnęła po kubek kawy, wyszła przed stację i podeszła do Wandy. Wspólniczka była blada.

ROZDZIAŁ 26

[29 grudnia 2019, wieczorem]



Tymon Zawadzki oparł nogi na stole i podniósł dłoń w geście zwycięstwa, ale siedząca tuż obok Magdalena Dębska nie podzielała tej euforii. Spoglądała na niego z paniką w oczach. Miała wrażenie, że studio, w którym siedzieli od wielu godzin, zaczęło maleć, aż w końcu zrobiło się mikroskopijne.

- My nie możemy tego opublikować - wyszeptała wreszcie. - To nie są żarty. - Pokręciła głową i schowała twarz w dłoniach. Oddychała głęboko, próbując się uspokoić.

- Możemy. - Mężczyzna rozłożył szeroko ramiona. Uśmiechał się w przykry sposób, jakby czerpał satysfakcję z jej lęku. - Wykonałem kawał dobrej roboty - kontynuował, zdejmując nogi ze stołu. - Zobacz! - Postukał w ekran monitora. - Na czerwono to powiązania, na które już zebrałem dowody. Twarde i niepodważalne. Jestem z dobrej szkoły reporterskiej i powtarzam: twarde, niepodważalne dowody. Idąc od początku: w latach osiemdziesiątych wysoko postawiony człowiek władzy, czyli nasz pierwszoplanowy bohater, zakłada coś w rodzaju... hm... dziś powiedzielibyśmy fundacji. Tu mam dokumenty założycielskie. - Tymon postukał w jeden z folderów. - Przez lata fundacja pozyskuje sponsorów, w tym była żoną kolejnego partyjniaka, z samej wierchuszki władzy. Oczywiście, jak się domyślasz, nie znajdziesz tam żadnej działalności charytatywnej, raczej dowody na sowite wsparcie przy powstaniu platformy petycyjnej WE ARE...

- Tymon, widziałam to już kilka razy. - Dębska westchnęła, ale gdy tylko wypowiedziała te słowa, zrobiło jej się głupio. - No, chyba że masz coś nowego - powiedziała przepraszająco. Miała dość tej historii i niebezpiecznie nasilającej się obsesji dziennikarza. Jej podcast opowiadał o sprawach kryminalnych na podstawie jawnych danych, a nie

prywatnego śledztwa. Ta historia zaczynała ją przerastać. Postarała się jednak opanować. Nie chciała się poróżnić z Tymonem. Musi rozwiązać to inaczej. – Fundacja dała kasę na polskie konsorcjum medialne GXL, którego założycielem jest Tomasz Abrański. Konsorcjum to aktualnie tuba propagandowa partii – recytowała, wpatrując się w ekran. – A platforma stworzyła farmę trolli, która maczała palce w wyborach.

– A tam... – przerwał jej nerwowo Zawadzki, trochę znudzony, ale i zadowolony, że współpracowniczka zaangażowała się w sprawę i doskonale pamięta wszystko, o czym jej mówił. – To jest dopiero, spójrz... – kontynuował konspiracyjnym szeptem. – Udało mi się dotrzeć do potwierdzenia dwóch przelewów na konto Króla i... uwaga! – dziennikarz podniósł palec wskazujący – mam świadka, że prokurator Książkowski znalazł się z naszym głównym bohaterem przynajmniej od połowy lat osiemdziesiątych. Od tego postrzelenia obywatela Czechenii. Powiem więcej, moim zdaniem to, co działo się potem, nie było przypadkowe.

– Okej, co chcesz z tym zrobić? – spytała z niechęcią podcasterka. Nie zamierzała ukrywać, że całe to zamieszanie wokół Królestwa zaczęło jej ciążyć. – Dalej będziesz rzucał race, by zwiększyć oglądalność?

– Magda, no co ty! – Zawadzki odskoczył od monitora, upuszczając trzymany w ręce ołówek. – To przecież nie ja! – krzyknął autentycznie urażony.

– Jak to nie ty? – Tym razem podniosła głos. – To znaczy, że wdepnęliśmy w jakieś gówno. A jeśli się okaże, że nasz kanał inspiruje ludzi do niebezpiecznych zachowań? Dziś raca, a jutro bomba. W ostatnim filmiku pokazałeś grzechy jednego z polityków, te przebitki z teczkami były naprawdę efektowne, ale też mega działają na wyobraźnię. Ludzie wierzą w to, co widzą, czasem bezkrytycznie, a potem chętnie wymierzają sprawiedliwość. A jeśli komuś stanie się krzywda? – Dębska poczuła, że program, podobnie jak grzeczna internetowa spółka, wymyka jej się spod kontroli.

– Niepotrzebnie panikujesz. – Dziennikarz podniósł ołówek z podłogi i założył za ucho. – To nam napędza publiczność. Widziałas, ile jest subskrypcji? O Patronite nawet nie wspominając. – Zawadzki potarł dłonie i klasnął głośno. – Nie jesteś zadowolona?

Odpowiedzią był przeczący ruch głową. Dębska zamilkła, jakby coś właśnie przyszło jej na myśl.

– Nie denerwuj się. – Złożył ręce jak do modlitwy. – Zmuszę Kier, by dała nam tecki tych ludzi. – Wyjął zza ucha ołówek i delikatnie dotknął nim monitora. Wskazał obwiedzione czerwonymi kółkami zdjęcia czterech osób, wspomnianego wcześniej Abrańskiego plus dwóch mężczyzn doskonale znanych z przeszłości polityczno-biznesowej i kobiety, dziś popularnej aktywistki. – W tych teczkach znajdę

potwierdzenie ostatnich przypuszczeń – i mamy rozpracowaną sieć. To agentura, jestem pewien.

– Chodzi o jakąś osobistą wendetę z tym Abrańskim? – Dębska nagle zmrużyła oczy.

– E tam, podchodzę do tematu holistycznie. – Dziennikarz zrobił dziwny ruch, rysując w powietrzu coś na kształt koła.

– Skąd wiesz, że Kier da ci te kwity?

– Dam jej w zamian wszystko na temat naszego V. – Głos Zawadzkiego brzmiał tak pewnie, że Dębska aż drgnęła. – Myślałem, że ją zastraszę, a popularność Królestwa ją zaniepokoi, ale nic z tego. To twarda sztuka, niczego się nie boi, ale to dlatego, że moim zdaniem nie zdaje sobie sprawy z udziału naszego bohatera w życiu jej i jej ojca. Jest totalnie nieświadoma! – Z niedowierzaniem potrząsnął głową. – W sumie to nic nie stracę, jak jej to dam. Zrozumiałem, że to nie nasza sprawa. – Dziennikarz wzruszył obojętnie ramionami. – Mnie bardziej interesują nasi. Trzeba ich wywieźć na taczkach i odzyskać ten kraj! – Podniósł rękę z dłonią zaciśniętą w pięść. – Jak jej powiem to wszystko, to pójdzie na współpracę, jestem pewien!

– Co się stało? – Kier potrząsnęła współniczką, która od dłuższej chwili nie reagowała na pytania. Potrącana przez próbujących wejść do środka klientów, stała jak w stuporze. Albo w pozycji obronnej. W swoim świecie. – Halo, Wanda! – Po raz kolejny Anka mocno pociągnęła Lechicką za rękaw. – Mów, co się dzieje, bo uderzę cię w twarz!

– Zwariowałaś! – odparła nagle przytomnie hakerka. – Myślę...

– Wsiadaj do samochodu, jedziemy! – Kier z wściekłością wrzuciła do kosza na śmieci papierowy kubek po kawie i ruszyła przed siebie. Przyjaciółka szła za nią, wciąż w zamyśleniu. Gdy tylko zajęła miejsce pasażera, odpowiedziała na niezwerbalizowane pytanie, które od dawna wisiało między nimi.

– Piach znalazł w stolarni paczkę. Prawdopodobnie zwykły karton zapakowany w świąteczny papier, przewiązany wstążką – relacjonowała, patrząc na drogę, którą poirytowana Anna pokonywała z nadmierną prędkością. – Nie chce tego rozpakowywać sam, zrobi to z nami. Sugeruje, że to prezent od jakiegoś adoratora z przeszłości, który dowiedział się o moim powrocie na święta.

– Co za bzdury! – syknęła Kier i wcisnęła pedał gazu. – Powiedz mu, żeby otworzył, w tej sytuacji każda godzina jest cenna, a zresztą może lepiej już nie. Teraz nas to nie zbawi, będziemy tam za trzy kwadransy,

a nawet szybciej! – Zwinnie wjechała na lewy pas i wyprzedziła kilka samochodów. – A co, jeśli tam jest na przykład żądanie okupu? Do tego w jakimś wyznaczonym i krótkim czasie? – gorączkowo rzuciła przypuszczenia, mocno ściskając kierownicę. – Piach naprawdę się starzeje! – fuknęła i wcisnęła klakson, aż zabolowały jej uszy. Samochód przed nią nie chciał zjechać z pasa, mimo że wcześniej dała mu znak światłami.

Dalszą drogę pokonywały w milczeniu. Anna była wściekła na Piaseckiego, Wanda z kolei próbowała go w duszy bronić. To taki naturalny odruch, by opowiedzieć się za przyjacielem, bez względu na to, kto ma rację. Nawet jeśli zawinił i obiektywnie powinien zebrać opierdół, to Lechicka nie chciała, by do tego doszło. Uśmiechnęła się do siebie. Nigdy nie przypuszczała, że w ich tercecie to właśnie ona może stanąć po stronie Piacha.

Na podwórzu Lechickich, przed oświetlonym wejściem, stał Ireneusz Piasecki. Było późno i znowu zrobiło się zimno, wiatr przeszywał go na wskroś, więc trochę nim telepało. A może to te dwa wypite piwa, pomyślał. W głęboko naciągniętej czapce, palił papierosa i nerwowo przytupywał.

– No, nareszcie jesteście! – krzyknął, widząc podjeżdżającą pod bramę skodę fabię. Przydeptał niedopałek, zapiął kurtkę pod szyją i ruszył do współniczek. Naprawdę ucieszył się na ich widok.

– Ta paczka nadal jest w stolarni? – Kier wysiadła i trzasnęła drzwiami, ignorując powitanie. – Idę po nią, a wy zabierzcie bagaże na górę – wydała dyspozycję i ruszyła do pracowni. Włączyła latarkę w komórce i uważnie przyjrzała się śladom na podwórzu. Zerknęła na opony fabii i niebieskiego golfu Piacha. Po kilku krokach przykucnęła. Dotknęła wyźłobień w śniegu, a potem spojrzała na swoje stopy obute w trapery. Zmarszczyła brwi i oświetliła latarką buty współników.

– Podejdźcie tu, proszę! – Machnęła na nich ręką. Natychmiast wykonali polecenie, ustawiając się we wskazanym miejscu. – To są jego ślady. – Pokazała ręką na odcisniętą podeszwę. – Większa niż twoja, Piachu, ty masz zresztą inny bieżnik. To męskie trapery. Ktoś zatem tu wszedł, ale nie sądzę, by paradował z tym prezentem przez całą wieś. Zerknijcie na ślady opon przed posesją, czy są inne niż nasze. Piachu, nie mogłeś tego sfotografować w ciągu dnia? – Spojrzała na współnika z wyrzutem, oświetlając sobie twarz komórką. Ten tylko rozejrzał się nerwowo, w milczeniu splunął i ruszył przed bramę. Śnieg wciąż leżał i na ubitym puchu wszystko było widać. Anna miała rację.

– Czekaj, idę z tobą! – Wanda dołączyła do Piaseckiego, nie oglądając się za siebie.

Kier delikatnie uchyliła drzwi stolarni i włączyła światło. Na środku pracowni stał niewielki stół, a na nim wspomniane pudełko. Odruchowo spojrzała pod nogi. Mokry bieżnik Piacha zakrył i zniekształcił inne ślady. Ach, trudno, machnęła ręką i ruszyła przed siebie, rezygnując ze zrobienia zdjęcia. Zbliżyła się do paczki, przyłożyła do niej ucho, po czym obiema rękami sięgnęła po pudełko. Potrząsnęła nim delikatnie, ale w środku nic nawet nie drgnęło. Paczka była lekka, jakby karton był pusty. Swobodnie wzięła ją pod pachę. Wychodząc, omiotła spojrzeniem wnętrze stolarni, zrobiła kilka zdjęć i wyszła, gasząc światło. Nagle poczuła dziwny niepokój, a może to po prostu zimny podmuch wiatru sprawił, że aż zapiekły ją policzki.

Wspólnicy stali w milczeniu przed wejściem i obserwowali Annę.

– Jak tam ślady traseologiczne, macie coś? – spytała, zerkając na Piacha trzymającego jej walizkę.

Detektyw przytaknął i dodał cicho:

– Inne niż nasze, ale od rana zapadało! – odpowiedział, zerkając w niebo. Delikatne płatki śniegu wolno opadały mu na twarz, jakby tańczyły przed oczami.

– Dobrze, już nieważne, poradzimy sobie. Kto, jak nie my! – Anna mrugnęła okiem, zmieniając ton na przyjazny. Wiedziała, że praca w napiętej atmosferze nie da oczekiwanych rezultatów. Nikt nie lubi działać w stresie czy pod presją, a z przesyłanych SMS-ów wnioskowała, że Piasecki naprawdę bardzo się starał. Powinna być sprawiedliwa, a po drugie, zauważyła, że Wanda wyraźnie przeżywa ten brak profesjonalizmu współnika.

W domu było nadspodziewanie przyjemnie. Piach przygotował poczęstunek, podał przystawki, do tego zaparzył kawę, a na stole, na honorowym miejscu, leżała kartka z jego notatkami. Anna dostrzegła to i uśmiechnęła się niezauważalnie. Była dziś dla niego za ostra.

Postawiła paczkę na drewnianym taborecie i wskazała brodą na Wandę.

– Chcesz otworzyć? – spytała troskliwie, bez najmniejszej presji bądź zniecierpliwienia.

– Nie bardzo – odpowiedziała cicho Lechicka, chowając się za plecami Piacha, które wydały jej się teraz bezpieczną tarczą. Nie kryła drżenia ust, nerwy miała napięte jak postronki, na granicy wytrzymałości. Wystarczy jeden nieoczekiwany ruch i pękną.

Anna rozumiała lęk przyjaciółki. Już ona najlepiej wiedziała, jak nieprzyjemne mogą być rodzinne konfrontacje. Delikatnie rozwiązała kokardę i podanym przez Piaseckiego nożem rozcięła papier, by zdjąć opakowanie i dostać się do środka. Gdy ujrzeni brązowy zaklejony karton, napięcie sięgnęło zenitu. Kier zdecydowanym ruchem wbiła ostrze w bezową taśmę.

– To chyba jakaś kartka świąteczna – powiedziała na głos Anna, zaglądając do środka. Spytała wzrokiem, czy ma ją wyjąć, na co Lechicka pokiwała potakująco głową. Sięgnęła po białą kopertę, następnie wyjęła z niej czerwoną tekturową kartkę ze złotą choinką na okładce. Gdy uchyliła skrzydełko, usłyszeli metaliczny dźwięk kolędy. *Lulajże, Jezuniu* wybrzmiało jak jakiś marsz pogrzebowy. Otworzyła kartę szerzej i przeczytała na głos: *Jan Lechicki nie istnieje. Odwołaj poszukiwania.*

Kier spojrzała na wystraszoną Wandę, która ciężko opadła na krzesło.

– Kurde, to by się zgadzało z tym, co mówił mi Borowiecki, tutejszy gliniarz. Twierdził, że Jana Lechickiego nie ma w żadnej bazie, ale wzięliśmy to za jakąś pomyłkę.

– Jak to nie istnieje? – Hakerka spojrzała na współników ze łzami w oczach. – Przecież to mój ojciec, ktoś tu robi sobie ze mnie debilne żarty.

– Dziewczyny, usiądźmy do stołu. – Piasecki przyglądał odstające włosy i wskazał Annie taboret. – Opowiem wam wszystko, czego się dowiedziałem podczas waszej nieobecności. A naprawdę jest tego dużo. – Sięgnął po kartkę i poprawił okulary. Odchrząknął nerwowo i zaczął mówić.

Po długim wywodzie Piacha w kuchni zapadła grobowa cisza. Wspólnik nie podnosił wzroku znad kartki, Anna bez przerwy notowała coś w notesie, a hackerka siedziała nieruchomo, jak w stuporze. Jej nieobecne spojrzenie i drżące, spękane usta zdradzały, że pancierz ochronny zbudowany z obojętności, nieprzepuszczający dotąd żadnych silnych emocji, właśnie zaczął się kruszyć, jakby ktoś dostał się do najdelikatniejszej warstwy pod spodem i teraz nawet jedno lekkie uderzenie mogłoby roztrzaskać ją jak szło.

– Jeśli ksiądz ma rację, to oznacza, że jestem córką Jerzego Lechickiego – powiedziała wreszcie Wanda, wciąż wpatrując się w jeden punkt na ścianie. – Bandyty spalonego żywcem przez mieszkańców wsi i pochowanego w Rybakach.

– Musimy to sprawdzić, że tak powiem... ekhm... urzędowo. – Piasecki unikał kontaktu wzrokowego. – Fakt, że ktoś im tu medycznie strzelił z ucha, nie oznacza, że miał rację. Ja bym...

– To właśnie dlatego! Tak! – przerwała mu Wanda. – To właśnie dlatego babka sołtysa tak wymachiwała na mnie krzyżem. Całe Rybaki wiedzą, że jestem córką podlaskiego diabła.

– Przestań z tymi zabobonami! – zachnęła się Kier, wzdychając pod nosem. Jej ręka odruchowo mocniej docisnęła długopis i niemal przedarły się kartki w notesie.

– Ta starucha wiedziała, to oczywiście! Okrutnie się mnie bała. Na forach znalazłam komentarze o linczu. Podpalenie było samosądem. Wieś wymierzyła sprawiedliwość, pozbyła się bandyty. Na myśl o tym, co robił, nawet mnie przechodzą ciarki. Wzięli sprawy w swoje ręce, podpalili dom i patrzyli, jak Jerzy Lechicki się smaży. Jestem pewna, że dokładnie tak to wyglądało, historia przecież zna takie przypadki. – Wanda tak mocno zagryzała wargę, że aż jej usta pokryły się krwią.

– A ponieważ cała wieś brała w tym udział, to umiejętnie to zatuszowali. Od grabarza po księdza, sołtysa i najwyższego rangą urzędnika, nie wyłączając policji. – Piasecki podrapał się po głowie, dyskretnie poprawiając tupecik. – Doskonała robota! No co się patrzycie? – Odchrząknął. – Na takich skurwysynów nie ma mocnych. A prokuratura trzydzieści lat temu to były żarty! – Mocno uderzył dłońmi w uda. – Siedziała w kieszeniach bandytów.

– No dobrze, powiedzmy, że macie rację, choć byłabym ostrożna z ferowaniem wyroków. – Anna Maria Kier podniosła ręce w geście studzącym emocje. – To dlaczego nagle Jan Lechicki nie istnieje? Nie ma go w papierach. Do tego ta dzisiejsza kartka. Naprawdę zniknął? O co tu chodzi? – Powiodła wzrokiem po współnikach, ale ci tylko z bezradnością potrząsali głowami.

– Nie rozumiem... – wyszeptła niemal bezgłośnie hakerka. – A może... – Zawiesiła głos. – A może to jedna i ta sama osoba? A może nie ma żadnego Jana? Zero dokumentów to przypadek? Przecież nawet ślubu nie wzięli!

Anna drgnęła, a Piach mlasnął z podziwem. Gorączkowo uderzał palcami w kartkę z notatkami, jakby to miało sprawić, że dzięki temu pojawi się jakaś odpowiedź. Ależ by chciał jej pomóc. Już nie pamiętał, kiedy tak bardzo się o kogoś martwił, jak teraz o Wandę.

– Może coś w tym jest, ale z drugiej strony, zakładając, że ksiądz ma rację – cmoknął nerwowo – to ten facet, który cię wychowywał, obojętnie Jan czy Jerzy, nie był twoim biologicznym ojcem.

– Ależ tu wszystko jest możliwe. – Anna wreszcie przestała rysować kółka w notesie i energicznie się wyprostowała. – Zarówno to, że Jan nie istnieje i cały czas mamy do czynienia z Jerzym, jak i to, że nie jest on twoim biologicznym ojcem. To się nie wyklucza. Zadzwoń jeszcze do Agnieszki. Może dotrze wcześniej do tego cholernego aktu zgonu.

- Chciałabym, żebyś miała rację. Bycie córką bandyty, sadysty i psychopaty to nic przyjemnego. - Wandę przeszył dreszcz. Aby ukryć drżenie dłoni, usiadła na nich, z całej siły zmuszając się do spokoju. Nie mogła się załamywać. - Najchętniej to spytałabym o to matkę - dodała, przetykając gulę w gardle. - Czy ona była ofiarą przemocy? - Przez wciąż narastający w niej niepokój, kiedy wspominała matkę, drobne ciało Lechickiej zaczęło się trząść. Po chwili telepanie stało się tak silne, że miała wrażenie, że nie utrzyma się na tym niewygodnym taborecie.

Nagle obraz stracił ostrość, w uszach rozległo jej się bolesne dzwonięcie.

Zrobiło jej się niedobrze, a posmak zupy pomidorowej ożył na języku.

Zapadła cisza. I ciemność.

ROZDZIAŁ 27

[29 grudnia 2019, nocą,
i 30 grudnia 2019, rano]



Gdy wziął ją na rękę, poczuł, jaka jest lekka. Mimo że była przecież dorosłą kobietą, miał wrażenie, że niesie dziecko. Zmęczoną, bezbronną dziewczynkę. Serce ścisnęła mu znajoma obręcz bólu.

– Tutaj. – Anna podniosła kołdrę, poprawiła poduszki i wygładziła prześcieradło. Piasecki przytaknął i delikatnie położył Wandę. – Dobrze, okryję ją. – Kier próbowała się trzymać, ale jej spojrzenie było przygaszone i obolałe. – Może znajdziesz jakieś mrożonki, co? Zaraz wyrosnie jej na czole wielki guz. – Detektywka podciągnęła kołdrę. Wanda trzęsła się na całym ciele. Próbowała coś powiedzieć, ale tylko bezgłośnie poruszała ustami, a jej oczy były pełne łez. – No już, kochanie, zaraz będzie dobrze. – Anna usiadła przy łóżku w dawnym pokoju Lechickiej i głaskała ją po ramieniu. Piasecki przyniósł marchewkę z groszkiem i stękając, usiadł po turecku z drugiej strony. Anna zdjęła apaszkę, owinęła mrożonkę i delikatnie przyłożyła przyjaciółce do czoła. – Straciłaś przytomność, uderzyłaś się w głowę, ale już wracasz do siebie. Wszystko będzie dobrze – wyszeptała to zdanie chyba po raz tysięczny. Działo jak mantra.

Po jakimś czasie Wanda przestała się trząść, jej ciało zaczęło się odprężać, a powieki sennie opadały. Usnęła, jej oddech wreszcie nabrał miarowego rytmu.

– Ale się wystraszyłem! Walnęła jak kłoda! – Piasecki splunął i po raz kolejny zaciągnął się papierosem. Śnieg przestał padać, a zimny wiatr ustał. Zerkali z Anną na zasypane białym puchem podwórko, co dało im poczucie czystości i uporządkowania.

– Niedobrze mi od tych fajek, tfu! – Kier przydeptała niedopałek, krzywiąc się. – Nic mi to nie dało, tylko śmierdzą teraz! – Zaczęła machać rękami, odganiając od siebie dym.

– Anka, co robimy? – spytał, wypuszczając szare kółka.

– Jedno wiemy na pewno. Lechickiemu nic nie jest. Moim zdaniem nie potrafił go samochód, nie został uprowadzony ani nie leży ranny w rowie, jak oczyma wyobraźni widziała to Wanda. Myślę, że to on faktycznie dzwonił do szpitala, żeby spytać o stan Danuty. I teraz! – Podniosła dłoń w czarnej skórzanej rękawiczce. – Albo uczestniczył w tym wypadku, albo go spowodował, albo wręcz przeciwnie, nie ma z tym nic wspólnego i dowiedział się z mediów. Widziałam kilka przebitek gdzieś w Internecie z białą kłębą sorento. W tej okolicy to pewnie spore wydarzenie, ludzie o tym gadali, to pewne.

– Masz rację. Tylko on wcale nie musi tu być. – Detektyw machnął ręką w nieokreślonym kierunku.

– Tak, ale ta kartka tak mnie natchnęła. Cholera, zamiast odpowiedzieć nam na kluczowe pytania, oddała nas od rozwiązania, szlag!

– I jeszcze to polecenie, żeby odwołać poszukiwania. – Piach przestępował z nogi na nogę, próbując się rozgrzać. – I ani jednego słowa więcej. Bezwzględne. Okrutne. Sadystyczne. Jak nie do córki.

Piasecki palił dalej, a Anna, nie czując zimna, zerknęła w dal. Patrzyła przed siebie na ścianę czarnego lasu przyprószonego białym puchem. Cisza tego miejsca i ten spokój wydały jej się pozorne. Czują podskórnie, że znaleźli się w sytuacji, kiedy za chwilę wszystko wybuchnie, a lawa obedrze ich ze wszelkich złudzeń. Potem w życiu Lechickiej nic już nie będzie takie samo.

– Wanda mówiła, że ojciec dzwonił do niej przed świętami – kontynuował Piach w zamyśleniu. – Myślisz, że chciał jej to wszystko wyznaczyć? – Detektyw wbił spojrzenie we współniczkę, z nadzieją, że mu odpowie.

– Może... Ale widzisz, matka ani razu się nie zająknęła, wciąż parła do tej Wigilii, jakby mieli ją spędzić w komplecie. Cholera jasna! Nie wiedziała, że to planował?

– A może ona też żyła w jakiejś cholernej niewiedzy. – Piach zdeptał niedopałek i pochuchał w zmarznięte dłonie. – Mogłaby ta kobiecina się wreszcie wybudzić, chociaż nie sądzę, by po takich obrażeniach normalnie funkcjonowała. No nic, chodźmy na górę, może Wandzia się obudziła.

– Wanda, Piachu. Ona nie cierpi zdrobnień – zwróciła mu uwagę Kier i otworzyła drzwi, wpuszczając mroźny podmuch do korytarza.

W pośpiechu zdjęli kurtki i niemal biegiem, jakby smagani wyrzutami sumienia, pognali do pokoju współniczki. Na szczęście Wanda spała,

dlatego bezszelestnie wycofali się do kuchni. Obydwoje stracili chęć do działania, nie mieli ochoty zajmować się dłużej ojcem współniczki. Jakby dotychczasowe ustalenia sprawiły, że już nie potrzebowali więcej danych. Jan Lechicki żył i chciał zniknąć. Przyjęli to ze złością i z dziwną jak na nich pewnością. To zły znak.

– A jeśli to nieprawda?! – wypaliła nagle Anna, chowając do lodówki nietknięte przekąski, z takim namaszczeniem przygotowywane przez przejętego Piacha.

– Ale co? – Zatrzymał się w pół kroku z półmiskiem w dłoni.

– A jeśli właśnie mamy tak myśleć?

– Jak, Anka? Mów jaśniej, ja już naprawdę jestem zmęczony – wymamrotał.

– No dobrze! – Kier trzasnęła drzwiami lodówki i energicznie odwróciła się na pięcie. – A co, jeśli komuś właśnie o to chodzi, byśmy myśleli, że Jan Lechicki chce zniknąć, a tak naprawdę on potrzebuje pomocy? Byśmy odpuścili, bo tylko przeszkadzamy?

– Nie wiem, ja tego nie ogarniam. Trzeba spytać Wandę, czy na tej karcie – wskazał brodą na karton w podartym papierze – rozpoznaje charakter pisma ojca. Zrobimy to jutro. – Westchnął i zapełnił półmisek jedzeniem, które zostało na stole. – Ale teraz chodźmy już spać. Jestem tak zmęczony, jakbym przerzucił wagon węgla, albo i dwa. Zajrzę jeszcze do Wandy – powiedział, stojąc w korytarzu. – I zostawię uchylone drzwi. Będziemy słyszeć, gdyby nas potrzebowała – dodał cicho, czerwieniąc się, a jednocześnie próbując ukryć wyraźne zawstydzenie.

Następnego dnia Anna Maria Kier wstała jako pierwsza. Przygotowała śniadanie, zaparzyła mocną kawę i czekała, aż współnicy dołączą do stołu. Uważnie przeczytała codzienny raport Wikinga. Na szczęście ochrona nie odnotowała żadnych nowych incydentów. Wyglądało na to, że wszystko wróciło do normy, a niezdrowe zainteresowanie posesją ojca na Saskie Kępie słabło. To dobrze, że nie dała się wciągnąć w rozgrywki Tymona Zawadzkiego. Wyraźnie spokojniejsza, wymieniła kilka wiadomości z Aleksem, Tristanem i przeczytała wzruszającego SMS-a od Hany. Jej matka była przeszczęśliwa, mając wnuka przy sobie. Jasne, żalowała, że nie są w komplecie, ale relacja z Tristkiem przeszła jej najsmielsze oczekiwania. Kier poczuła ciepło rozplywające się w jej klatce piersiowej. Dyskretnie otarła łzę, rozumiejąc, że teraz ma w niej kogoś w rodzaju anioła stróża. Zmarszczyła brwi, pociągnęła nosem i po raz kolejny przeczytała wiadomość. Dla takich chwil warto żyć, pomyślała ze wzruszeniem.

Odłożyła telefon i wolno popijając kawę, oczami wyobraźni przywołała kilka wspomnień z ostatnich miesięcy. Nagle zrozumiała dwie rzeczy, uderzyły w nią z taką mocą, że aż zabrakło jej tchu. Po pierwsze, to siła, determinacja i odwaga Wandy doprowadziły je do tego miejsca, a po drugie... no właśnie, anioł stróż. Hana pojawiła się w Polsce, potajemnie wynajęła mieszkanie na parterze bloku na Kobielskiej akurat wtedy, gdy Tristan wpadł w kłopoty. Czy to przypadek, czy może właśnie los tak chciał? A może jednak Hana ma coś wspólnego ze śmiercią Króla? Nie, dość! – fuknęła na siebie. Czas już przestać to wszystko roztrząsać. Przestać wracać do przeszłości jak bumerang. Pora zamknąć ją na zawsze.

Nagle z rozmyślań wyrwała ją cicha melodyjka. Szybko podniosła aparat, zerknęła na wyświetlacz, westchnęła ciężko i zasłaniając usta, wyszeptała:

– Cześć, Ursula.

– Czeszcz, Ana, możesz rozmawiacz? – Zaprzyjaźniona profilerka z Niemiec natychmiast wychwyciła, że coś jest nie tak. Miała niebywałą zdolność wyłapywania nastrojów.

– Mhm – przytaknęła Kier i wstała energicznie, by zamknąć drzwi. Nie mogła zwyczajnie jej zrzucić, obiecała zająć się sprawą, w której nawet nie kiwnęli palcem, ale w tej sytuacji profilerka powinna to zrozumieć. I rozumiała. Anna zrelacjonowała to, co się u nich działo. – Dlatego, wiesz... – Mimo ciepłej reakcji Ursuli, wciąż się czuła nie w porządku. – Musieliśmy na chwilę odłożyć temat twojej Julii.

– *Stimmt*, Ana, ja to rozumiem... – Słysząc było, że Luft przejęła się losem Wandy. – Mam tylko nadzieję, że szybko uda się wam znaleźć rozwiązanie. Przykro mi bardzo...

– Ale przyrzekam, że zaraz po Nowym Roku w pierwszej wolnej chwili zajmiemy się twoją sprawą, przyrzekam. – Kier składała te obietnice z poczuciem wstydu. Jeszcze nigdy niczego nie zaważyła, a Ursula naprawdę kiedyś bardzo jej pomogła. Także całkiem niedawno. Gdyby nie krótka konsultacja z nią, sprawa Piotrowicza mogłaby się zupełnie inaczej skończyć.

– Mhm, dobrze, Ana. Tylko wiesz... musisz wiedzieć, że ja nie mam za dużo *zeit*. Rozmawiałam z chłopakami z Archiwum X, chętnie zajmą się tą sprawą, ale bez twojej pomocy nie szkonczę profilu, brakuje mi dosłownie jednego fragmentu tej całej układanki. Rozumiesz, za mniej niż rok sprawa sze przedawni...

– O Boże, tak! – krzyknęła Kier do słuchawki. Przytrzymując ją brodą, drżącymi rękami otworzyła notes i energicznie zaczęła pisać. – Archiwum X. Tak, Ursula! Tak, tak, tak!

– Ana...? – Luft nie kryła zaskoczenia. – Wszystko okej?

– Tak, bardzo okej, nawet nie wiesz, jak mi pomogłaś. – Kier niemal szczebiotała do aparatu. – Po Nowym Roku jedziemy ze sprawą Julii, zrobisz taki profil, że mucha nie siada! – śmiała się. Pierwszy raz od kilku dni poczuła jakąś dziwną lekkość i radość w sercu. I wiarę w sens tego, co robi.

– Dobrze, to trzymajciez się tam. I uszcziskaj Wandę, do usłyszenia!

Ursula rozłączyła się, a w Annę wstąpił nowy duch. Miała wrażenie, że ktoś do jej krwiobiegu właśnie wpuścił ogromną dawkę adrenaliny. Taki zastrzyk musiała sensownie wykorzystać.

Jak to dobrze, pomyślała, nerwowo scrollując ekran, że pracowałam w policji. Bez tego kontaktu, który natychmiast przyszedł jej do głowy, niewiele by zdziałała, a już na pewno nie w takim tempie.

Wreszcie znalazła upragnione dane i odetchnęła z ulgą. Na szczęście mimo zmiany aparatu i kilkuletniego braku kontaktu numer do Czarka Orła był na swoim miejscu. Podeszła na palcach do drzwi i docisnęła klamkę. Odetchnęła głęboko, po czym wybrała numer.

Wspólnicy wpatrywali się w Kier, nie kryjąc tornada emocji, które przechodziło przez ich ciała. Zaskoczenie, zdziwienie, a nawet rodzaj podziwu – ta mieszanka uczuć odmalowała się na ich twarzach z precyzją godną najlepszego grafika.

– Ale zanim wam opowiem, w czym rzecz – kontynuowała Anna, popijając kolejną kawę – powiedz, proszę – spojrzała na Wandę trzymającą przy głowie zimny okład – czy to jest charakter pisma twojego ojca? – Podała współniczce kartkę. Ta ją otworzyła i usłyszeli metaliczne dźwięki kolędy.

– Nie jestem pewna. To są drukowane litery, ale – zamyśliła się, odkładając lodowaty okład – ale tak, to może być jego pismo, choć nie mam stuprocentowej pewności – dodała cicho, zamykając kartkę i tym samym kończąc upiorne brzęczenie.

Anna Maria Kier pokiwała głową. Odstawiła szklanekę na stół, po czym kontynuowała spokojnie.

– Wanda, zgodnie z tym, co wyszukałaś, od spalenia domu w Rybakach minęło trzydzieści lat.

– Mhm. – Lechicka potwierdziła lekkim skinieniem głowy.

– Dobrze wiemy, że do przedawnienia sprawy, a tym samym do zaprzestania szukania sprawców, potrzebne jest dokładnie tyle czasu. Ta myśl nie dawała mi spokoju, bo uważam, że nie ma tu żadnego przypadku.

- Dokładnie! - Piasecki klasnął w dłonie, a plask poniósł się echem po kuchni.

- Teraz nie mamy czasu na oficjalne kanały, wiecie, święta, Nowy Rok. - Kier zaczęła się tłumaczyć. Chodzenie na skróty to nie był jej styl pracy, zawsze działała skrajnie uczciwie, zawsze z poszanowaniem procedur. A teraz złamała tę zasadę i wyraźnie nie czuła się z tym najlepiej.

- Dobra, wiemy! - Piach pokręcił głową ze zniecierpliwieniem.

- Skontaktowałam się z pomorskim oddziałem Archiwum X. Pracuje tam mój kolega - powiedzmy, że z poprzedniego życia - Czarek Orzeł. Zadzwońiłam do niego... - Zawiesiła głos, a jej policzki natychmiast spurpurowiały.

- No i? - teraz zaczęła się niecierpliwic Wanda.

- Sprawdził to dla mnie bardzo szybko. Oni tam teraz są tak zdigitalizowani, że tylko brać przykład. - Zaśmiała się nerwowo, ale zaraz wróciła do swojego wyводу. - Otóż wyobraźcie sobie, że kilka lat temu zajmowali się tą sprawą. Pożar w Rybakach wrócił na warsztat.

- Jak to? Dlaczego? Przecież tam panuje zмова milczenia i wierzą w zabobony. - Piasecki nie dowierzał. Poprawił się na taborecie, szurając nim po drewnianej podłodze. - Ktoś puścił farbę? Nie wierzę!

- Zgadza się. Przy tej sprawie trzydzieści lat temu pracował Stanisław Karkosza, wtedy milicjant w średnim wieku. Tak, wspominała mi o tym Agnieszka. O jakimś nieustępliwym glinie z sąsiedniej miejscowości. To trzyma się kupy!

- Dawaj, kontaktujemy się z nim! - Ireneusz Piasecki odruchowo wziął swój telefon do ręki i odblokował ekran.

- Nic z tego. - Anna podniosła uspokajająco dłoń. - Też tak zareagowałam, tylko że on już nie żyje. Ale to właśnie on, z siebie tylko znanego powodu, dręczył chłopaków z Archiwum X o wznowienie sprawy. Twierdził, że to nie był wypadek, tylko celowe podpalenie. Orzeł dodał, co prawda, że Karkosza był szaleńczo zakochany w Danucie Wenerskiej, a to z kolei podważało jego obiektywizm i wyglądało na rodzaj prywatnej zemsty.

- No i? - Wanda nie mogła usiedzieć. Jej duże błyszczące oczy zdradzały, że w trakcie wyvodu współpracownicy ona też wpadła na jakiś - prawdopodobnie sensowny - trop. - Co ustaliło Archiwum X?

- No i nic, kompletnie nic. - Kier rozłożyła ręce. - Wieś postawiła mur nie do pokonania. Nawet taran z Archiwum X go nie przebił.

- Taa, wiemy coś o tym - skomentowała Lechicka przygaszonym tonem. - No to znowu jesteśmy w punkcie wyjścia.

- Ależ nie! - Anna energicznie zaprzeczyła ruchem głowy. - To jest dla nas bardzo istotna informacja! No co się tak gapicie jak sroka w gnat? - prychnęła z irytacją. - To oznacza, że jeśli ten cały Karkosza miał rację, to

sprawca jest już nie do odłowienia! I może wypłynąć na powierzchnię jak gdyby nigdy nic.

- Tak, ale w przypadku mojego ojca... A jeśli nasze ustalenia są prawdziwe, to raczej w przypadku wujka... - Wanda mówiła takim głosem, jakby słowa kaleczyły jej gardło. Jakby były kamieniami, których nie można z siebie wyrzucić. - W przypadku Jana Lechickiego - poprawiała się, chrząkając - jest zgoła odwrotnie. On zaginął, a nie wypłynął, przypominam ci nieśmiało - skończyła z przekąsem.

- A kto w ogóle powiedział, że on jest sprawcą? - Teraz do rozmowy włączył się Ireneusz Piasecki. - A co, jeśli on też jest ofiarą tego podpalacza? - dodał detektyw dumny ze swoich przemyśleń.

- Właśnie to musimy ustalić! - zakomenderowała Anna, sięgając po swój notes. Ewidentnie spodobała jej się ta burza mózgow i znalazła w niej coś ciekawego. Lubiła takie trigger.

- Czyli znowu jesteśmy w punkcie wyjścia - skwitowała Lechicka, a błysk w jej oczach zmienił się w nieprzyjazną mgłę. Nawet tego nie ukrywała. - Zjedzmy coś, a potem chciałabym pojechać do matki. Ten cały doktor Szwarz od wczoraj nie odbiera ode mnie telefonu.

- Wanda! - Kier złapała współniczkę za rękę. - Naprawdę jesteśmy już blisko, przecież wiesz, że moja intuicja ma moc rażenia. A ja czuję podskórnie, że naprawdę za chwilę wszystko się wyjaśni. Jeszcze trochę cierpliwości. Teraz pojedę z tobą do mamy, a ty, Piachu... - Spojrzała na współnika wzrokiem nieznoszącym sprzeciwu. - A ty...

- Tak?

- Przeczysz jeszcze okolice. Jeśli Jan Lechicki osobiście przyniósł tę kartkę, to znaczy, że musi być gdzieś blisko. Popytaj o kogoś, kto może mu pomagać! Nie wiem, wykop coś spod ziemi. Nie poddawaj się, chłopie!

- Hm... - Ireneusz Piasecki przygładził włosy. - Chyba mam pewien pomysł - dodał tajemniczym tonem, drapiąc się po brodzie.

Wspólniczki spojrzały z lekkim pobłażaniem. Nie dawały mu wiary. Piasecki często lubił się przechwalać, co czasami niewiele wносиło do śledztwa. Chociaż fakt, trudno było mu zarzucić brak zaangażowania. Był zadaniowy i oddany agencji.

ROZDZIAŁ 28

[30 grudnia 2019]



I jak mama? – spytała Wandę Kier, nim ta zdążyła usiąść wygodnie w fotelu pasażera. W samochodzie panowało przyjemne ciepło, a zaparowane szyby dawały im poczucie prywatności.

– Bez zmian, doktor twierdzi, że to zły znak. Oczywiście jest za wcześnie na ferowanie wyroków, ale... mam się przygotować na najgorsze – odpowiedziała cicho Wanda, chowając głowę w ramionach. Miała ochotę zapaść się w sobie i nigdy nie wydobyć się na powierzchnię. Zniknąć. Przestać istnieć.

– A dowiedziałas się czegoś jeszcze? Jest coś nowego? – dopytywała niecierpliwie współniczka. Nie lubiła Wandy w stanie zawieszenia, miała wrażenie, że nie może przebić się przez szkło, które z każdą minutą staje się coraz grubsze i odcina ją od przyjaciółki.

– Tak. Ponad wszelką wątpliwość to mama prowadziła samochód. Biegli policjanci i lekarze są zgodni. Obrażenia wewnętrzne wyraźnie wskazują, że nie została na przykład, wiesz, posadzona na miejscu kierowcy już po uderzeniu.

– Rozumiem. – Kier skinęła głową. – Ale to nadal niczego nie wyklucza.

– Taa... Zostaniemy tu trochę? – Wanda spojrzała na przyjaciółkę zmęczonym wzrokiem. Guz na jej czole zrobił się fioletowy. – Może mama się jednak obudzi? Może czeka na mnie? – dodała cicho.

Po niespełna trzydziestu minutach ciszy Wanda nadal patrzyła w dal. Przednia szyba odparowała, ukazując im plac przed szpitalem jak na dłoni.

– O kurwa, widzisz to? – krzyknęła nagle Wanda. Otworzyła drzwi samochodu i pobiegła w stronę szpitalnego parkingu, z którego ruszał

właśnie mocno zdezelowany czerwony fiat seicento. Po chwili jednak wróciła, zdyszana. – Jedź za nim, natychmiast! – krzyknęła do współniczki, trzaskając drzwiami.

Kier ruszyła z impetem, zwinnie wyprzedzając zaparkowane równolegle karetki. Czerwone seicento wjechało na główną drogę i znacznie przyspieszyło. Kier zredukowała bieg.

– Kogo gonimy? – spytała, nerwowo zerkając na Wandę, która gorączkowo pospieszała ją, machając rękami.

– Wydaje mi się, że widziałam mojego ojca!

Ale Kier, zamiast przyspieszyć, mimowolnie przyhamowała. Seicento oddalało się od nich z zadziwiającą prędkością.

– No co jest, gaz do dechy! – krzyknęła hakerka, uderzając dłońmi w deskę rozdzielczą.

– Wanda, nie wierzę, że to on.

– A ja owszem, nie poddawaj się, to gruchot, dogoń go! – ponaglała Lechicka, przybliżając twarz do szyby. – Dziś Szwarz zapewnił mnie, że nie udzielał nikomu informacji o stanie zdrowia matki, a miał kilka telefonów. Jeśli nie kłamie, to ojciec musiał pofatygować się tu osobiście. Jedź, kurwa!

Detektywki dostrzegły przejazd kolejowy. Czerwone seicento było kilka samochodów przed nimi. Usłyszały sygnał ostrzegawczy, zobaczyły czerwone światło i opuszczane ramię szlabanu. Seicento niemal wślizgnęło się pod spodem i po kilku chwilach straciły je z oczu. Auta zatrzymywały się powoli i ustawiały się w rzędzie. Po krótkiej chwili, niczym taran, na przejazd głośno wjechał pociąg towarowy. Wydawał się nie mieć końca.

– Jesteś pewna, że to on? – Kier przekrzykiwała hałasujący skład.

– Mhm... To znaczy, tak mi się wydaje. – Hakerka mimo odruchowego przytaknięcia, dość szybko podała w wątpliwość swoje zdanie. – Nie widziałam go przez wiele lat, ale właśnie takiego go zapamiętałam. Szczupły, siwe włosy zawsze w nieładzie, trochę jak u tego potarganego premiera Anglii. Ale mój stary jest wysoki, taki tykowany, jak ja. To niebywałe, ciągle mówię o nim per ojciec, ale nie umiem inaczej – dodała Lechicka już ciszej, jakby w zawstydzeniu.

– A jak masz niby mówić, to normalne. – Anna uśmiechnęła się przyjaźnie do współniczki. – No, zaraz otwierają szlaban. To co robimy? – Wbiła w nią pytające spojrzenie.

– Pojedźmy przed siebie, rozejrzemy się, ale w sumie to sama nie wiem.

– Z Wandy zeszła cała pewność siebie, jak z przedziurawionego balonika, który nagle z pięknej zabawki zmienił się w gumowy ochłap.

– Dobrze, rozejrzemy się. Maksymalnie wykorzystajmy ten czas! – odpowiedziała Kier, wrzucając jedynkę. – Zobacz, tu zaraz skręcamy

i jesteśmy na miejscu wypadku twojej matki. Będziemy przejeżdżać tuż-tuż. – Anna kiwnęła brodą.

– Mhm, rzeczywiście. – Tak, to właśnie tutaj.

Na prowizorycznym żwirowym parkingu przed Gościńcem u Krystyny stało kilka samochodów. Ireneusz Piasecki wcisnął się niemal na zaparkę między dwa dostawczaki. Wysiadając, wciągnął brzuch. Podszedł do okna wystawowego, zrobił z dłoni daszek i zajrzał do środka. Przy stolikach siedzieli kierowcy, a za barem stała ta sama kelnerka co poprzednio, znowu żuła gumę i robiła balony, które następnie pękały na jej twarzy.

Gdy wszedł do środka, uderzył w niego ciężki zapach oleju, frytek i piwa. Od kiedy zrobiłem się taki francuski piesek?, pomyślał o sobie z przekąsem. Usiadł na wysokim hokerze i zamówił małe piwo. Kelnerka przez krótką chwilę przyglądała mu się badawczo, aż w końcu pokiwała głową na znak, że już sobie przypomniała, skąd go zna.

– Mam pytanie – zaczął natychmiast Piach, gdy stanęła przed nim mała brązowa butelka, a jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem kelnerki.

– Tak? – Podniosła brwi, robiąc krok w tył.

– Byłem tu niedawno, jadłem dewolaja. – Piasecki natychmiast przypomniał sobie tamten ból wątroby. Upił szybki łyk piwa i oblizał usta.

– Ale ja nie o tym. Zaraz po moim wyjściu dokądś pani zadzwoniła. – Zmrużył oczy, siląc się na groźny wyraz twarzy. – Do kogo?

– Co pan? – Kelnerka demonstracyjnie obróciła się na pięcie, zwracając uwagę pozostałych gości. Mężczyźni popatrzyli na Piacha z zaciekawieniem.

– No dobrze, dobrze. – Piasecki podniósł uspokajająco dłonie. – Ja już dużo dowiedziałem się o Janie Lechickim, spokojnie. – Detektyw puścił oko, a kierowcy dostawczaków wrócili do swoich talerzy. – Podobno był tu wczoraj widziany, to prawda? – wyszeptał teatralnie.

– Podobno tak – odpowiedziała kelnerka, głośno wypuszczając powietrze, a Piach nie posiadał się ze zdziwienia. Nie sądził, że trafi z tym blefem, ale może rzeczywiście ktoś go widział. W końcu Jan Lechicki mógł osobiście dostarczyć kartkę dla Wandy, a że nie jest niewidzialny, to ktoś mógł go zobaczyć.

– No właśnie, zachowywał się, jak gdyby nie był poszukiwany – dorzucił detektyw, udając rozbawienie. Upił kolejny łyk piwa. – No i ja dlatego kończę robotę, wracamy zaraz do domów.

– Tak? – Tym razem kelnerka nie kryła zdziwienia, wybałuszając oczy. – Wanda też wyjeżdża? Szkoda, chciałabym ją poznać. W naszej szkole

nauczyciele zawsze mówili o niej z podziwem. Podobno na informatyce to ona w dwie lekcje nauczyła inne dzieciaki tyle, że nie mogli wyjść z podziwu. Nauczycieli zresztą też podszkoliła. Miała ogromny dar, talent! Tak o niej mówiła moja wychowawczyni – dodała z dumą dziewczyna.

Szkoda, że Wanda tego nie słyszy, pomyślał smutno Piach i wypił ostatni łyk piwa.

I nagle przyszło mu coś do głowy. Serce zaczęło mu walić jak oszalałe, a w ustach, mimo wypitej butelki piwa, poczuł suchość. Zeskoczył z hokera i na miękkich nogach wyszedł przed restaurację. Ciężko dysząc, oparł się o maskę samochodu, po czym wyciągnął telefon. Spojrzał na wyświetlacz i przełknął ślinę, odklejając zdrętwiały język od podniebienia.

– Odbieraj! – syczał do aparatu, jakby to miało przyspieszyć reakcję z drugiej strony. Ale nikt nie odbierał. Piasecki, niezrażony, uparcie dzwonił dalej. I tak kilka razy.

– Młodszy posterunkowy Witold Gryf, słucham. – W słuchawce zabrzmiał znajomy głos.

– Jezus, nareszcie! – ryknął detektyw do telefonu i poczuł ogromną ulgę. – Z tej strony Ireneusz Piasecki!

– A tak, tak... Słucham uprzejmie.

– Człowieku, a ty na wczasach jesteś? – Piach ledwo trzymał nerwy na wodzy.

– Proszę pana, proszę się uspokoić i przestać na mnie krzyżeć! Jesteśmy zajęci, że tak powiem ogólnopolsko, ja naprawdę nie muszę odbierać tych wszystkich telefonów. Ludzie panikują, dzwonią po jakiś płyn Lugola, no oszaleć można.

– Dobrze już, przepraszam. – Piach natychmiast się opanował. Harry Potter miał rację. Na wszystkich kanałach informacyjnych pojawiały się doniesienia na temat jakiegoś wirusa. Telewizje, radio, wszyscy niemal bez przerwy z przejęciem nadawali to samo. Fakt, ludziom mogła udzielić się panika. Sam pamiętał, co się działo, gdy doszło do katastrofy w Czarnobylu. Wtedy telefony też się urywały. – Czy masz nowe informacje na temat Jana Lechickiego? – Piach wrócił do tematu, siłąc się na spokój.

– Tak, dziś zakończyliśmy sprawę.

– No żeż kurwa! Dlaczego nikt mnie o tym nie poinformował? Przecież to ja formalnie, w imieniu córki, zgłaszałem zaginięcie. – Piasecki ostatkiem sił powstrzymywał się przed wybuchem.

– No tak, tak, miałem dać znać, ale właściwie nie panu. Mamy od rana urwanie głowy i... – jękał się posterunkowy.

– To zapytam inaczej. – Detektyw przerwał ten żaloszny wywód młodego policjanta. – Czy to znaczy, że Jan Lechicki się odnalazł?

– Tak, pojawił się w komisariacie cały i zdrowy – odpowiedział znużony Gryf. – Tylko imię pojebaliście.

– Ale skąd wiesz, że to on? Pokazał jakiś dowód? Człowieku, wiesz, że można się pod kogoś podszywać?

– Powtarzam, że pan Lechicki jest cały i zdrowy. Widocznie nie chce mieć kontaktu z rodziną, to nie jest przestępstwo. A poza tym, oczywiście, że sprawdziłem dowód, proszę nie robić ze mnie idioty. Do widzenia! – Gryf przestał być miły, a ostatnie zdanie wypowiedział niemal z furją.

Nie sprawdziłeś, dzieciaku, pomyślał z gniewem Piasecki. Ale to nie miało większego znaczenia. On też miał pewność, że Jan Lechicki rzeczywiście pojawił się w komisariacie. Gryf nie zmyślał. Detektyw szybko wybrał numer Wandy, która odebrała połączenie po pierwszym sygnale. O dziwo, ku jego zaskoczeniu, przyjęła tę wiadomość z nienaturalnym spokojem. Jakby właśnie tego się spodziewała. To naprawdę dziwne, nawet jak na nią, pomyślał Piach. Był nastawiony na jakieś wzmożone działania poszukiwawcze na całym terenie, a nie na dziecinną obrażę, która wciąż dźwięczała mu w uszach.

– Taa, domyśliłam się...

Piasecki wytarł szybkę telefonu o spodnie i wrócił do baru. Jeszcze jedno małe piwo nikomu nie zaszkodziło.

– Jezus, przecież to tutaj był ten wypadek! – mamrotała hakerka niemal przyklejona do przedniej szyby. – Tam – wskazała ręką za baner – kręciliśmy się z Piachem, szukając świadków. Ale jak zawsze nikt nic nie widział ani nie słyszał.

Anna Maria Kier jechała powoli, by nic nie umknęło ich uwadze. Ale im dalej jechały, tym bardziej malało zaangażowanie Wandy. Wreszcie po kilkunastu minutach maksymalnego skupienia hakerka opadła ciężko na fotel i powiedziała smutno:

– Czuję, że on tu musi gdzieś być. Zadzwoń do Gryfa? Może zorganizuje jakieś przeszukanie, jak myślisz?

– Wanda, nie ma takiej opcji. Jeśli Piach ma rację, to... – zawiesiła głos, a z jego tonu wybrzmiała potrzeba podania w wątpliwość ustaleń współnika – to twój ojciec po prostu, no wiesz, po prostu nie chce... – Kier wiła się jak piskorz. Nie mogło jej przejść przez gardło to, o czym obie doskonale wiedziały. To bolesne. Wiedzieć i dodatkowo usłyszeć. To taka kropka nad i, która pozbawia złudzeń. – Po prostu zerwał kontakty z rodziną i, no wiesz, ma do tego prawo – dokończyła Anna na wydechu. – Nikt nie podejmie akcji poszukiwawczej – dodała szeptem.

– Okej, rozumiem, że ze mną tak postępuje, ale dlaczego karze matkę? Teraz, kiedy jest w takim stanie i potrzebuje pomocy? Po prostu nie mieści mi się to w głowie. Jakim trzeba być gnojem, żeby tak zostawić kogoś bliskiego? – Lechicka kręciła głową, a wyraz jej twarzy zdradzał, że nie może pogodzić się z kolejnym odrzuceniem. – On ją zostawił na pastwę losu – dodała cicho.

– O cholera, Wanda! Tak, dokładnie o to może chodzić! Właśnie tak! Jesteś genialna! – Kier uderzyła dłonią w kierownicę. – A może twój ojciec naprawdę brał udział w tym wypadku. A może miałaś rację. Może wystraszył się, że odpowie za kolizję ze skutkiem śmiertelnym, jeśli mama nie przeżyje! Cholera jasna! A może w trakcie jazdy coś jej zrobił, że wjechała do tego rowu? Bojąc się konsekwencji, po prostu wolał zniknąć, a teraz, cóż, zaczęłaś poszukiwania, zrobiło się gorąco, a mama za szybko nie opowie, co się stało. Słuchaj, jesteśmy w domu! – Anna klasnęła w ręce. – Jeszcze jest dość widno, porozglądajmy się – dodała i pewnie ruszyła przed siebie.

– Hamuj! – krzyknęła nagle Wanda, a Kier automatycznie zwolniła, pytając wzrokiem, o co chodzi. – Tu, po prawej stronie, widzisz ten mały dom? – Lechicka podniosła się niemal, przyklejając twarz do bocznej szyby. – Tam na podjeździe stoi ten zaszary fiat, skręcamy!

Złota skoda fabia zatrzymała się, hamując z piskiem. Wanda miała rację. Czerwone seicento, za którym jechały od szpitala, stało równo zaparkowane przed niewielkim drewnianym domem, który ewidentnie był jeszcze niewykończony. Na podwórzu stało mnóstwo sprzętu budowlanego, a posesja nie była nawet ogrodzona. Wspólniczki wysiadły z niedbale zaparkowanego auta. Wanda zaczęła biec.

Stała przed drzwiami i drżącą ręką wcisnęła dzwonek. Usłyszały długie, przeciągłe brzęczenie. Serce hackerki waliło jak oszalałe, w uszach jej szumiało, a przez głowę przebiegały niezliczone myśli. Miała wrażenie, że za chwilę eksploduje. Ale już nic nie mogło tego powstrzymać. Trzymała palec na dzwonku, nie bacząc na to, że zaraz spali mechanizm.

Nagle drzwi się otworzyły. Stała w nich drobna kobieta około pięćdziesiątki. Była bez makijażu, a przy oczach wyraźne rysowały się kurze łapki.

– Co się dzieje? – spytała, gdy Wanda wreszcie odkleiła palec od dzwonka, który wciąż upiornie brzęczał w uszach. – Co pani wyrabia? – zwróciła się do hackerki poirytowanym tonem. Szerzej rozstawiła nogi, zasłaniając wnętrze domu, a z jej twarzy nie schodziło przerażenie.

– Dzień dobry – przywitała się Anna, która delikatnie przesunęła współniczkę. – Przepraszamy za tę nerwowość, ale szukamy pewnego

mężczyzny. – Uśmiechała się, próbując zyskać sympatię gospodyni. To nie był dobry początek i zdawała sobie sprawę, że musi natychmiast przejąć inicjatywę. Wanda z tym wielkim guzem na czole i obłędem w oczach wprowadzała niepotrzebną nerwowość. Tak mogą spalić ten kontakt, a nie wolno do tego dopuścić. – Szukamy kierowcy tego czerwonego seicento – dodała spokojnym tonem, posyłając kobiecie dobrotliwy uśmiech.

– A co się stało? – Gospodyni przymknęła drzwi, nieznacznie chowając się za nimi.

– Proszę zawołać kierowcę tego samochodu, zaraz wszystko wyjaśnimy.

– Kier złożyła dłonie. Taki proszący gest często sprawiał, że ludzie nabierali zaufania.

– Dobrze, już, już. Jurek! – zawołała kobieta, odwracając twarz w głąb domu. – Ktoś do ciebie!

ROZDZIAŁ 29

[30 grudnia 2019]



Usłyszały ciężkie kroki. Wanda spojrzała na przyjaciółkę, pokazując na migi, że prawdopodobnie się pomyliły i powinny się wycofać, ale było już za późno. Gdy mężczyzna wreszcie pojawił się w korytarzu, najpierw zobaczyła jego sterczące siwe włosy, wychudłą twarz i zaniedbany zarost. Stał przed nią i spojrzała mu w oczy. Te, które doskonale знаła. Duże, niebieskie, błyszczące. Z długimi czarnymi rzęsami, z których śmiała się jako dziecko. Były takie jak u lalki, którą dostała od matki. Wtedy nazwała ją Rzęską, bo ojciec nie zgodził się na Jasia. To imię dla chłopca, powiedział łagodnym, choć niezbyt czułym tonem.

– Jurek, panie szukają kierowcy naszego samochodu. – Kobieta spojrzała na niego z wyraźnym niepokojem. Choć panowała cisza, czuła podskórnie, że za chwilę wydarzy się jakiś kataklizm. – Musiało dojść do pomyłki – zaczęła nerwowo szczebiotać, opierając się o drzwi. – Kupiliśmy to auto wczoraj, jeszcze formalności niezłatwione, bo święta, ale zaraz po Nowym Roku... – Głos gospodyni przeszedł w falset.

– Nie chodzi o samochód.

Lechicki, ubrany w robociarską flanelową koszulę w czerwonej kratę, westchnął przeciągle, podciągnął spodnie i przyglądał włosy. Zawsze tak robił, kiedy chciał się lepiej prezentować, pomyślała Wanda. Przez te wszystkie lata nic się nie zmieniło, to wzruszające. Próbowała coś powiedzieć, ale tylko bezgłośnie poruszała ustami. Stała nieruchomo jak posąg. W jej ciele zapadła ciężka kurtyna, która całkowicie ją obezwładniła. Przygniotła ciężarem lęku, bólu i strachu.

– Nazywam się Anna Maria Kier, jesteśmy współniczkami. – Detektywka pokazała na Wandę. – I przyjaciółkami. Szukamy pana od kilku dni, proszę z nią porozmawiać. – Anna weszła do domu z takim impetem, że gospodarze automatycznie odsunęli się, robiąc jej miejsce. –

Wanda, wejdz, proszę – poleciła przyjaciółce, a ta wreszcie zrobiła krok do przodu.

– Tak, wejdz. – Lechicki odchrząknął, zerkając na zdezorientowaną partnerkę. Wskazał Wandzie niewykończoną kuchnię, całą w drewnie, w której stały tylko stół i krzesła. Hakerka od razu poznała jego rękę. Te zdobienia na rantach robił zawsze, ilekroć klienci nie mieli nic przeciwko temu. To taki mój podpis, tłumaczył jej, gdy była dzieckiem.

Wanda usiadła na drewnianym taborecie i poczuła, jak wreszcie zaczyna odzyskiwać siły, a myśli przelatujące w głowie z prędkością karabinu maszynowego zaczynają się zatrzymywać i układać w całość.

– Co to wszystko ma znaczyć, do cholery? – krzyknęła tak głośno, że wszyscy przy stole aż podskoczyli.

– Wanda, posłuchaj. – Lechicki podniósł dłoń, żeby ją uciszyć. – To nie ja powinienem prowadzić z tobą tę rozmowę. – Skrzywił się i wrzucił ramionami. – Ja tu nie jestem stroną – dodał głębszym tonem, jakby to miało ją wystraszyć. – Nie chciałbym tego wszystkiego tutaj roztrząsać, wiesz... – Rozejrzał się niepewnie, zerkając na partnerkę i Annę. Kier stała za Lechicką, trzymając dłonie na jej ramionach. – Ja naprawdę nie mam ci nic do powiedzenia – wyrzucił z siebie, jakby to zdanie go parzyło.

– Żeby była jasność – zaczęła przyjaciółka Wandy zdecydowanym tonem. Ścisnęła ją za ramię, by dać jej siłę do dalszej rozmowy. – Byłyśmy w Rybakach, znamy historię Jana i Jerzego, wiemy o pożarze, Archiwum X i o tym, że jesteś jakoś umoczony w wypadek Danuty. – Odsunęła taboret i usiadła przy Wandzie. – Jestem byłą policjantką, z wciąż dużymi możliwościami, i potrafię doprowadzić temat do końca.

– Ale tu nie ma żadnego tematu! – zachnął się Lechicki. Uderzył dłonią w stół, co zaskoczyło jego partnerkę. Kobieta przyglądała mu się z uwagą i lękiem.

– Albo opowiesz nam wszystko od początku do końca, albo zrobię ci taki kipsisz w życiu, że się nie pozbierasz! – Kier wyraźnie mu groziła, co było do niej niepodobne, uznała jednak, że wszelkie granice zostały przekroczone. – Wanda odchodzi od zmysłów, szuka cię wszędzie, bo martwi się, że potrzebujesz pomocy. Boi się, że ktoś cię uprowadził, a ty po prostu wiesz sobie nowe gniazdko? Tak się nie postępuje z córką. Jesteś sadystą!

– O czym te kobiety mówią? – odezwała się wreszcie partnerka Lechickiego. Była tak zdenerwowana, że zmarszczki wokół jej oczu zaczęły drgać. – Jurek, co się tu dzieje? – Spojrzała na niego, ale on uciekł wzrokiem.

– Jurek? Czy Janek? To w takim razie który tam w tych Rybakach leży? W grobie, dodajmy. A może Karkosza miał rację? – Kier wiedziała, za które struny pociągnąć, żeby go zabolalo.

- Okej. - Lechicki podniósł dłonie, jakby się poddawał. - Okej. Opowiem wam, ale pod jednym warunkiem. - Spojrzał na zebrane wokół niego kobiety. - To nigdy nie wyjdzie poza nasze grono!

- No, jeśli to było przestępstwo, to będę musiała zgło... - powiedziała Kier, siląc się na ton nieznoszący sprzeciwu, ale Lechicki agresywnie wszedł jej w słowo:

- I raz na zawsze dacie mi święty spokój. Zasłużyłem na to. Po trzydziestu latach więzienia chcę żyć po swojemu, mam do tego prawo. Po trzydziestu latach kary mam prawo być wolny. Opowiem to tylko raz i już nigdy nie wrócę do tej historii. I nie, droga pani - zerknął na Kier z wściekłością - nie ma pani co i komu zgłaszać. Za późno - dodał, układając usta w uśmiechu.

ROZDZIAŁ 30

[RYBAKI, 30 lat wcześniej]



Śniło mi się, że wypadły mi zęby. Dotknąłem jedyńki, a ona niemal skruszała mi w dłoni. Potem chwyciłem za dwójkę i wypadła z taką łatwością, że trudno było mi uwierzyć, że miała jakieś korzenie. To był chyba najgorszy sen w moim życiu. Obudziłem się mokry, ale już wtedy czułem, że coś się stanie. Takie rzeczy po prostu czasem się wie.

Zszedłem na dół. Matka ubierała choinkę, nucąc przy tym kolędę. *Lulajże, Jezuniu*. Uwielbiała ją i często śpiewała jako kołysankę swojej wnuczce Wandzie. Matka była zakochana w tym dzieciaku, może dlatego, że rzadko widywała tę małą.

– Janek obiecał, że dziś będzie wszystko w porządku. – Matka spojrzała na mnie ze łzami w oczach. – Na wigilię zjedzie Danuśka z Wandzią. Uszyłam jej lalkę, chcesz zobaczyć?

Pokręciłem głową. Zaspany szedłem po schodach najciszej, jak umiałem. Nie chciałem obudzić brata. Jak zwykle wrócił nad ranem sztywny jak szpadeł. Nawet się niespecjalnie awanturował. To był dobry znak. Może to święta tak na niego wpłynęły, myślałem naiwnie albo raczej życzeniowo.

Jadłem chleb z masłem i solą. Usiadłem obok matki i patrzyłem na jej spracowane, obolałe dłonie. Myślałem o jej posiniaczonych przedramionach. Ukrywała je pod rękawami grubego swetra, ale ja wiedziałem, co się stało. Próbowwała ostatkiem sił uratować ślubną zastawę, którą ten drań wybijał, śmiejąc się jej w twarz. To wtedy tak strasznie zdemolował kuchnię, że nie dało się tam zjeść śniadania. Wtedy pierwszy raz pobił ją do nieprzytomności. I zostawił, zabrawszy ostatnie pieniądze. Zachowywał się identycznie jak ojciec. Geny to potęga.

Wróciłem wtedy po kilku dniach nieobecności. Pracowałem na budowach. Wyjeżdżaliśmy za robotą. Majster dobrze płacił, uczciwie nas

rozliczał, to jeździłem za chlebem, gdzie by mnie nie posłał. Uciekałem z domu jak tchórz śmierdzący. Do tej pory niedobrze mi na tę myśl.

Matka leżała w kuchni, na podłodze, z ust i nosa ciekła jej krew. Długo potem miała takie bordowe ślady nad wargą. Nie mogła tego domyć. No cóż, maltretował nas, a ja byłem za słaby, żeby coś z tym zrobić. Uciekałem na budowy i zostawiałem matkę w szponach tego bandyty. Bałem się go. Nie tylko ja. Bała się go cała wieś, milicja, sąsiedzi... Wszyscy. Robił, co chciał. Był bezkarny. A z każdym dniem takiego życia coraz bardziej agresywny. Nie było na niego mocnych. Prokuratura wiecznie go wypuszczała, milicjantom śmiał się w twarz, a jeśli któryś próbował go choćby pouczyć, to dostawał taki wpierdol, że nigdy więcej tego nie zrobił. Wyjątkiem był Stasiek Karkosza. No ale co można zrobić w pojedynkę? O nim to warto książkę napisać, tak na marginesie.

Mój brat znęcał się też nad swoją kobietą i dzieckiem. Ona uciekała od niego, ale co pewien czas przypominał sobie o niej w najdziwniejszych momentach. Przywoził ją z małą do domu jak najgorsze bydło. Tak, dokładnie tak. Rzucił nimi o podłogę, jakby były przedmiotami. Ależ ja jej za to nienawidziłem. Że tak to wszystko znosi, że nie ucieknie gdzieś na zawsze, tylko tak pozwala sobą pomiatać. Jak ja. I matka. I wieś. Wieś, którą terroryzował i niemal doprowadził do obłędu.

Danuśka Wenerska od zawsze była taka nieporadna. Taka słuchająca i grzeczna. Nie wiem, jak to ująć, ale nie umiała sama żyć. Stale potrzebowała czegoś w rodzaju opieki. Ich córka, Wanda, to dla odmiany miała charakterek. Niby malutka, a już stawiała na swoim. Była podobna do ojca. Jak się złościła, to robiła z ust taki lejek. Identycznie jak tatuś. Od razu było wiadomo, że zaraz wybuchnie.

Ale w tamten wigilijny poranek wszystko wyglądało jakoś inaczej. Mój brat wstał wreszcie i pomagał matce ubrać choinkę, a potem spytał, co ma kupić. „W końcu to rodzinne święta!”, pokrzykiwał, jakby musiał to obwieścić całemu światu. Był dziwnie podniecony, a my wzięliśmy to za dobrą monetę.

Nikt z nas wówczas nie przypuszczał, że to początek końca.

Ale po kolei.

Matka prosiła, żebym przywiózł ciasto od starej Kieczkowskiej. Zamówiła ulubiony sernik Janka i dla dziecka szarlotkę. Sama już nie miała ani siły, ani warunków, by cokolwiek upichcić. Po tej demolce mieliśmy kuchenkę jednopalnikową i spaloną grzałkę. Ale miały nadejść dobre czasy.

Nastał wieczór, wszyscy ubraliśmy się odświętnie. Nie chciałem siadać z tym bandytą przy jednym stole i patrzeć na ten jego opuchnięty ryj, ale nie umiałem odmówić matce, do tego ta zalękniona Danuśka, która się własnego cienia bała, i ta ich nienormalna córka. Od początku ten

dzieciak był jakiś dziwny. Albo wpadała w szal, albo godzinami patrzyła się w jeden punkt i tak się kiwała na boki jak pingwin z tych amerykańskich kreskówek. Matka tłumaczyła, że z tego wyrośnie, bardzo ją kochała.

Janek postawił na stole butelkę wódki, polewał nam, kazał pić. Potem drugą, aż tu nagle, ni z tego, ni z owego, z całej siły uderzył Danuškę w łeb. Tak na odlew. Upadła, straciła przytomność, dzieciak w ryk, a ten dostaje coraz gorszego szaleju. Oczy ma czerwone i parska, i tak się rzuca, jakby coś nim w środku poruszało. Matka zaczyna się modlić, co doprowadza go do jeszcze większego szału.

– Zamknij wreszcie ryj! – krzyknął do niej, a ta złożyła dłonie i klękła przed nim. No to on uderzył ją z całej siły. Potem zaczął ją okładać, kopać, walić na osłep. Po twarzy, głowie, rękach i brzuchu. Jak bestia. Mała posikała się z nerwów i żeby to ukryć, usiadła potem w tę kałużę. Nieporadnie zasłoniła plamę różową sukienką. A ja? A ja nie mogłem się ruszyć. Bałem się go tak bardzo, że miałem ochotę umrzeć. Aż w końcu stało się ze mną coś dziwnego. Tuż przy prawej ręce stał dzban z nożem przygotowanym do krojenia sernika. Nie wiem, co się stało, ale automatycznie wziąłem ten nóż do ręki i... walnąłem na osłep. Drasnąłem go tylko, ale zawył jak dzikie zwierzę. Zachowywał się jak lew w klatce. Zrywał zasłony, demolował stół, walił głową w ścianę.

– Uciekajcie, kobiety! – krzyknąłem do matki, która z trudem wstała. Wzięła tego zaszczanca na ręce i wybiegła z domu. Wiedziałem, że to są ostatnie chwile mojego życia. Że on mnie zaraz zabije, złamie jak zapałkę na pół. Tak jak robił to ojciec z każdym napotkanym po drodze niewygodnym świadkiem jego zezwierżenia.

Danuška leżała półprzytomna, obserwowała wszystko, ale nie wstawała. Nie miałem w niej żadnego oparcia. Była jak szmaciana lalka, którą można ułożyć w dowolnej pozie.

Janek zaczął się ślinić jak wściekły pies. Toczył pianę z pyska i podchodził do mnie. Ale im był bliżej, tym bardziej się śmiał. Aż w końcu stanął metr ode mnie, patrzył na moją rękę, w której trzymałem nóż, i drwił.

– Ty miękka pało. Nigdy nie umiałeś zrobić pożytku z tych swoich grabi. Jak ojciec nas lał, to płakałeś jak panienka albo szczałeś jak ta mała. Ty, a może ona twoja jest, co? – Przekreślił głowę. W karku mu coś chrupnęło. – Nie wiesz, że nie można pożądać żony bliźniego swego?

– Uspokój się! Nie tknąłem jej nawet palcem! – krzyczałem tak piskliwym głosem, że aż uszy bolały.

– Och, panieneczka zaraz się popłacz!

– Janek, przestań już! – próbowałem go przekrzyknąć. Te jego słowa sprawiały mi ból, a on o tym wiedział, sukinsyn jeden.

- Spójrz na nią ostatni raz. - Wskazał brodą na bezwładne ciało Danuśki. Podszedł do niej i złapał ją za włosy, pociągnął w swoją stronę i splunął jej w twarz. Zamknęła oczy, czekając na cios.

I wtedy stało się coś strasznego. Coś, co od tamtego momentu widziałem potem każdego ranka i każdej nocy. Podniosłem nóż i wbiłem mu w ramię. Potem w szyję. Trafiłem w tętnicę, krew sikała strumieniem. Była wszędzie. Na podłodze, na ścianach, na suficie. Ja też cały byłem we krwi. I dalej to robiłem. Zadałem mu kilkanaście ciosów, mimo że już nie żył. Miałem brudne ręce, lepiłem się do mebli, do stołu. Podniosłem Danuskę, która zaczęła strasznie płakać. Ona też była cała we krwi. Dostała drgawek, a ja próbowałem ją uspokoić. Nie potrafiłem.

To była jatka.

Wyszedłem w samej koszuli, bo buty mi spadły. Nie czułem śniegu, mrozu, nie czułem niczego, byłem jak z drewna. Albo lepiej, z kamienia. Tego dnia przestałem czuć cokolwiek.

Poszedłem do milicjanta, do Staśka Karkoszy. Mieszkał niecałe dwa kilometry od nas. Wiedziałem, że mnie zamknie i raz na zawsze skończy się ta historia. Bracia Lechicy, których tak strasznie nienawidził, przestaną istnieć. Nareszcie będzie spokój. Ale Staśka nie było w domu. Wyjechał do jakiejś rodziny na święta, jak to kawaler. I wtedy wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko.

Ktoś ze wsi spotkał mnie idącego przed siebie, nawet nie pamiętam, kto to był. Wtedy wszystkie twarze zlewały mi się w jedną. W twarz brata. W każdym widziałem jego, bez względu na to, czy to kobieta, mężczyzna czy dziecko. Mówił do mnie bez przerwy, ciągnął mnie za rękę, aż w końcu znowu stanąłem przed domem. Ktoś krzyczał, żeby tam nie wchodzić, zrobiło się zbiegowisko. Dostrzegłem matkę, Danuskę i Wandę. Stały wszystkie trzy i patrzyły na mnie jak na zabójcę. Widziałem to w ich oczach. Byłem zabójcą. Bratobójcą. Kainem.

- Ludzie, zróbcie coś, on nie może iść siedzieć! - usłyszałem kogoś obok, jego głos brzmiał jak głos Janka. Mieszało mi się w głowie. Nie wiedziałem, gdzie jestem, niczego nie czułem.

- Ale Karkosza go wsadzi! - odpowiedział ktoś z tłumu.

- Uciekaj, Jurek!

- Zabierz te kobiety i wyjeżdżajcie stąd!

- Spalmy ten przeklęty dom! Niech pójdzie z dymem! - odpowiedział ktoś inny.

- Tak, dobry pomysł. Zniszczcie wszystkie ślady! Koniec z tym!

Ludzie zaczęli się przekrzykiwać, aż w końcu ktoś naprawdę podłożył ogień. Płomienie na początku ledwo się tliły, lecz wkrótce miałem wrażenie, że języki ognia sięgały chmur. Trzask palonych okiennic słyszę do dziś.

Ktoś mi dał kurtkę, inny buty. Wszyscy coś do mnie mówili, a ja widziałem tylko gębę Jana. W każdym z nich, jakbym był w takim domu luster z powielającą się twarzą.

Ktoś nas zawiózł do Karoliny, siostry Danuśki. Pojechaliśmy wszyscy ściśnięci jak sardynki. Miałem posklejane włosy i nie umiałem ich rozplątać przez kolejne lata. Zawsze czułem w nich krew.

Właśnie wtedy, wbity między siedzenia, stałem się Janem Lechickim, który musiał zaopiekować się Danušką i jej córką Wandą. Nie poradziłyby sobie beze mnie. Musiały mieć męża i ojca, którego im zabrałem. Wieś ustaliła plan działania, a ja się na wszystko zgodziłem. Wieś zorganizowała zbiórkę. Wieś pochowała spalonego Jana, o którego nikt nigdy miał się nie upomnieć. Nie było śladów zbrodni. Wszystko spłonęło.

Kilka dni potem serce naszej matki pękło, a ja zamieszkałem z kobietą i... hm... naszą córką pod Łodzią. Wtedy nie wiedziałem, że tak naprawdę trafiłem do więzienia. Dusłem się, bałem się, nienawidziłem siebie i innych. Każdy dzień to była skreślona cyfra, która musiała minąć. I tak przez trzydzieści bardzo długich lat, podczas których każdy poranek przynosił lęk przed aresztowaniem. Każdego dnia niemal srałem ze strachu, że zjawi się policja i zabierze mnie tam, gdzie moje miejsce.

Każdego dnia Danką z córką swoim istnieniem przypominały mi o tym koszmarze.

Żyłem na pół gwizdka, by nikt sobie o mnie nie przypomniał. Wanda dorastała, a ja z każdym dniem widziałem w niej Jana i coraz bardziej jej nienawidziłem. A najgorsze było to, że bałem się tych genów, które wypęły z niej jak wąż z trującym jadem.

Nie rzucąłem się w oczy, ale ona stawała się coraz bystrzejsza. Bałem się jej i nie chciałem patrzeć, jak upodabnia się do ojca. I tak nie miałem wpływu na to, co się stanie, więc wolałem odwrócić wzrok. I jeszcze ten bachor stale czegoś szukał w tym całym Internecie. Jest takie powiedzenie: Nie drap, bo rozdrapiasz. A ona wciąż zrywała strupy i jeszcze posypywała je solą. I patrzyła na mnie tymi okrutnymi oczami ojca, bandyty i mordercy.

Ta dziewczyna musiała opuścić dom, który i ja w rezultacie po kilku latach też zostawiłem. Bez najmniejszego żalu. Chciałem pozacierać ślady.

Nigdy nie tłumaczyliśmy dziecku, że nie jestem jej ojcem. Danuška mówiła do mnie Jan, dla dobra małej, a potem ja też się tak przedstawiałem, na wszelki wypadek. Mało to razy ludzie mają inne imiona w dowodzie? Zniknąłem z pola widzenia wszelkich służb, nie miałem nawet jednego punktu karnego. Dłubałem sobie w drewnie i nikomu nie wchodziłem w paradę. Unikałem ludzi, nie chciałem mieć choćby najmniejszego zatargu. Porządnych obywateli nikt na szczęście nie zauważa. Są niewidzialni dla systemu.

Danka trzymała mnie w szachu przez całe lata, a ja bałem się odejść, bałem się, że powie, co się tak naprawdę stało wtedy w Rybakach, i będzie po mnie. W którymś momencie odezwał się Stasiak Karkosza. Wiem, że coś próbował zrobić w tej sprawie, dlatego opiekowałem się Danką najlepiej, jak potrafiłem. Musiałem mieć ją po swojej stronie. Staralem się, ale przychodziło mi to z coraz większym trudem.

Wreszcie Danuśka też odpuściła. Już tak się mnie kurczowo nie trzymała, robiła się coraz bardziej samodzielna, wyjeżdżała za granicę, a ja miałem wolną rękę. I powoli budowałem swoje życie tutaj, w moim drewnianym domku. Umówiliśmy się, że w te święta znikam z jej życia. Minęło dokładnie trzydzieści lat od tamtych wydarzeń. Już nic mi nie grozi. Stałem się wolnym człowiekiem.

To Danuśka miała wszystko wytłumaczyć dziecku, które nie chciało przyjechać do matki w taki dzień. Dlatego ja też postanowiłem ją o to poprosić, ostatni raz porozmawiać z Wandą na do widzenia, ale nie odbierała telefonu. Dla mnie to wszystko było jasne, ale jej matka nie mogła się z tym pogodzić. Wanda jest podobna do swojego ojca. Uparta i nieustępliwa. Na szczęście nie poszła w jego ślady. Nasze wychowanie odniosło skutek. Na szczęście. Ofiara spełniona.

Kilkanaście dni temu pojechałem po Dankę do Niemiec, zakończyłem wszystkie zobowiązania. Rozliczyliśmy się uczciwie, dostałem połowę naszych oszczędności, czyli trzydzieści tysięcy złotych. Tak się umówiliśmy. Moja podróż skończyła się właśnie tutaj. W domu, który postawiłem swojej klientce, a w końcu kobiecie mojego życia. Bez Jana w tle i pod powiekami. To właśnie tutaj, przy niej, wreszcie przestałem śnić ten okropny sen. I odzyskałem upragnioną wolność.

Potem Danka wsiadła za kółko i pojechała do domu. To niedaleko. Ale ona nie jest dobrym kierowcą, do tego okazało się, że wcale nie radzi sobie z tą sytuacją tak dobrze, jak mówiła. Płakała, chciała żyć jak dawniej, ze mną i Wandą. Jakby kompletnie nie rozumiała, co się dzieje. Ona nie mogła pojąć, co to znaczy odzyskać swoją tożsamość.

Jak zobaczyłem w Internecie nasze auto w rowie, zamarłem. Czuję się współwinnny, wyrzucałem sobie, że może powinienem ją odwiedzić, ale ja już nie chciałem tam wracać. Mój dom jest tutaj, tam zostało więzienie. Koszmar. Nie mogłem patrzeć w oczy Wandzie, bo widziałem w nich Jana, nie mogłem słuchać Danki, bo słyszałem tylko jej szloch z podłogi, kiedy dźgałem tego skurwiela w szyję. Byłem bliski obłądu.

A potem jeszcze okazało się, że jestem poszukiwany... i cały ten horror wrócił. Nie mogłem trafić w łapy policji, ale też nie przypuszczałem, że Wanda zrobi taki cyrk. Od dawna nie mieliśmy kontaktu.

I co miałem jej powiedzieć?

Jestem obcym człowiekiem.

I niech to wszystko wreszcie się skończy.
Nazywam się Jerzy Lechicki.
Wróciłem.

ROZDZIAŁ 31

[Warszawa, styczeń 2020]



Wiedziałem, że zmądrzejesz! – Tymon Zawadzki puścił do niej oko.

Anna Maria Kier zlekceważyła ten gest. Musiała ignorować próby wyprowadzenia jej z równowagi. To była skuteczna i sprawdzona metoda.

– Zamawiasz coś jeszcze? – Detektywka zerknęła na kelnerkę stawiającą przed nimi dwie filiżanki kawy, wypełnione niemal po brzegi, z brązowymi rysunkami na piance.

– Nie, dzięki, mam wszystko. – Dziennikarz klasnął w dłonie i sięgnął po naczynie.

Kier zmrużyła oczy, skądś znała tę różowowłosą kelnerkę. Zaraz, zaraz... wodziła spojrzeniem za dziewczyną, która oddalała się wolnym krokiem w głąb kawiarni. Tak!

– Przepraszam na chwilę! – rzuciła do Zawadzkiego i ruszyła za nią. Tamta zbierała naczynia i wycierała blat, robiła to jakby od niechcienia. Była zmęczona albo smutna.

– Pani ma na imię Gaja, prawda? – Kier uśmiechnęła się do niej, ale ona nie odwzajemniła gestu. Przytaknęła i rozejrzała się dyskretnie, jakby się czegoś obawiała. Albo może na kogoś czekała? – Sorry, że tak zaczepiam...

– Anna chciała brzmieć młodzieżowo, ale to tylko rozbawiło kelnerkę. Zlustrowała detektywkę i stwierdziła:

– Ja panią znam, pani jest przyjaciółką Wandy. – Imię hakerki wypowiedziała ze smutkiem i odwróciła się na pięcie, próbując dalej wykonywać swoje obowiązki. Dłonie jej drżały.

– Tak, zgadza się, pani Gaju. – Detektywka złapała ją za rękę. – Nie tęskni pani za nią?

– A jakie to ma znaczenie? – Różowowłosa wzruszyła ramionami.

– Wanda mnie zabije, że się wtrącam – wydukała zawstydzona Kier, próbując ukryć oblewający ją rumieniec – ale moim zdaniem nie jest za

późno. – Nie mogła wydusić z siebie żadnego sensownego zdania. – Chodzi mi o to, że, cholera jasna! – Zniecierpliwiła się. – Chodzi mi o to, że jeśli pani na niej zależy, to proszę zawalczyć. Wiem, że to się wyda śmieszne, ale ona ciągle chodzi w pani bluzie, takiej bordowej, nawet w niej spała. Znam Wandę, przecież ona nigdy nie powie, że tęskni czy coś...

– Nawet „czy coś” nie powie. – Gaja uśmiechnęła się, a jej oczy zaczęły błyszczeć. – A co tam u niej? – Uniosła brwi, siłąc się na obojętność. – Pewnie pije piwo, je pizzę i umawia się na randki?

– Nie, zupełnie nie – zaprzeczyła energicznie Kier, jakby nie rozumiała sarkazmu w głosie rozmówczyni. – Aktualnie jest w Łodzi.

– W Łodzi? Też coś! – prychnęła kelnerka i rzuciła na tacę mokre zwinięte serwetki. To był wyraźny sygnał, że kończy tę jałową rozmowę.

– Mieszka tam tymczasowo, ma kłopoty rodzinne. – Anna znowu zaczęła się miotać. Tak naprawdę czuła, że nie powinna tego robić, że narusza w ten sposób prywatność współpracownicy, ale wiedziała, że na widok Gai Wanda chociaż na chwilę się uśmiechnie.

Po spowiedzi ojca hakerka postanowiła zawalczyć o matkę i nigdy nie wracać do przeszłości. Zamknęła ten rozdział. Odcięła się całkowicie. Ale mimo że niczego po sobie nie okazywała, to ta sytuacja ją złamała. Doprowadziła do stanu, z którego nie da się wyjść bez pomocy innych osób. Jedną z nich, prócz terapeutów i psychologów, mogła być właśnie Gaja.

– Ona pani potrzebuje, może mogłaby ją pani odwiedzić? – Anna wzięła ze stołu serwetkę i zapisała nazwę przyszpitalnego hostelu. – Tylko proszę nie dzwonić, bo odmówi kontaktu i jeszcze mnie opierniczy. – Kier uśmiechnęła się, czym wzbudziła zaufanie i przychylność kelnerki.

– Opierniczy? Kto tak mówi? – Tym razem dziewczyna wybuchnęła szczerym śmiechem, jakby nagle ktoś zdjął jej klamrę z klatki piersiowej i uwolnił oddech.

– Jestem pewna, że się ucieszy na pani widok. Może zrobi jej pani niespodziankę? To nie jest daleko. – Anna kuła żelazo póki gorące. – Najwyżej potem obie mnie opierniczycie.

Dziewczyna, nim schowała serwetkę do kieszeni, zerknęła na zapisane na niej słowa.

– Okej, pomyślę – szepnęła do Anny i niemal pofrunęła do baru.

Do lokalu weszła szczupła, niska dziewczyna z burzą ognistorudych loków. Sprawnym ruchem złapała włosy w kucyk, zdjęła gruby płaszcz

i zaczęła się rozglądać. Zobaczyła Tymona w zacisznym miejscu w rogu sali. Dziennikarz zamachał do niej, wyraźnie przywołując ją do siebie. Posłała mu wymuszony uśmiech, odetchnęła głęboko i ruszyła do współnika. Jej pierwszy krok był niepewny, jakby wchodziła na grząski grunt.

- Tam stoi Kier, gada z kelnerką! - wyszeptał dziennikarz i potarł dłonie, uśmiechając się szeroko. - Zamówić ci coś? - spytał, gdy Magdalena Dębska usiadła tuż obok. Podcasterka zaprzeczyła energicznym ruchem głowy.

- Może potem, na razie mam tak zasznurowany żołądek, że nawet woda mi zaszkodzi - szepnęła, nie spuszczać z oka Kier. - Kurde, ale ma figurę. Idealna jest - powiedziała do siebie, nie kryjąc podziwu. - Chciałabym tak wyglądać w jej wie... - urwała, bo do stolika właśnie podchodziła córka prokuratora Książpolskiego. Jej zaróżowione policzki i błyszczące oczy świadczyły o tym, że właśnie coś poszło po jej myśli.

- Pani Dębska, prawda? - Anna Maria Kier usiadła na swoim miejscu, zsunęła plecak i wyciągnęła dłoń na przywitanie. Uścisk kobiet był silny. Uśmiechnęły się do siebie, prawdopodobnie żadna z nich nie lubiła dłoni wiotkiej jak zdechła ryba.

- Miło mi panią poznać. - Podcasterka była wyraźnie zawstydzona.

Detektywka uśmiechnęła się ośmielająco. Jakże to jest częste, pomyślała. W Internecie, zza monitora, władczą kobietą sukcesu, a w rzeczywistości nieśmiałą dziewczyną, która nigdy nie pójdzie na zwarcie. Strefa komfortu to teren nienaruszalny, ale szklany ekran monitora daje tylko pozorne bezpieczeństwo. Kier niemal zatarła ręce. Czowała, że ma psychiczną przewagę, i wiedziała, jak to wykorzystać.

- No dobrze, przejdźmy do konkretów. - Zarzuciła włosami i wyprostowała się, przyjmując nieco posagową pozę. - Co mi dacie za te teczki? - Wskazała brodą na plecak trzymany na kolanach. Rozejrzała się dookoła i nagle dostrzegła, że są na piętrze sami. Gwar ustał, stoliki świeciły pustkami, a zza baru zniknęła obsługa.

- Spokojnie, przez godzinę nikt nie będzie nam przeszkadzał. - Zawadzki uśmiechnął się, pokiwał głową z zadowoleniem i podniósł kciuk.

Anna wyjęła tekturowe teczki związane parcianym sznurkiem. Położyła przed sobą dokumenty i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że na każdej z nich jest czerwony wykrzyknik.

- O... - Zmrużyła oczy. - Ciekawe. Tomasz Abrański, Tymon Zawadzki, Kornel Krojec, Adam Lewiński, Maja Kłoda - zaczęła wyczytywać nazwiska. Ułożyła je równo i wbiła spojrzenie w rozmówców.

- No cóż - odchrząknął Tymon. - Moja teczka, wiadomo... - Rozłożył ręce i wyciągnął dłoń, ale zaraz onieśmielony ją zabrał. - Może tak -

ściszył głos. – Zostałem wyrzucony z redakcji zaraz po tym, jak napisałem niewygodny artykuł o jednym z generałów. Jestem pewien, że było to polecenie Króla, które osobiście wykonał właściciel koncernu medialnego GXL Tomasz Abrański. A teraz do rzeczy! – Kaszlnął w pięść. – Wszystkie te osoby są ściśle powiązane z Wiachesławem Wasinem, wysoko postawionym oligarchą rosyjskim, agentem KGB, współpracownikiem Kremla.

– Co? – Kier rzuciła z niedowierzaniem, ale zamilkła, gdy Zawadzki podniósł dłoń.

– Tutaj mam rozpracowaną sieć jego wpływów – kontynuował dziennikarz konspiracyjnym tonem. To sponsor prawicowej platformy petycyjnej WE ARE, a tak naprawdę farmy trolli. Mam też dowody, że żona Abrańskiego jest powiązana z tą platformą, a co za tym idzie, nasze największe konsorcjum medialne sieje rosyjską propagandę.

– Ale co to ma wspólnego z moim ojcem? – Kier pokręciła głową.

– Platforma poprzez sponsora jest powiązana ze znaną polską partią, która ma ogromne szanse w najbliższych wyborach. Domyślasz się, kto tak naprawdę za tym stoi? – Zawadzki uśmiechnął się delikatnie.

– Rusczy, wiadomo – wtrąciła niecierpliwie Dębska.

– Ale co to ma wspólnego z Królem? – Anna ponowiła pytanie, uderzając nerwowo palcem w leżący przed nią stos teczek.

– A masz tam teczkę Wasina? – odpowiedział pytaniem na pytanie Zawadzki.

– Nie, no właśnie nie mogłam jej znaleźć – zawahała się.

– Jak to? – Dziennikarz podskoczył na fotelu. – Ona musi być w szafie.

– Ale nie ma, szukałam kilka razy, może pomyliłeś nazwiska?

– Nie ma takiej opcji. – Zawadzki był wyraźnie niezadowolony. – No dobrze, jeszcze o tym pomyślimy. Dla mnie i tak najważniejsze są te dokumenty. – Wskazał palcem na teczki, które leżały przed Anną.

– Tymon twierdzi, że pani ojciec pracował dla Wasina – wtrąciła Dębska. Podcasterka nerwowo rozplątywała włosy i ponownie związała je gumką. – Pospieszmy się, proszę – dodała cicho, zerkając na zegarek.

– Co? Jak to pracował dla Wasina? Co chcecie przez to powiedzieć? – Detektywka straciła psychologiczną przewagę, z której jeszcze przed chwilą była taka zadowolona.

– Poznali się w latach osiemdziesiątych. Na jednym ze starych zdjęć widziałem ich razem. Prokurator Książkowski zajmował się sprawą zabójstwa pewnego Czechen w Załubicach.

– Nie... – Kier wymysknęło się pełne niedowierzania zaprzeczenie. Ale przecież ona też знаła tę sprawę. Tak, ojciec brał w niej udział i prawdopodobnie był w nią zaangażowany nie tylko jako prokurator.

- Moim zdaniem właśnie wtedy zaczął dla niego pracować, przykro mi.
- Zawadzki rozłożył ręce. - Król wcale nie był tym, za kogo wszyscy go brali. To żołnierz, a nie władca.

- Co chcecie z tym zrobić? - Anna się poddała. - Po co ten cały medialny szum? Przecież to jest niebezpieczne!

- Przeciwnie. Przy takiej oglądalności nie da się tego zamieść pod dywan. Wczoraj odnotowałem milion wyświetleń. Milion! To nasz list żelazny. No cóż, a ja chcę to wszystko opublikować. O pani ojcu też - dodał od razu. - Nie możemy pozwolić, by naszym krajem rządziła ruska mafia, to chyba oczywiste, prawda? - Tymon Zawadzki spytał takim tonem, że jakkolwiek sprzeciw nie wchodził w grę. - Z Tobiaszem Harpagonem na czele. To ich człowiek, jak wasi ojcowie.

- Jezus Maria... - Anna oparła ręce na stole i schowała twarz w dłoniach.

- Po przejrzeniu tych danych - dziennikarz łypnął chciwie na dokumenty - będziemy nie do zatrzymania, ta ruska partia nie może przejąć władzy, to po pierwsze. A Abrański musi beknąć. Przygotujemy bombę atomową!

- Możesz zmienić te porównania? - spytała Dębska, wciąż nerwowo zerkając na zegarek. - To jest okropne!

- Ale jakie chwytliwe! Działa na wyobraźnię! Nikt nie będzie czytał wymuskanych stylistycznie popierdółek, kobieto! - Mężczyzna uderzył dłońmi w uda.

Kier nie zareagowała. Miała wrażenie, że wpada w jakąś czarną otchłań. Przez jej głowę przebiegało tysiące myśli. Co to dla mnie znaczy? Co ja mam teraz robić?

- A jak wam nie dam tych teczek? - spytała, wpatrując się w dokumenty.

- To będzie nam trudniej, ale dotarłem do danych, których nikt nie podważy. Publikacja jest prawie gotowa. Filmik ma czterdzieści minut, jak dokręcę teczkę, będzie pięćdziesiąt. Wstrząśniemy tym krajem.

- Wstrzymajcie się do pogrzebu, co? - Podniosła w końcu na nich zmęczony wzrok. - Dajmy mu odejść w spokoju - dodała cicho.

- A kiedy odbędzie się ta smutna ceremonia? - spytał z przekąsem Zawadzki. Bawiła go ta sytuacja. Był zwycięzcą.

- Jutro w południe - odpowiedziała. - Dam wam te teczki - dodała, przesuwając dokumenty w stronę rozmówców.

- Dobrze, poczekamy, obiecuję! - Dziennikarz podniósł dwa palce na znak przysięgi. - I oczywiście... - zawiesił głos - domyślasz się, kto stoi za zabójstwem Króla. - Zawadzki pstryknął palcami, jakby wycelował w nią pistoletem.

- Mhm... chyba. - Kier rozejrzała się dookoła. Oblała ją fala gorąca, rozciągnęła kołnierz golfa i sięgnęła po filiżankę z zimną kawą.

- Wiachesław Wasin, rzecz jasna. Podobno w jego teczce są na niego jakieś kwity. - Magdalena Dębska wtrąciła na jednym wydechu.

- Lepiej, żebyś ją odnalazła. On może za nią zabić. Bez mrugnięcia okiem! - Dziennikarz posmutniał. - Mówię serio. Jeśli nie ma jej w szafie, to znajdź ją niezwłocznie. To jest kilka tomów, nie mogła się zapodziać. Wykop ją spod ziemi, z nimi nie ma żartów - dodał poważnym tonem, bez sarkazmu, którym epatował w trakcie całego spotkania. - Przyjdą po to, zobaczysz. Najlepiej szybko nam ją przekaż.

- Nie mam jej, naprawdę - odpowiedziała cicho Anna.

ROZDZIAŁ 32

[Warszawa, styczeń 2020]



Dygotała z zimna. Wtulala się w Aleksa całym ciałem, ale nic to nie dawało. Miała wrażenie, że w jej żyłach płynie zmrożona krew. I że za chwilę zamarźnie. Spojrzała na zegarek, nie było jeszcze szóstej.

Po kolejnych minutach bezsensownego leżenia wstała, założyła ciepłą szlafrok i cicho podreptała do kuchni. Zaparzyła melisę i usiadła przy stole. Zerknęła na deskę do prasowania, na której leżały czarne spodnie, marynarka i golf. Przymknęła oczy i przypomniała sobie dzień, w którym przechodziła na policyjną emeryturę. Wtedy na tej samej desce leżała okropna brązowa garsonka, w którą na szczęście się nie ubrała. Tym razem nie miała wyjścia. Pogrzeb ojca wymagał stosownego czarnego stroju.

Z zamyślenia wyrwał ją cichy dźwięk SMS-a. O tej porze? Zdziwiła się, ale szybko odblokowała ekran. To może być ważne. Kliknęła na kopertkę i zmrużyła oczy. Janusz?

Anutku, muszę z Tobą porozmawiać. Czy po pogrzebie i tym całym zamieszaniu możemy zostać na chwilę tylko we dwójkę? Proszę, zorganizuj nam taką możliwość. J.

W pierwszym odruchu kliknęła „odpowiedz”, ale nie wpisała ani jednej literki. Po chwili poczuła, że w jej ciele rozchodzi się fala gorąca, że lód płynący w jej żyłach zaczyna topnieć. Szyi dotknęły niewidzialne zaciskające się klamry, które powoli odcinały jej dopływ powietrza. Zaczęła nerwowo klepać się po twarzy. Czuła, że nadciąga atak paniki, a nie mogła do tego dopuścić.

Na szczęście po chwili jej ciało zaczęło się uspokajać. Zmuszała się do głębokiego i miarowego oddychania. „Raz, dwa...”, liczyła na głos, a po jej policzkach płynęły łzy.

Zgodnie z życzeniem ojca pogrzeb miał charakter świecki, trwał krótko i wzięli w nim udział tylko Anna, Janusz i Tristan. Gdy całą trójką wracali długą zaśnieżoną alejką, przemierzali ją w milczeniu, trzymając się za ręce. Zaczął prosić śnieg, ale nie zwracali na to większej uwagi. Przed bramą cmentarza, zgodnie z umową, czekała Hana, która miała zabrać Tristana do siebie. Matka Anny wiedziała, że coś się stało, ale swoim zwyczajem o nic nie dopytywała. Na wszystko przyjdzie czas.

– Babciu, jak dobrze, że jesteś! – Chłopak ucieszył się na jej widok. Kier miała wrażenie, że chce się do niej przytulić, ale zawstydzony zrezygnował i robiąc dobrą minę do złej gry, z pewną nonszalancją wsiadł do samochodu.

– Przygotujemy obiad, przyjedźcie do nas, jak już załatwicie, co tam trzeba! – Hana postawiła kołnierz futra i strzepała z włosów ciężki śnieg. – Do zobaczenia! – Pomachała im na do widzenia i wolno wsiadła do auta.

– No, co tam chciałeś? – Anna rzuciła to pytanie w przestrzeń. Ścisnęła ramię byłego męża i szli powoli przed siebie. Początkowo nie zareagował.

– Niedługo przed polowaniem byłem u twojego ojca... – zaczął wreszcie Janusz po dłuższym czasie. – Wezwał mnie do siebie.

– Wiem, że byłeś, tylko jakoś wcześniej nie chciałeś mi powiedzieć po co.

– Bałem się, byłem śmiertelnie przerażony. Mogli mnie posądzić, i wiesz... – zaczął się jąkać. – Nie chciałem być powiązany z tym polowaniem! Były billingi, nagrania. – Janusz mówił tak szybko, że aż momentami tracił oddech. – Mogli mnie podejrzewać!

– Jakie to ma teraz znaczenie, co? – Zatrzymała się w pół kroku i spojrzała mężowi prosto w oczy. Nie uciekł wzrokiem. – Mnie nie mogłeś powiedzieć?

– Chodźmy na przystanek, bardzo pada. – Janusz wytarł zaśnieżone okulary i schował się pod pobliską wiatą. Anna dołączyła bez pośpiechu. Widać było, że jest jej wszystko jedno.

– Twój ojciec przeczuwał, że coś mu grozi. Oczywiście nie spodziewał się, że zginie na tym cholernym polowaniu, ale od pewnego czasu potwornie się bał – kontynuował Kier po bardzo długim milczeniu. Właśnie odjechał autobus, który zabrał wszystkich oczekujących. – Wyobrażasz sobie? Że Król się bał?! Wezwał mnie do siebie i dał mi tę kopertę. – Wyjął z kieszeni płaszcz zmięty papier. – Tam jest pendrive i informacja, gdzie są oryginały.

Anna wzięła ją do ręki i zobaczyła napis: „Wiachesław Wasin”.

– Miałem ci to dać w dniu jego pogrzebu, co właśnie czynię. – Janusz zakasłał w podniesiony kołnierz; w tym pośpiechu zapomniał o szaliku. – Podobno tam jest wskazany jego zabójca. – Spojrzał na kopertę. – I jest to sprawa, no wiesz, wagi państwowej. Nie wolno mi było nic z tym zrobić aż do dzisiaj. To znaczy do pogrzebu. – Kier ciągle nerwowo chrząkał. – A to tak strasznie długo trwało, że każdy dzień mógł przynieść jakąś tragedię!

– Janusz, czego ty się właściwie boisz? – Anna w końcu spojrzała byłemu mężowi w oczy. – Masz z tym coś wspólnego?

– Nie...

– No to już po wszystkim.

– Twój ojciec mi przekazał, że musisz zrobić z tego sensowny użytek. Ale uczulił mnie, że to jest naprawdę bardzo niebezpieczne. Może zagrozić tobie, mnie, Tristanowi. Sam nie wiem... – Znowu zaczął się jękać. – On był śmiertelnie przerażony. Uwierz mi. Powiedział nawet, że to może zagrozić naszemu, no wiesz, państwu. – Janusz nerwowo się zaśmiał. – Pewnie przesadził z tym dramatyzmem, ale naprawdę mnie wystraszył. Wyraźnie zaznaczył, że grozi nam śmiertelne niebezpieczeństwo. I dodał wtedy, że on tak naprawdę nas chronił. Ciebie, mnie, Tristana... Że...

– Hm, daj już spokój. – Anna pokręciła głową. Jej nieobecny i zamazany wzrok zaskoczył Janusza.

– Powiedział też, że tylko ty będziesz umiała coś z tym zrobić – mówił dalej, choć zbierało mu się na kaszel.

– Kończę z tym, Janusz. Mnie to wszystko już nie interesuje.

– Tam jest też list do ciebie. – Mąż Anny przestępował z nogi na nogę.

– Tak? No to przeczytajmy. – Kier wyczuła palcami kawałek plastiku, otworzyła kopertę i wyjęła z niej drugą, mniejszą, w niebieski wzorek jak z dziecięcej papeterii. Uśmiechnęła się. Tak, wziął to z jej rzeczy zostawionych na strychu. W środku znalazła papier z takim samym motywem, zapisany ręką jej ojca. Zaczęła głośno czytać:

Aniu, to nie jest tak, jak myślisz. Musiałem to robić, by Cię chronić. Na tym pendrivie znajdziesz wiele informacji, które mam nadzieję pomogą Ci zrozumieć, przez co musiałem przejść. Dla dobra rodziny. Nic nie jest takie, jak się wydaje. Tata

– Jasne! – Anna prychnęła, kręcąc głową. – Tak mnie chroniłeś, że starałeś się odebrać mi wszystko, co mam najcenniejsze – szeptała. – Najpierw matkę, potem syna. Chcę o nim zapomnieć, raz na zawsze – dodała głośniejsz, jej oczy nabrały szarości, a spojrzenie stało się lodowate. – I w dupie mam, co wypadnie z szafy Króla. – Spojrzała na byłego męża, nie kryjąc wściekłości. To nie były czas i miejsce na grzeczność i konwenanse.

– O Boże, o co ci chodzi? – Janusz kiwał nerwowo głową, podczas gdy Anna milczała, wpatrując się w dal. – Mówisz o tych programach w Internecie? Oglądałem je, to jakieś szaleństwo. Anutku – zaczęła potrzasać ręką byłej żony – co zamierzasz z tym zrobić?

– Już nic. – Anna nachyliła się i wrzuciła trzymaną w ręce kopertę do pobliskiej studzienki ściekowej. Gdy zobaczyła, że papier spływa dalej, dodała głośno: – Już koniec. Koniec tej historii.

– Ale... – Janusz schylił się i z przerażeniem zaglądał do studzienki. Po kopercie nie było już ani śladu. – Ale co teraz? – Podniósł wzrok na byłą żonę.

– Teraz zajmę się swoim życiem i pracą, którą lubię. Pojutrze jedziemy z Piachem do Olsztyna – dodała wesoło, jakby przed chwilą nic się nie wydarzyło.

– Ale...

– Mamy zaległą sprawę do wyjaśnienia – odpowiedziała spokojnie, a jej oczy wreszcie nabrały blasku i ciepła. – No co się tak patrzysz? Wracam do pracy.

– Ale twój ojciec mówił, że... – Janusz nie ustępował. Trząśł się, a jego sine usta, przywodziły jej na myśl wargi trupa. – Ze...

– To już koniec historii prokuratora Książopolskiego. Wracamy do domu – przerwała mu Anna i otuliła byłego męża swoim grubym wełnianym szalem.

Wanda Lechicka leżała na sofie i przerzucała bez większego zainteresowania kanały telewizyjne. Nagle na ekranie zobaczyła warszawską ulicę Francuską, kłęby dymu i zaaferowaną dziennikarkę. Hakerka natychmiast usiadła, odblokowała „mute” i usłyszała podniesiony głos:

– Nadajemy ważny komunikat z ostatniej chwili. Właśnie znajdujemy się przed posesją prokuratora Tadeusza Książopolskiego, do niedawna pełnomocnika do spraw obywatelskich, człowieka, który przez całe życie służył ojczyźnie. Prawdopodobnie doszło do wybuchu gazu, w wyniku którego niemal doszczętnie spłonęła willa prokuratora, a okoliczne budynki zostały pozbawione szyb lub części dachów. Polskie służby stanęły na wysokości zadania, a akcja ratunkowa przebiega sprawnie i pomyślnie. Na szczęście nikt nie zginął. Kilku rannym i poszkodowanym zapewniono profesjonalną opiekę medyczną. Ulica Francuska jest zamknięta, wpuszczane są tylko wozy strażackie. Wracamy za kilka chwil, bądźcie państwo z nami.

OD AUTORKI



Bardzo dziękuję Wam, moim Czytelniczkom i Czytelnikom, za przyjaźń, jaką obdarzyliście Annę Marię Kier i jej współników. Wzruszają mnie Wasze prośby o kolejny tom. Ta swoista, wyrażana w recenzjach niezgoda na zakończenie serii i nadzieja na ponowne spotkanie z bohaterami sprawiły, że mnie samej trudno było się z nimi rozstać.

Dlatego oddaję w Wasze ręce ostatnią część. *Joker* to spin-off cyklu. Rolę główną powierzam w nim Wandzie Lechickiej. Ta bohaterka zasługiwała na oddanie jej głosu. Będzie mi miło, jeśli zechcecie go wysłuchać.

Jeszcze raz kłaniam się nisko wszystkim fanom i fankom tej serii.
Pisanie dla Was to ogromna przyjemność.

Dagmara Andryka

Spis treści

WCZEŚNIEJ

PROLOG

CZEŚĆ 1

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

CZEŚĆ 2

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

CZEŚĆ 3

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

[ROZDZIAŁ 28](#)

[ROZDZIAŁ 29](#)

[ROZDZIAŁ 30](#)

[ROZDZIAŁ 31](#)

[ROZDZIAŁ 32](#)

[OD AUTORKI](#)